ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 9/564 1994

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

L. UNGER: **POLSKA W EUROPIE: BEZ ZŁUDZEŃ I BEZ ZMARSZCZEK**

K. WOLICKI: **ZASTÓJ I ŻYWIOŁ**

A. KRUCZEK: **NOTATKI ROSYJSKIE**

UTRACONE PEJZAŻE W LITERATURZE NIEMIECKIEJ

SPIS RZECZY

Leopold Unger:	*Polska w Europie: bez złudzeń i bez zmarszczek*	3
	UTRACONE PEJZAŻE W LITERATURZE NIEMIECKIEJ	
Leszek Szaruga:	*Ożywienie?*	41
Basil Kerski:	*Nowy „Drang nach Osten" czy szansa współpracy?*	45
Golo Mann:	*Nasza wieś — świat w pomniejszeniu*	51
Horst Bienek:	*Odkrycie*	56
Marion Gräfin Dönhoff:	*Nikt już nie jechał na Wschód*	62
Christian Graf von Krockow:	*Podróż na Pomorze*	70
Leonie Ossowski:	*Anna z pałacu*	80
Michael Zeller:	*Café Europa*	90
Horst Bienek:	*Stopniowe zadławianie się krzykiem*	95
Johannes Bobrowski:	*Niewypowiedziane (wiersz)*	110
Johannes Bobrowski:	*Wędrowiec (wiersz)*	110
Johannes Bobrowski:	*Dźwina (wiersz)*	111
—	*Noty biograficzne autorów*	112
	KRAJ	
Gustaw Herling-Grudziński:	*Druga podróż do Polski: Dziennik pisany nocą*	113
Krzysztof Wolicki:	*Zastój i żywioł*	131
SMECZ:	*Z ukosa*	139
Ewa Berberyusz:	*Kartki ze skażonej strefy*	152
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	*Notatki rosyjskie*	156
Bohdan Osadczuk:	*Ukraina: Od Leonida Pierwszego do Leonida Drugiego*	161
	KRONIKA KULTURALNA	
Piotr Daszkiewicz:	*Przyroda, podróże, ekologia, historia*	168
Agnieszka Wróblewska:	*Konferencje historyków w Lublinie*	173
—	*Stypendium im. Benedykta Heydenkorna*	174
—	*Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama*	175
—	*Nagrody Polculu*	176
	NOTATKI REDAKTORA	177
	CI, CO ODESZLI	
Anna Frajlich:	*Halina Wittlin (1900-1994)*	182
	KSIĄŻKI	
M. Broński:	*„Pisemnie z Litwy"*	183
	•	
—	*Wydarzenia miesiąca*	187
	•	
—	Odpowiedzi Redakcji	191
Jerzy Pomianowski:	Oświadczenie	191

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień/Septembre 1994

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) w 24-tą rocznicę śmierci Ojca dr.med. Eugeniusza Adamusa — po raz 3-ci — DM 100,00	F.	330,00
Julitta Kozłowska-Szylar, Warszawa, po raz 10-ty — Dol. US 200,000	F.	1.070,00
Andrzej i Aleksandra Kozłowscy, Paryż, po raz 29-ty	F.	200,00
Lech Krysiewicz, Montreal, po raz 9-ty — Dol. c. 80,00	F.	320,00
Od Zygmunta i Marysi Brzezińskich, Conn. (USA) — zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela, redaktora Norberta Żaby, zmarłego 15 lipca 1994 w Sztokholmie — Dol. US 100,00	F.	535,00
Janina Olster-Kotlicka, Effreticon (Szwajcaria) — dla uczczenia pamięci Męża Aleksandra Kotlickiego w zbliżającą się pierwszą rocznicę Jego śmierci	F.	300,00
Stowarzyszenie Polek w Szwecji i Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki Polskiej w Sztokholmie — zamiast kwiatów na grób śp. redaktora Norberta Żaby	F.	800,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg (USA):		
— na Fundusz „Kultury" — po raz 36-ty — Dol. 20,00	F.	107,00
— na pomoc Polakom w Rosji — Dol. 20,00	F.	107,00
•		
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc Polakom w Rosji — — £ stg. 20,00	F.	168,00

DZIĘKUJEMY

Polska w Europie: bez złudzeń i bez zmarszczek

(OD ŁADY PO ŁABĘ I Z POWROTEM)

10 sierpnia 1994. Moskwa. Sklep firmowy samochodów marki „Łada". Wchodzi klient, dobrze ubrany, ma wyraźnie poważne zamiary.

— Czy mogę zakupić samochód typu „Łada"? — pyta.

— Naturalnie, pada odpowiedź, jaki typ, jaki kolor?

— Czarny, metalizowany, z otwieranym dachem, czterodrzwiowy...

— Proszę bardzo, 5.000 dolarów...

Klient otwiera teczkę, wyjmuje i liczy banknoty, płaci, odbiera pokwitowanie, mówi do widzenia, ale nagle zatrzymuje się w drzwiach, puka się w czoło i rzuca: „Ach byłbym zapomniał: kiedy mogę odebrać samochód?"

— Chwileczkę, już panu mówię — odpowiada sprzedawca, otwiera komputer, coś sprawdza i powiada: — O, już mam, proszę się zgłosić 10 sierpnia 2014...

Klient notuje datę i już chce wyjść kiedy znowu nagle się zatrzymuje i pyta: — 10 sierpnia 2014 jest OK, ale rano czy po południu?

Sprzedawca zdumiony pyta: — A co panu za różnica?

— A to ważne — odpowiada klient — bo po południu ma przyjść hydraulik...

Reszta tekstu będzie znacznie dłuższa i mniej zabawna. Jak każdy dowcip polityczny, ten także kryje bowiem głębszą treść. W skrócie niesie on potrójny *message*:

a) na krótką metę dowcip oddaje rozpiętość niezaspokojonych pragnień i zawiedzionych nadziei (nie tylko materialnych) społeczeństw postkomunistycznych, głębię frustracji nowych konsumentów, którzy są także wyborcami. Za ich niezrozumienie czy lekceważenie płacić przychodzi wysoką cenę. M.in. w postaci wyników wyborów na Litwie, w Polsce, Białorusi, Ukrainie, na Węgrzech i przede wszystkim w Rosji, gdzie co czwarty wyborca głosował na Żyrynowskiego i co piąty na komunistów i gdzie demokratycznie wybrany parlament zaczął od amnestionowania autorów dwóch kolejnych puczów.

b) na średnią metę, Łada z roku 2014 ilustruje kryzys i pułapki okresu przejściowego od dyktatury do demokracji, od sowietyzmu do liberalizmu, od komunizmu do wolności. Pięć lat po upadku muru w Berlinie, już wiemy, że ten tranzyt nie jest — jak się niektórym wtedy wydawało — spokojną przechadzką, lecz stanowi bardzo niebezpieczny tor przeszkód, wyścig z czasem między kosztami reformy i demokracji a cierpliwością obywateli i granicą ich zdolności i gotowości do poświęceń.

c) na dłuższą, ale chyba nie bardzo długą metę, chodzi tu, nie tylko w pryzmacie Łady naturalnie, o miejsce i rolę państw pokomunistycznych, a przede wszystkim Rosji, w Europie i na świecie. W wielkim skrócie, sprawa sprowadza się do pytania czy nieuniknione, jak już wiemy, i rosnące spiętrzenie trudności i sprzeczności gospodarczych i społecznych doprowadzi do ucieczki w dyktaturę i — w wypadku Rosji — w nowe imperium rosyjskie czy do powolnego i kosztownego wchodzenia, bolesnego wciskania Rosji w ramy demokratycznego państwa prawa? Odpowiedź na tak sformułowane pytanie nie jest prosta, ale od niej zależy właściwie przyszłość Europy, nie tylko zresztą środkowej, ale środkowej chyba przede wszystkim.

I. POCZWÓRNY KONIEC STAREGO ŚWIATA

Próbę odpowiedzi na te pytania (próbę, bo nikt dziś pełnej prognozy zdefiniować nie potrafi), zacząć trzeba od banalnego, ale niezbędnego podwójnego stwierdzenia.

Po pierwsze więc, jeszcze niewiele lat temu, nikt nie wyobrażał sobie świata bez syndromu komunistycznego lub sowieckiego zagrożenia. Nawet dla najbardziej znanych kremlinologów, litościwie pomińmy nazwiska, Związek Sowiecki i

jego partia komunistyczna były stałym *incontournable*, nie do pominięcia, czynnikiem wpływającym na stosunek sił na świecie i determinującym wypracowanie odpowiedniej strategii. Tymczasem, jak się okazuje, po raz pierwszy od 70 lat, Europa jest, w zasadzie, wolna od komunizmu, można, znowu w zasadzie, (i, *hélas*, pomijając Bałkany) przejechać od Atlantyku po Ural prawie bez wiz, a w każdym razie, nie opuszczając obszaru, najogólniej mówiąc i przymykając jedno oko, demokracji. Jest więc rzeczą naturalną, że po dziesięcioleciach inwestowania, w taki czy inny sposób, po obu stronach muru, w zimną wojnę, obywatele Europy, mają prawo domagać się wypłacenia im tego, co się dziś określa jako dywidendę pokoju.

Przy czym, najogólniej mówiąc, obywatele pojałtańskiej części kontynentu, zwłaszcza Polski, mają także, przynajmniej w ich mniemaniu, prawo do dodatkowej, osobnej dywidendy za doprowadzenie do bezkrwawego, i właściwie gratisowego, dosłownie i w przenośni, w majątku i w ludziach, obalenia komunizmu u siebie, i zapoczątkowaniu, a przynajmniej przyspieszeniu, tego procesu w Związku Sowieckim.

A tymczasem — i to jest po drugie — pokomunistyczna i posowiecka rzeczywistość jest inna niż spodziewana *dolce vita*. Nie ma dywidendy pokoju ani żadnej innej. Świat się uczy nowej geografii wojen, konfliktów i zagrożeń, dowiaduje się o istnieniu Karabachu i Abchazji, Czeczenii i Tadżykistanu, Bośni i Hercegowiny, odkrywa na nowo rasizm i nacjonalizm, czystkę etniczną, dowiaduje się, że Sarajewo to coś więcej niż miejsce zamachu na austriackiego arcyksięcia czy nazwa byłej wioski olimpijskiej. Że obalenie komunizmu i koniec sowietyzmu nie tylko nie zamknęły epoki gwałtów, ale ujawniły i uruchomiły źródła nowych konfliktów, nie wyeliminowały a tylko zaktualizowały kwestię stref wpływów, stosunku sił, przemijającego partnerstwa państw i wiecznych interesów mocarstw.

Naturalnie, sens i charakter nowych zagrożeń się zmieniły. Nie ma, w zasadzie, w makroskali, zagrożenia ani ideologicznego — komunizm przecież już dawno się wypalił — ani wojskowego, trudno sobie wyobrazić rosyjską agresję gdziekolwiek w kierunku zachodnim. Rosja nie ma w tym żadnego interesu ani właściwie możliwości materialnych. Ale to nie znaczy, że sowietyzm znikł bez śladu. Pozostawił spadek, ciężki i zatruty, z opóźnionym często zapłonem. Oto skromny remanent dający się sprowadzić do schematu czterech, moim zdaniem, podstawowych — choć zawodowy socjo-

log potrafiłby ich wymienić znacznie więcej — nazwijmy je umownie, dezintegracji, tym groźniejszych, że nie byliśmy przygotowani ani na ich pojawienie się, ani, tym mniej, na przeciwdziałanie im i łagodzenie ich skutków.

a) Imperium w rozsypce

Pierwsza dezintegracja jest skutkiem „niezorganizowanego", żeby to tak określić, rozpadu imperium sowieckiego. Pozostał po nim ogromny obszar anarchii politycznej i chaosu gospodarczego. To bardzo niebezpieczna, wybuchowa mieszanka. Niesie z sobą niebezpieczeństwo destabilizacji, o drganiach i opadzie sięgających daleko poza obszar Rosji.

Koniec okresu hegemonii sowieckiej i rosyjskiej spowodował wybuch różnego typu — tym bardziej gwałtownych im dłużej i ostro tłumionych — nacjonalizmów i separatyzmów i, w konsekwencji, wojen etnicznych, religijnych czy nawet trybalnych. Można to naturalnie w pewnym sensie porównać ze skutkami fatalnej dekolonizacji w Afryce (np. Rwanda czy Angola), z tą różnicą, że w tym wypadku imperium jest kontynentalne, metropolia jest tuż za rogiem, i że w wypadku Rosji czy obszaru byłego ZSSR, obraz ten uzupełnić trzeba o armię po-czerwoną i 30.000 głowic atomowych.

W pewnym sensie, fatalna dekolonizacja Jugosławii wpisana jest w ten sam nieunikniony proces rozpadu wielonarodowego komunistycznego imperium. Bośnia, należy się tego obawiać i warto to przewidzieć, może się okazać tylko początkiem, zachodzi bowiem groźba efektu domina, np. w wielonarodowej także Macedonii, i przede wszystkim w Kosowie, kolebce serbskiego nacjonalizmu i prawosławia, zamieszkałym przez ludność w ogromnej większości albańską i muzułmańską, poddaną brutalnym represjom serbskim. Jeżeli Serbowie podejmą w Kosowie operacje typu bośniackiego, to, wystarczy spojrzeć na mapę, Albania, a potem Grecja no i Turcja nie będą mogły pozostać na uboczu. W fatalny pląs bałkański wejdą więc wtedy dwa kraje NATO, perspektywa nieprzyjemna, która, być może, tłumaczy dość nieoczekiwane amerykańskie zainteresowanie Macedonią.

b) Gdzie jest Bonaparte?

Druga to może jeszcze nie dezintegracja ale już degrengolada i demoralizacja armii po-czerwonej. Czuje się ona upokorzona przez kolejne ewakuacje z krajów byłego Paktu Warszawskiego i Bałtyku. Jak to powiedział jeden z generałów sowiecko-rosyjskich: „Przegraliśmy III wojnę światową nie oddając ani jednego strzału". Armia jest niewątpliwie spauperyzowana, warunki życia są często okropne. Jest także — to naturalny skutek — skorumpowana. Cierpi poza tym — to także zrozumiałe — na ogromny spadek prestiżu munduru, pozycji w hierarchii społecznej.

Wojsko rosyjskie nie ma tradycji bonapartystowskiej, ale, w tej nowej sytuacji, rodzą się rozmaite pokusy. Fakt odegrania przez wojsko kluczowej roli w rozbiciu poprzedniego parlamentu i upoważnienie wojska, oficjalnie, na zasadzie nowej doktryny wojskowej, do interweniowania w wewnętrzne sprawy państwa, w dziedzinę stosunków państwo-obywatel, zwiększył niewątpliwie rolę wojska jako instrumentu nie tylko obrony granic ale także czynnika mogącego brać udział w rozwiązywaniu wewnętrznych konfliktów politycznych w Rosji.

c) Drogi kapitalizm

Trzecia dezintegracja dotyczy gospodarki. To paradoks, ale rozpad systemu komunistycznego był za szybki. Kraj, jego infrastruktura ludzka, techniczna, gospodarcza, intelektualna nie były na to przygotowane. Nie było żadnego, skromnego choćby, programu przeciwdziałania skutkom załamania się sowieckiego systemu zarządzania, produkowania i podziału dóbr ani w skali ZSSR, ani w skali poszczególnych republik. Gospodarcze, polityczne i społeczne koszty fazy dzikiego kapitalizmu i narodzin wolnego rynku okazały się ogromne. Hiperinflacja, ukryte a także coraz bardziej jawne bezrobocie, spadek produkcji, pauperyzacja całych kategorii społeczeństwa, a równocześnie mafijna nieraz prywatyzacja i rosnące, ostentacyjne, nowobogackie kontrasty społeczne, utworzyły ogromny obszar rozbitków demokracji: emerytów, urzędników państwowych, niektórych wolnych zawodów, części byłej arystokracji robotniczej. To spośród nich rekrutowali się najpierw obrońcy byłej Rady Najwyższej i napastnicy na Ostankino no i, naturalnie, wyborcy komunistów i Żyrynowskiego.

Ktoś porównał obecny kryzys w Rosji z wielką depresją amerykańską lat trzydziestych. Porównanie nietrafne i ryzykowne. Nietrafne, albowiem technicznie biorąc, w USA istnia-

ła cała infrastruktura niezbędna do szybkiego odzyskania stanu sprzed depresji (telekomunikacja, transport, system bankowy i podatkowy, no i fachowcy, np. buchalterzy) a w Rosji właściwie nic nie tylko nie funkcjonuje, ale nigdy nie funkcjonowało na skalę potrzeb i wymagań nowoczesnej, skromnie choćby rynkowej, gospodarki. W czasie kryzysu w Ameryce lat trzydziestych, tak jak u końca Franco czy Pinocheta, istniał faktycznie obszar wolnej gospodarki rynkowej, to znaczy już zalążek wolności w ogóle. Wystarczyło zdjąć „górę", rynek załatwiał resztę. W Rosji niczego takiego nie było.

Jest to także porównanie ryzykowne. Nie należy bowiem zapominać, że USA wyszły ostatecznie z kryzysu dzięki, mówiąc cynicznie, koniunkturze stworzonej przez II wojnę światową. Nikt sobie chyba nie życzy takiego rozwiązania...

d) Czas demagogii

Czwarta dezintegracja rozbiła społeczeństwo. Można, na tle tego co przedtem, napisać całą serię katastroficznych scenariuszy eskalacji społecznej i politycznej, przewidzieć łańcuch wybuchów tej niebezpiecznej mieszanki jaką stanowi połączenie kryzysu gospodarczego z kryzysem *identity*, tożsamości narodowej i utratą przez Rosję pozycji superpotęgi. Otwarte zostało pole dla demagogii i populizmu.

Rozwiał się mit socjalistycznego narodu sowieckiego, rozpadł się mit bratniej wspólnoty komunistycznej. Zaczął się wyścig z czasem, trzeba było dopiero, ale szybko, tworzyć ramy społeczeństwa rosyjskiego, no i innych narodów i państw posowieckich i pokomunistycznych. To odrodzenie narodowe i państwowe na gruzach komunizmu odbywało się, i odbywa, w rozmaitych formach.

— Wróciły do niepodległego bytu państwa, które już przedtem korzystały z formalnych, choć przez długi czas, fikcyjnych, atrybutów suwerenności, jak Polska czy inne państwa byłego Paktu Warszawskiego.

— Odrodziły się także państwa, których samodzielne istnienie zostało, mniej lub bardziej dawno, nagle i brutalnie przerwane, jak państwa bałtyckie, Armenia czy Gruzja.

— Powstały po raz pierwszy do niepodległego bytu państwa, które nigdy właściwie suwerenne nie były, i należały zawsze do jakiegoś imperium, takie jak kraje Azji sowieckiej, Chorwacja, Słowenia czy Słowacja, trudno bowiem uznać za suwerenne hitlerowskie państwo księdza Tiso.

— No i przede wszystkim powstała Rosja, ogromne państwo, nagle wytrącone z pozycji imperium, bez żadnej tradycji demokracji i tolerancji.

Otóż, nie sposób nie zauważyć, że wszędzie, niezależnie od geografii czy historii, odrodzenie narodowe miało przede wszystkim charakter nacjonalistyczny. Nie tu i nie teraz miejsce na debatę o dobrych i złych nacjonalizmach. To inny temat. Dziś przypomnijmy tylko, że zjawisko to bywało definiowane w bardzo rozmaity sposób, od przywoływania otwarcia puszki Pandory do otwarcia lodówki po kilkudziesięciu latach. To co się z tej puszki czy lodówki wydostało, to nie tylko koniec gułagu, zalążki demokracji, wolność słowa i koniec cenzury, swoboda podróżowania, ale także — a gdzieniegdzie przede wszystkim — ten najgorszy nacjonalizm: to znaczy szowinizm, trybalizm, klerykalizm i fundamentalizm, ksenofobia. Jak mi powiedział reżyser... bośniacki właśnie Emir Kusturica: terror komunistyczny uniemożliwiał terror nacjonalistyczny, a kiedy ten pierwszy się skończył, nastał ten drugi. Wielka hegemonia się skończyła, nastały wojny o małe hegemonie. Nie tylko w Bośni, jak wiadomo.

e) Wielka dziura

Mówiąc w skrócie, ten poczwórny rozpad komunizmu stworzył wielką dziurę, pustkę, która nie została ani automatycznie ani bezboleśnie wypełniona przez demokrację i dobrobyt, a, wprost przeciwnie, wpełzły w nią anarchia polityczna, chaos gospodarczy i nacjonalizm, które okazały się prawdziwymi bombami z opóźnionym zapłonem podłożonymi przez dogorywający totalitaryzm pod kołyską wolności narodów.

Zamiast triumfu praw człowieka w krajach gdzie tak długo były one generalnie gwałcone, nastąpiło zjawisko egzaltacji i deifikacji różnic, separatyzmów, antagonizmów, które, wszystkie bez wyjątku, sprowadzały się do gwałcenia praw ludzkich. Isaiah Berlin zauważył, że koncept narodu był u swego źródła całkowicie nieagresywny, natury głównie kulturalnej, i że to lata niewoli i upokorzenia sprawiły, że wybucha on teraz z wyjątkową siłą i gwałtownością.

W przypadku Rosji czy obszaru posowieckiego, ten pokomunistyczny nacjonalizm jest wyjątkowo niebezpieczny albowiem:

— z jednej strony, wybucha w krajach bez żadnej tradycji

demokratycznej i przyjmuje stąd formy wyjątkowo brutalne i zdziczone, jak czystki etniczne, w Abchazji, Karabachu czy Bośni.

— z drugiej strony, nacjonalizm ten nabrzmiewa w warunkach ostrego, a czasem dramatycznego kryzysu gospodarczego, mogącego doprowadzić do wybuchu społecznego. Faza ta charakteryzuje się zawsze poszukiwaniem kozła ofiarnego, którym jest z reguły jakiś „obcy", Czeczen, Cygan, „czarny" czyli Kaukaz, no i z reguły i z tradycji Żyd, nawet kiedy go już pod ręką nie ma. Żyrynowski w Rosji, Łukaszenka na Białorusi, Mieszkow na Krymie, żeby nie sięgać do byłej Jugosławii, są tej koniunktury najlepszymi przedstawicielami.

II. U DRZWI ZACHODU

Kiedy, po upadku muru, kurz opadł i lampiony wygasły, okazało się, że na miejscu dwukolorowej czarno-białej Europy zimnowojennej, na obszarze od Atlantyku do Uralu, pojawiły się, mówiąc w uproszczeniu, nie dwie a trzy strefy:

— dawna Europa Zachodnia, to znaczy kraje NATO, EWG, a także ówczesne państwa neutralne, wszystkie zaskoczone ich własnym, bezkrwawym, łatwym zwycięstwem w zimnej wojnie,

— Rosja, wychodząca w konwulsjach z imperium i z dyktatury oraz

— szara strefa obszaru byłego wpływu byłego Związku Sowieckiego.

Można nad tym ubolewać, a nawet temu się dziwić, ale stwierdzić trzeba, że żadna z tych stref nie była przygotowana na tak szybki upadek komunizmu i sowietyzmu, żadna nie dysponowała scenariuszem przechodzenia państw byłego obszaru sowieckiego do demokracji i gospodarki rynkowej, żadna nie wiedziała czym to grozi, żadna nie miała poglądu na swoją własną rolę w tym procesie.

a) Inna śmierć

Zamieszanie było tym większe, że komunizm umierał zupełnie inaczej niż hitleryzm. Nie jest to kwestia oceny moralnej, a jest to próba zrozumienia procesu historycznego. Postalinowski komunizm, zwłaszcza ten gorbaczowowski, nie

da się ani intelektualnie ani psychologicznie porównać do hitleryzmu. Różnice narzucają się same.

Pierwsza to ta, że hitleryzm był formacją względnie krótkotrwałą. Tysiącletnia Rzesza trwała tylko dziesięć lat. Przez cały ten okres, Hitler był w wojnie (zimnej lub gorącej) z resztą świata. ZSSR trwał lat 70, siedem razy dłużej, i nigdy (Polskę czy Bałtów wyłączając) nie był w stanie gorącej wojny z zachodnimi demokracjami. Roosevelt nazywał Stalina „wujaszkiem Jo", o leaderze wietnamskim mówiono „wujaszek Ho". Nikt tak nie mówił o Hitlerze. Tylko ślepi mieli wątpliwości co do zbrodniczego charakteru bolszewizmu, ale od Stalina po Gorbaczowa, komuniści byli partnerami Zachodu w urządzaniu świata, a ostatni „gensek" choć coraz mniej znany i widoczny w Rosji, był nawet, i ciągle jest, naszym, zachodnim ulubieńcem.

Druga różnica, to zupełnie inny koniec obu systemów. Hitleryzm padł pod buldożerem strasznej wojny, którą sam wywołał, zostawiając Europę w grobach, gruzach, w nędzy i poniżeniu. Oświęcim czy Dachau wywołały tak ogromną falę oburzenia, że sąd nad hitlerowcami odbył się w całkowitej zgodzie z opinią, częściowo nawet niemiecką. Poza Hitlerem, główni zbrodniarze byli pod ręką. Tak mogło dojść do Norymbergi.

Komunizm jednak umierał inaczej. Pozostawił morze sierot, ale śmierć systemu była samobójcza. Padł od implozji, a nie od wojny. Zostały po nim nie tylko ruiny, zostało, lepiej lub gorzej, ale funkcjonujące państwo, szkoły, szpitale, tramwaje. Wyzwalające się od komunizmu narody były tak szczęśliwe, że to się stało tak tanio i tak szybko, iż nie miały czasu na wołanie o zemstę i karę. Hitlerowcy bronili się do końca. Komuniści, wprost przeciwnie. Z wyjątkiem epizodu rumuńskiego i farsy puczu w Moskwie, komuniści, i ci z roku 1989 i ci z roku 1991, pomagali w demontażu ich własnego systemu.

I wreszcie, po roku 1945 wieszano zbrodniarzy, ludzi osobiście odpowiedzialnych za wojnę i ludobójstwo, cyklon i Oświęcim. Nikt rozumny nie proponował jednak karania Gorbaczowa za zbrodnie Stalina czy Rakowskiego za zbrodnie Bieruta. A kiedy próbowano karać Honeckera czy Żiwkowa, to obracało się to w groteskę. Hitlerowska przeszłość prowadziła do hańby, a często więzienia; komunistyczna kwarantanna trwała bardzo krótko. W Polsce czy na Węgrzech niecałe 4 lata...

Tych kilka uwag nie wyczerpuje naturalnie ciągle kapital-

nej i nie zakończonej debaty nad kwestią dwóch koszmarnych dyktatur, które w ciągu tego samego półwiecza zrodziły się w chrześcijańskiej i cywilizowanej Europie. W pewnym jednak stopniu powinny przyczynić się do zrozumienia powodów, dla których Europa weszła w okres pokomunistycznych konwulsji i bóli porodowych, nie tylko w zamieszaniu, ale także obciążona spadkiem i bagażem kilkudziesięciu lat dyktatury. Cokolwiek złego by o niej nie powiedzieć, denazyfikacja w jakimś stopniu oczyściła Niemcy. Dekomunizacji, jeżeli w ogóle była możliwa, wcale nie było. Może dlatego, że nazizm, który zniszczył wszystko czego dotknął, było łatwiej wyeliminować z mentalności ludzkiej. Mentalność komunistyczna jest trudniejsza do usunięcia.

b) Wiatr od wschodu

Obciążone takim spadkiem, kraje Europy Środkowej i Wschodniej znalazły się w strategicznej pustce, na wielopaństwowym obszarze pozbawionym jakiejkolwiek więzi instytucjonalnej. Odłączone od sowieckiej czy moskiewskiej pępowiny, pozbawione ram struktury Paktu Warszawskiego i RWPG, zdezorientowane i oszołomione niepodległościową euforią, dopiero z pewnym opóźnieniem państwa te zaczęły się zastanawiać nad polityką w ogóle, a nad polityką wschodnią w szczególności.

Pytanie było jasne: skąd idą i jakie są w geostrategicznym sensie niebezpieczeństwa tej nowej fazy? Odpowiedź też była jasna. Jak się kiedyś pomylił zecer w *Trybunie Ludu*, ostre wiatry wiały z „kierowników" wschodnich. Kolejne etapy rozwoju sytuacji w Rosji potwierdzały, *a priori* i *a posteriori*, taką lokalizację źródła nowej groźby. W wielkim skrócie można wymienić: pucz 1991 i chaotyczny rozpad ZSSR, wojny etniczne wzdłuż granic Rosji, wojnę o parlament i wybory w 1993 roku, pojawienie się Żyrynowskiego, kolejne wolty Jelcyna, który zaczął się posługiwać retoryką wielkorosyjską i jakby przelicytowywać Żyrynowskiego, nowy parlament, który rewindykował Krym i wywołał widmo konfliktu z Ukrainą, szantaż Moskwy wobec Bałtów pod pretekstem troski o diasporę rosyjską, a pośrednio o bazy, odmowę sprecyzowania granic geograficznych doktryny „bliskiego sąsiedztwa" czy okresu trwania stacjonowania wojska rosyjskiego w Mołdawii, Gruzji czy Tadżykistanie, wreszcie utrzymywanie w tajemnicy nowej doktryny wojskowej zakładającej m.in. prawo interwencji armii w stosunki i konflikty wewnętrzne...

Na tle takiej, że tak powiem, dekoracji kształtować się zaczął zagraniczny *image* Rosji. Suwerenne państwa powstałe po rozpadzie ZSSR i Paktu Warszawskiego śledziły z rosnącym niepokojem taką ewolucję Rosji. Wywołała ona widmo i strach przed powrotem Rosji do roli żandarma na obszarze byłego ZSSR, Bałtów, a może i dalej.

Strach pisał wiele możliwych scenariuszy. Rozważało się ewentualność chaosu, secesji i anarchii w Rosji, zamachu wojska, nowego puczu nacjonalistyczno-komunistycznego, masowego exodusu, pożarów etnicznych, zbliżających się do zachodnich granic byłego ZSSR. Czarne i tak scenariusze „czerniały" jeszcze bardziej od cienia Jugosławii, której los rzucał beznadziejne światło na słabość istniejących instytucji międzynarodowych, a przede wszystkim Konferencji Helsińskiej czyli KBWE, mających w zasadzie zapobiec a potem chronić nowe państwa demokratyczne przed takimi właśnie ewentualnościami.

c) Widmo szarej strefy

Szukanie riposty wobec takich scenariuszy, i na tle tej słabości, stało się priorytetowym zadaniem organizujących się na ruinach sowietyzmu nowych demokracji w Europie Środkowej i Wschodniej. Jeszcze w 1990 roku Polska, Węgry i Czechosłowacja odpowiedziały w — można to nazwać — entuzjastyczny sposób, na „pokojowe otwarcie" NATO wobec Paktu Warszawskiego i zaproszenie do odwiedzenia sekretariatu generalnego w Brukseli. We wrześniu 1990, węgierski premier Jozef Antall otworzył serię pielgrzymek do Brukseli, a Manfred Wörner sekretarz generalny NATO swoją serię odwiedzin stolic Paktu Warszawskiego.

Pierwszym wyrazem samodzielnego organizowania się — to znaczy w oderwaniu od formalnie wówczas jeszcze obowiązujących sowieckich struktur integracyjnych, takich jak Pakt Warszawski czy RWPG — było utworzenie w lutym 1991 roku regionalnej grupy konsultatywnej w Wyszehradzie.

Dziś praktycznie sparaliżowany, Wyszehrad odegrał wówczas podwójną rolę. Z jednej strony przyspieszył rozwiązanie Paktu Warszawskiego i RWPG. Z drugiej strony dał znać światu, że powstała nowa strefa, „szara" jak ją określono, pozostawiona sama sobie, prozachodnia, ale z Zachodem organizacyjnie nie związana, przekonana, że stanowi stre-

fę pustki strategicznej, łatwej do destabilizacji o konsekwencjach nieobliczalnych dla niej samej przede wszystkim, ale także dla całego kontynentu.

Stąd, seria postulatów i akcji, podejmowanych razem, albo — coraz częściej — przede wszystkim przez Czechów, oddzielnie. Rozwijały się równolegle dwie podstawowe kampanie. Pierwsza, wobec EWG, gospodarczej wspólnoty europejskiej, z którą, w grudniu 1991 roku, kraje Wyszehradu podpisały umowy o stowarzyszeniu — pierwszy krok na odległej, bardzo skomplikowanej i kosztownej, drodze do pełnego członkostwa.

I druga kampania, wobec NATO i innych zachodnich instytucji o charakterze wojskowo-politycznym, takich jak Unia Zachodnioeuropejska (UZE). W marcu i lipcu 1991 roku, kolejno prezydenci Havel i Wałęsa proponowali, bez skutku, partnerstwo z NATO, a w październiku 1991 roku, pod wrażeniem puczu w Moskwie (wówczas jeszcze) trójka wyszehradzka wezwała do utworzenia „bliskiej i instytucjonalnej" współpracy z NATO. Utworzenie w listopadzie 1991 roku Rady Współpracy Północnoatlantyckiej, skupiającej państwa NATO i wszystkie kraje byłego ZSSR i byłego Paktu Warszawskiego, było w pewnym sensie pośrednią odpowiedzią na te apele, tworząc pierwsze instytucjonalne ramy dla dialogu między NATO a jego byłymi przeciwnikami.

Nieśmiało powstawały fakty, konkrety. Np. kiedy NATO postanowiło w lipcu 1992 postawić swój wojskowy potencjał do dyspozycji operacji pokojowych ONZ czy KBWE, albo kiedy Budapeszt pozwolił natowskim AWACS-om na korzystanie z lotnisk węgierskich do lotów nad Bośnią i Hercegowiną. Nie było to wiele, ale znaczyło jakiś postęp. W ciągu 1992 roku, dyskretnie, ale konkretnie, NATO, w swych stosunkach z krajami Europy Środkowej, zaczęło przechodzić od politycznego dialogu do znamion współpracy wojskowej.

Ale, bez przesady. Choć w czasie wizyty w Warszawie w marcu 1992, Wörner określił stosunki z Polską jako „dynamiczny proces rozwijający się z upływem czasu", to, naturalnie, nadal mowy nie było ani o uzyskaniu członkostwa NATO, ani o formalnych gwarancjach bezpieczeństwa.

d) Od depresji do euforii...

Europa Środkowa, a zwłaszcza Polska, nie miały zamiaru na tym poprzestać. Warszawa przede wszystkim, ale i inne stolice, nie przestały powtarzać, że nie zamierzają pozostać „szarą strefą", *no-man's-landem* między Rosją a Zachodem i że ich celem jest pełne członkostwo w NATO. Argumentacja jest znana, jest zresztą stale aktualna i powtarzana. Kraje Wyszehradu (cztery, po rozwodzie czechosłowackim), powiadają zwolennicy „przyspieszenia", należą do Zachodu, ich zwycięstwo nad komunizmem, bez zaangażowania Zachodu, upoważnia je do swoistej dywidendy natowskiej, ich reformy gospodarcze i polityczne upoważniają je do rewindykacji pełnego członkostwa w EWG i NATO, ich wejście do zachodnich struktur leży w interesie Zachodu, itd..

Havel, który cieszy się poważnym autorytetem na Zachodzie, głosił, że Czechy i reszta Środkowej Europy, zawsze należały do zachodniej strefy cywilizacyjnej, podzielają jej wartości i że chcą i mają prawo odgrywać aktywną rolę w ich obronie. Można się nie zgadzać z niektórymi niezręcznymi, *et c'est le moins qu'on puisse dire*, inicjatywami np. prezydenta Wałęsy (NATO bis itp.), ale trzeba przyznać, że to także dzięki takim m.in. wykrzyknikom udało się postawić i utrzymać sprawę członkostwa Europy Środkowej w NATO na porządku dnia polityki światowej. I sprawić, że coraz częściej zachodni politycy dochodzili do wniosku, i publicznie o tym mówili, iż przed krajami „szarej strefy" trzeba otworzyć jakoś bardziej konkretną perspektywę członkostwa w NATO. Znaleźli się nawet politycy, jak np. amerykański senator Ryszard Lugar, którzy otwarcie wzywali do natowskiej ekspansji na Wschód. Niektórzy układali już nawet listę priorytetów, uwzględniając w pierwszej kolejności kraje kulturalnie bliższe, o większej stabilności i geopolitycznie ważniejsze, takie jak Polska, Węgry i Czechy, a pozostawiając na dalszym planie kraje, które mają problemy np. etniczne.

Pierwszy akt wodewilu z pobytem Jelcyna w Warszawie, i powtórzenie przez rosyjskiego prezydenta „zgody na NATO" w Pradze (będzie o tym mowa szerzej w dalszej części tego tekstu), wywołał w zainteresowanych stolicach nastrój pełnej euforii. Premier Hanna Suchocka i jej minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski poszli więc za ciosem, śląc jesienią 1993 listy do przywódców zachodnich i nalegając aby w styczniu 1994, na szczycie NATO z udziałem Clintona w Brukseli, ogłosili deklarację zapowiadającą „nieodwracalny proces" otwarcia drzwi NATO przed Polską. Lech Wałęsa był tak przekonany, że zgoda Jelcyna zaskoczyła całkowicie Zachód, iż wysłał do Wörnera i szefów państw

natowskich specjalny list przypominający nieodpartą, wydawało mu się, argumentację za przyjęciem Polski do NATO. Przywódcy innych państw Wyszehradu podejmowali podobne inicjatywy, z podobną argumentacją.

e) ...i od negacji do refleksji

Sprawy, jak wiadomo, potoczyły się inaczej. Zamiast integracji w NATO, Zachód zaproponował całej Europie nienatowskiej, a przede wszystkim posowieckiej, „Partnerstwo dla Pokoju". Projekt został ujawniony publicznie na radzie ministerialnej NATO we wrześniu 1993 w Travemünde, zatwierdzony w grudniu 1993 i wylansowany na szczycie NATO w Brukseli w styczniu 1994.

Pierwsza reakcja ewentualnych beneficjentów była gwałtownie negatywna, na miarę rozczarowania. Hasło nowej Jałty zrobiło natychmiastową karierę. Wałęsa był bardzo krytyczny. Polska, powiedział, mogłaby nawet odrzucić Partnerstwo, które nie daje żadnych gwarancji bezpieczeństwa. Jest ono, powiedział Wałęsa, korzystne dla Zachodu, ale nie odpowiada rzeczywistości krajów wychodzących z 50 lat komunizmu. W istocie, tak pomyślane „luźne" Partnerstwo niesie, według polskiego prezydenta, ryzyko wzmożenia groźby konfliktu typu jugosłowiańskiego. Wałęsa oskarżał Zachód o „dezercję, inercję i brak wizji przyszłości". „Jak można mówić o partnerstwie, wołał Wałęsa, skoro nie widać żadnego partnerstwa. Widać tylko Rosję, która grozi, Zachód, który jest w strachu, i widać nas, między nimi, powtarzających sobie, że nie trzeba się bać..."

Powoli jednak spokojna refleksja zaczęła zastępować zwyczajną negację. Nowy polski minister spraw zagranicznych Andrzej Olechowski, człowiek Wałęsy ale w lewicowym rządzie, wyraził ogólny środkowoeuropejski pogląd na sytuację, mówiąc, że wybory rosyjskie stanowią poważny sygnał ostrzegawczy, że pozostawienie Polski w „szarej strefie" byłoby groźne dla Zachodu także. Partnerstwo, zdaniem Olechowskiego, nie powinno stanowić surogatu gwarancji bezpieczeństwa. Sprosta ono wymogom chwili tylko pod warunkiem, że stanowić będzie krok na drodze do pełnego członkostwa w NATO. Wałęsa też zmienił słownictwo. Uznał mianowicie Partnerstwo za krok, co prawda, za mały, ale w dobrym kierunku.

Mimo faktycznego rozbicia Wyszehradu (Czesi postanowili „grać sami" a nie w drużynie), nacisk Wałęsy czy Havla, choć nie wywołał przełomu, to nie pozostał bez skutków. Według przecieków z Warszawy, Clinton miał powiedzieć Wałęsie w Pradze, że gdyby Polska znalazła się w niebezpieczeństwie, to NATO natychmiast przesunęłoby swe granice aż po rzekę Bug.

26 stycznia 1994 Rumunia pierwsza podpisała dokument o Partnerstwie. Polska była trzecia, Węgry piąte, Czechy — ósme. W ciągu kilku tygodni wszystkie państwa byłego Paktu Warszawskiego podpisały umowę o Partnerstwie. W kolejce już stały państwa byłego Związku Sowieckiego.

III. GDZIE LEŻĄ GRANICE ROSJI

W momencie lansowania PdP, Rosja także była w trakcie nerwowych poszukiwań nowej strategii. Początkowo, projekt PdP został powitany w Moskwie nieufnie, jak wszystko co idzie z Zachodu, ale jednak z niewątpliwą ulgą. Kozyriew natychmiast uznał PdP za realizację jego własnych pomysłów. Jelcyn wyraził swój „entuzjazm". Nie należy się temu dziwić. Z punktu widzenia Moskwy, PdP wydawało się stanowić najbardziej skuteczną tamę dla ekspansji NATO na Wschód, której powstrzymanie stało się w międzyczasie podstawowym celem rosyjskiej polityki nie tylko zagranicznej, ale i wewnętrznej. Żeby to zrozumieć, trzeba się jednak cofnąć w czasie.

a) Kryzys tożsamości

Wiosną roku 1989, w momencie okrągłego stołu w Polsce, polityczno-wojskowe granice Rosji szły wzdłuż Łaby. Niecałe trzy lata później, Rosja skurczyła się do swego europejskiego terytorium sprzed trzech wieków, sprzed unii z Ukrainą. Upadek imperium wtrącił państwo rosyjskie w głęboki kryzys tożsamości. Zjawisko nie jest proste i nie było od początku właściwie pojęte, ani w Rosji, ani za granicą. Wystarczy powiedzieć, że podczas kiedy Wielka Brytania lub Francja mogły się „zdekolonizować" bez równoczesnego zakwestionowania swojej własnej historycznej i państwowej tożsamości, w wypadku Rosji, imperium kontynentalnego, pojęcie państwa pokrywało się z pojęciem imperium.

Upadek imperium wywołał w Rosji dyskusję nie tylko o tożsamości i charakterze państwa, ale także, to naturalne, o jej pozycji w świecie i jej polityce zagranicznej. Psychologicznie ale i politycznie, Rosji bowiem było, i ciągle jest, bardzo trudno, a w wypadku Ukrainy prawie niemożliwe, postrzegać byłe republiki sowieckie — członków obecnej Wspólnoty Niepodległych Państw (WNP), częściowo także republiki bałtyckie, a nawet byłe państwa Paktu Warszawskiego jako terytoria zagraniczne, jako państwa suwerenne. Dla mieszkańców Królewca np. jest rzeczą niepojętą, że po to aby udać się lądem do Moskwy muszą przekraczać cudze granice, podlegać i to dwa razy kontroli celnej, a może nawet będą musieli starać się o wizy.

Nie jest to u Rosjan kwestia ideologii. Nawet najbardziej antykomunistyczni politycy czy intelektualiści rosyjscy mają opory wobec konieczności traktowania stosunków z obszarem ex-sowieckim w kategoriach stosunków międzypaństwowych, podlegających normom prawa międzynarodowego.

b) Zbyt bliskie sąsiedztwo

To właśnie z tej rozterki zrodziło się pojęcie — i polityka — „bliskiego sąsiedztwa". Sam termin jest semantycznie mało precyzyjny. Bierze się z rosyjskiego *blizkoje zarubieżie* i w poprawnym tłumaczeniu powinien brzmieć „bliska zagranica". Ale mniejsza o słownictwo. Ważne, że termin ten ma określić niezupełnie „normalne" stosunki Rosji z — jak to określił dziennik *Izwiestia* — „państwami pod ręką", z posowieckimi sąsiadami, w strefie tradycyjnych wpływów Rosji.

W pierwszym rzucie, uzasadnieniem tej „inności", a faktycznie nowej polityki zagranicznej, był obowiązek państwa rosyjskiego dbania o 25-milionową diasporę rosyjską. Nie jest to argument pozbawiony racji. Chodzi tu o ogromną liczbę Rosjan, nagle zamienionych w mieszkańców obcych państw, pozostawionych w środowisku z reguły nieprzyjaznym wobec byłych „kolonizatorów" lub ich progenitury, tym bardziej że diaspora ta nie pozbyła się cech kolonizatorskich, nie zna — u Bałtów na przykład — języka kraju zamieszkania i składa się bardzo często, właśnie u Bałtów, z byłych wojskowych, często KGBistów, żyjących tam z emerytur mniej lub bardziej zasłużonych (zwłaszcza wobec autochtonów).

Troska o tę diasporę jest normalnym obowiązkiem państwa rosyjskiego. Mniej normalny jest jednak fakt, że stosunek do tej diaspory ze strony władz kraju osiedlenia Moskwa traktuje jako kryterium oceny stosunków — „przyjaznych" albo nie — z Rosją w ogóle. Mówiąc prościej, Moskwa zamieniła kwestię niewątpliwie humanitarną w kwestię niewątpliwie polityczną, narzędzie uprawiania polityki, a nawet szantażu, jak wobec Bałtów właśnie, w odniesieniu przede wszystkim do sprawy stacjonowania wojsk rosyjskich na ich terytorium.

c) W cieniu Breżniewa

Wszelkie podejrzenia o jakieś złe intencje, rzekomo ukryte za parawanem troski o diasporę, były w Moskwie kategorycznie odrzucane. M.in. w reprezentatywnym dla tej szkoły artykule z lata 1992, w amerykańskim (ultrakonserwatywnym) *The National Interest*, osobiście niepodejrzany o jakieś tendencje zaborcze, Siergiej Stankiewicz, naonczas doradca Jelcyna, stwierdził bez wahania, że polityka ochrony diaspory nie ma absolutnie niczego wspólnego z jakimkolwiek imperializmem.

Ale ta skromna definicja, uzasadniająca doktrynę „bliskiego sąsiedztwa" wyłącznie troską o diasporę, nie przetrwała długo. Już w lipcu tego samego roku nie mniej znany Andranik Migranian wywalił kawę na ławę. „Rosja, powiedział Migranian w *Izwiestiach*, powinna powiedzieć wspólnocie międzynarodowej, że cały geopolityczny obszar byłego ZSSR stanowi strefę jej życiowych interesów... Rosja powinna otwarcie oświadczyć, że jest przeciwna zawiązywaniu jakiegokolwiek sojuszu wojskowo-politycznego przez byłe republiki związkowe (tak między nimi co z udziałem państw trzecich), o antyrosyjskiej orientacji i że każdy krok w tym sensie będzie traktowany jako akt nieprzyjazny" (wobec Rosji). Migranian nie powiedział kto i według jakich kryteriów decydować będzie co jest, a co nie jest, nieprzyjazne dla Rosji, ale można się domyślać.

Streszczając, ale nie upraszczając, można powiedzieć, że chodzi tu o doktrynę, na mocy której stosunki Moskwy z państwami byłego ZSSR stanowić miałyby wewnętrzną sprawę Rosji. *Comparaison n'est pas raison*, powiadają Francuzi, ale nie można powstrzymać się od przypomnienia amerykańskiej doktryny Monroe. Bardziej wrażliwi przypominają nawet, a niektórzy przede wszystkim, doktrynę Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw satelickich i jej katastrofalne skutki.

Wśród „bliskich (i dalszych) sąsiadów" zrodziło się natychmiast pytanie zasadniczej historycznej wagi. To mianowicie, jaka rodzi się Rosja? Czy może istnieć demokratyczna Rosja, która by realizowała imperialne ambicje wobec bliskiej czy dalszej zagranicy? Czy, mówiąc prościej, jest możliwy jakiś typ stosunków między Rosją a jej sąsiadami bez stygmatów rosyjskiej hegemonii? No i, *last but not least*, dokąd sięgają granice bliskiej zagranicy?

d) Był czas złudzeń

Na razie, prawie trzy lata, które upłynęły od śmierci ZSSR, nie przyniosły jasnej i niedwuznacznej odpowiedzi na te pytania.

Pierwszy okres dyplomacji rosyjskiej, po upadku ZSSR i zjednoczeniu Niemiec, charakteryzował się przede wszystkim fascynacją stosunkami z USA, i faktycznym monopolistycznym skoncentrowaniem rosyjskiej polityki zagranicznej na sprawach amerykańskich, na doprowadzeniu do strategicznego partnerstwa z USA i, poprzez USA, szerzej, z grupą G-7, siedmiu państw najbardziej uprzemysłowionych.

Po pewnym czasie jednak dał się zauważyć wysiłek Rosji w kierunku odtworzenia kapitału wpływów Związku Sowieckiego w stosunkach z byłymi republikami sowieckimi. Proces ten biegł i biegnie wieloma torami. Jeden np. to traktaty gospodarcze i wojskowe wiążące państwa WNP. Inny to po prostu mniej lub bardziej narzucona obecność wojskowa, tak jak to było w Gruzji poprzez operację abchaską, w Mołdawii poprzez operację zadniestrzańską czy w Tadżykistanie pod — realnym zresztą — pretekstem kontroli granicy afgańskiej. Inny jeszcze to projekt faktycznego wchłonięcia Białorusi poprzez unię monetarną. Jeszcze inny to presja etniczna czy gospodarcza, jak np. wobec Ukrainy gdzie Rosja, poprzez szantaż krymski czy energetyczny, zmierza do narzucenia koncesji w sprawie denuklearyzacji czy rezygnacji z floty czarnomorskiej, powolnego odrywania Krymu itd.

Dwie uwagi są w tym miejscu niezbędne. Pierwsza to ta, że prawdopodobnie Rosja nie zmierza do restauracji sowieckiego modelu imperialnego. Rosja, co prawda, traktuje dziś faktycznie prawie cały obszar byłego ZSSR jako strefę jej hegemonicznych wpływów, ale zastosowanie modelu sowieckiego byłoby, z uwagi na wysokość niezbędnych subwencji, po prostu za drogie. Byłby to także model politycznie niebezpieczny. Imperium typu sowieckiego zakłada wyjątkowo wysoki stopień przymusu. Otóż, w Rosji przymus nie ograniczyłby się tylko do stosunków wobec kolonii. Sama metropolia zostałaby nim także szybko objęta. Rosjanie to już znają, interes się nie opłaca.

Druga uwaga, to ta, że mimo szerokich stref cienia i wątpliwości, wydaje się iż kwestia wschodnio- i środkowoeuropejskich państw, byłych członków Paktu Warszawskiego, rysuje się inaczej niż państw WNP. Wyglądało to nawet dziwnie, albowiem w jej początkowym okresie posowiecka Rosja tylko w niewielkim stopniu wykazywała zainteresowanie Europą Środkową i Wschodnią, to znaczy obszarem, który przecież, jako strefa byłego Paktu Warszawskiego, był, przez 50 lat, jednym z głównych argumentów Rosji na rzecz rewindykacji jej supermocarstwowego statusu.

Mogło się wydawać, że z wyjątkiem polityków typu Żyrynowskiego, cały wachlarz rosyjskiej klasy politycznej doszedł do wniosku, iż obszar byłego Paktu Warszawskiego, a nawet, do pewnego stopnia także Pribałtyki, został właściwie, politycznie biorąc, dla Rosji stracony.

Nie brakło podstaw do takiego wniosku. Mogło się np. wydawać, że utrata zainteresowania ze strony Rosji sprawami byłych „bratnich republik" środkowo- i wschodnioeuropejskich odzwierciedla jej wewnętrzne słabości i jej przekonanie, że po prostu nie stać jej, na tle ogromnych trudności wewnętrznych, na odegranie jakiejś poważniejszej roli wśród środkowo- i wschodnioeuropejskich sąsiadów. Można było nawet sądzić, i niektórzy tak sądzili, że taka „dymisja" odzwierciedla niewątpliwe przecież osłabienie roli Rosji jako globalnego aktora w polityce międzynarodowej w ogóle. Przez pewien okres wydawało się nawet, że Rosja zrezygnowała z kontrowania nasilających się tendencji w państwach byłego Paktu Warszawskiego do maksymalnego zbliżenia, a potem integracji z Zachodem i jego instytucjami gospodarczymi, politycznymi a nawet wojskowymi.

e) ...i był czas powrotu do rzeczywistości

Było to jednak tylko złudzenie. I nie trwało ono długo. Mniej więcej, w połowie roku 1993, Moskwa odnalazła naturalny, jej zdaniem, horyzont rosyjskiej dyplomacji, pokusę odtworzenia „swojej" tradycyjnej strefy wpływów. Tendencję do rozszerzania pojęcia i zakresu „bliskiego sąsiedztwa".

Moskwa szybko dała do zrozumienia, że brak klasycznie imperialnych aspiracji Rosji w Europie Środkowej nie oznacza rezygnacji Rosji z przekonania, iż Środkowo-Wschodnia Europa ma zasadnicze znaczenie dla jej bezpieczeństwa. Zdaniem Moskwy, żaden z krajów tej strefy nie powinien stać się źródłem jakiegokolwiek zagrożenia dla Rosji i jej interesów politycznych czy gospodarczych. Najlepszym zaś sposobem zapobieżenia takiej niemiłej perspektywie jest, znowu zdaniem Moskwy, kontrola Rosji nad wszystkimi międzynarodowymi procesami makropolitycznymi w tej strefie, wyeliminowanie, a co najmniej drastyczne ograniczenie zachodnich wpływów w tym rejonie, a najlepiej po prostu udział Rosji we wszystkich przedsięwzięciach międzynarodowych podejmowanych przez jakiś kraj albo grupę krajów tej strefy.

To stanowisko przejawiło się i w nieufności wobec grupy Wyszehradu czy udziału Bałtów w Radzie Nordyckiej, nie mówiąc już o ukraińskich pomysłach czegoś w rodzaju Międzymorza, ale także wobec inicjatywy „septagonale", osi Warszawa-Bonn-Paryż, no i przede wszystkim w postawieniu veta wobec idei rozszerzenia NATO.

Nieporozumienie, bo tak należy nazwać spektakl z udziałem Wałęsy i Jelcyna w Warszawie, jest najbardziej wymownym przykładem komedii pomyłek, nieporozumień i niezrozumienia sytuacji i polityki rosyjskiej w byłych krajach satelickich.

25 sierpnia 1993 Wałęsa i Jelcyn dali do zrozumienia we wspólnej deklaracji w Warszawie, że Rosja nie przeciwstawi się zamiarom Polski wejścia do NATO. W Polsce i na Zachodzie zapanowała euforia. Nie tyle z powodu perspektywy rozszerzenia NATO na Wschód, bo na ten temat NATO, poszukujące wówczas samo dla siebie nowej racji bytu, nie miało jeszcze niczego poważnego do powiedzenia. Ale, uznano, że taka postawa Jelcyna, ponowiona natychmiast w Pradze, ma wielki wymiar moralny, że oznacza definitywną rezygnację z jej ambicji hegemonistycznych w całej Europie pojałtańskiej.

Nastrój się jednak szybko zmienił. Z końcem września nastąpił powrót do rzeczywistości. W liście do przywódców USA, Francji, Anglii i Niemiec Jelcyn wyjaśnił, że stanowisko Rosji zostało źle zrozumiane, że rozszerzenie NATO na Wschód nie może się odbyć kosztem bezpieczeństwa Rosji, i że wobec tego przyjęcie do NATO państw Europy Środkowej mogłoby nastąpić tylko równocześnie z przyjęciem Rosji. Czyli nigdy.

Pozostaje tylko dziwić się naiwności polityków polskich czy zachodnich w ogóle. Jak można było rzeczywiście nie zauważyć, że Jelcyn nie mógł niczego innego w Warszawie zrobić niż wyrazić publicznie zgodę na polskie suwerenne plany polityczne. Można sobie wyobrazić co by się działo gdyby Jelcyn zajął stanowisko odwrotne, to znaczy sprzeciwił się aspiracjom suwerennego państwa wyrażonym przez suwerennego prezydenta i to w jego stolicy...

Jak można było, z drugiej strony, sądzić, że akurat pod wpływem Wałęsy, Jelcyn mógł zrezygnować z podstawowego dogmatu rosyjskiej polityki zagranicznej, obecnego we wszystkich wypowiedziach cywilnych i wojskowych polityków moskiewskich, tego mianowicie, że aktualna rosyjska koncepcja bezpieczeństwa wyklucza obecność NATO w Europie Środkowej. Oficjalna argumentacja Rosji zakrawa na kpiny, powoływanie się na obawę przed izolacją 150-milionowego państwa rozciągającego się na przestrzeni 10 stref czasu, nie zasługuje na poważne traktowanie, ale nie należy oporu rosyjskiego lekceważyć. Kozyriew nigdy nie ukrywał, że nie rozumie dlaczego Wyszehrad się spieszy do NATO i właściwie przed jakim niebezpieczeństwem szuka ochrony i gwarancji sojuszu atlantyckiego? W przeddzień podróży Jelcyna do Warszawy, Kozyriew ostrzegał Polskę i Czechy przed umizgami do NATO i oświadczył, że „Środkowo-Wschodnia Europa nigdy nie przestała stanowić strefy interesu Rosji". Jaśniej wyrazić tego nie można było. Zachód aluzję zrozumiał...

IV. DOJRZEWANIE ZACHODU

NATO i EWG nie spodziewały się i nie były przygotowane ani na tak szybki i bezbolesny upadek muru i komunizmu, ani na tak szybkie i bezbolesne (choć kosztowne) zjednoczenie Niemiec. Powołane do perspektywicznego myślenia instytucje zachodnie i europejskie zastanawiały się nad wszystkimi możliwymi scenariuszami, z wyjątkiem tego, który się faktycznie dokonał. Nikt na Zachodzie — na Wschodzie tym mniej — nie zastanowił się nad nieuniknioną perspektywą rozpadu wielonarodowych imperiów komunistycznych, dużego to znaczy ZSSR i małego, tzn. Jugosławii. Wystarczy przypomnieć pobyt Busha w Kijowie, gdzie, podczas pełnej ukraińskiej euforii niepodległościowej, amerykański prezydent głosił chwałę współżycia z Rosjanami. Wystarczy

też przypomnieć zachodnią politykę, albo raczej jej brak, wobec Jugosławii, kiedy to europejskie „trojki" lepiły na siłę konającą federację.

a) Bośnia a Kuwejt

Jugosławia właśnie stanowiła, i, niestety, ciągle stanowi, podwójny podstawowy test zachodniej niemożności. Pomijając oczywiste aspekty humanitarne, chodzi tu, z jednej strony, o brak zachodniej wspólnej woli działania politycznego, z drugiej strony, o cyniczne i krótkowzroczne pojmowanie własnego interesu. Bardzo szeroko lansowane było z tej okazji porównanie z interwencją w Zatoce Perskiej. Otóż, porównanie takie może się narzuca, ale jest z gruntu fałszywe. Z trzech powodów.

Po pierwsze, w Kuwejcie doszło do otwartej agresji Iraku na suwerenny kraj, państwo członkowskie ONZ. Sytuacja była więc jasna: prawo międzynarodowe zostało pogwałcone i międzynarodowa akcja była całkowicie uzasadniona. W Jugosławii nic nie było jasne. Kolejno następujące po sobie interwencje Serbii w Słowenii, Chorwacji, a przede wszystkim w Bośni nosiły wszystkie znamiona wojny domowej. Zachód nie rozumiał tej strony konfliktu. A niepodległość byłych republik jugosłowiańskich uznał pod naciskiem chwili, albo za wcześnie albo za późno.

Po drugie, w Zatoce Perskiej Zachód od początku działał solidarnie i razem. Przywództwo amerykańskie było oczywiste i całkowite, ale pozory międzynarodowej akcji zostały zachowane i na polu i w dyplomacji. Środki działania były ogromne. Wszystko się działo w majestacie i pod firmą organizacji międzynarodowej, to znaczy ONZ, przy współdziałaniu czy zgodzie ZSSR. W Jugosławii było na odwrót. Na początku konfliktu, a właściwie cały czas, Zachód działał w rozsypce, każdy kierował się swymi tradycyjnymi interesami, Francja była proserbska, Niemcy - prochorwaccy, a Austriacy - prosłoweńscy, tak jakby nic się w Europie nie zmieniło od Metternicha. Ta sama ONZ, która zdała egzamin w Iraku, została w Jugosławii właściwie skompromitowana. Zwłaszcza KBWE okazała się bezsilna i bezradna. Z klęski w Bośni, KBWE będzie się bardzo trudno podnieść.

Po trzecie wreszcie, i dla nas dziś najważniejsze, interweniując w Zatoce Perskiej Zachód działał wspólnie w imię poprawnie pojętego interesu własnego. Z jednej strony, zmiana na siłę granic i powiększenie siłą terytorium Iraku mogło wywołać efekt domina zagrażający całemu układowi geopolitycznemu na Środkowym i Bliskim Wschodzie, to znaczy w rejonie, gdzie po faktycznym wycofaniu się ZSSR, Ameryka szykowała swój własny porządek. Z drugiej strony, chodziło o naftę. Zachód nie mógł dopuścić do opanowania przez paranoicznego dyktatora połowy światowych rezerw tego strategicznego surowca. W Jugosławii, nafty nie było. Przede wszystkim jednak, nikt na Zachodzie nie miał poczucia, że jego narodowe, państwowe interesy są tam zagrożone.

b) Co to jest wspólny interes?

Ta długa, choć i tak powierzchowna, analiza wstępna była potrzebna aby powiedzieć, że także w odniesieniu do Rosji Zachód ciągle właściwie nie dopracował się wizji własnego wspólnego interesu. To prawda, że Zachód nie kwestionuje strategicznego celu Rosji, która dąży do odzyskania wpływu na obszarze byłego Związku Sowieckiego, albowiem taki cel nie tylko nie zagraża zachodnim interesom, ale, wprost przeciwnie, im odpowiada. Zachód nie posunął się do firmowania rosyjskiej interwencji w Gruzji czy Tadżykistanie, Butros Ghali nie zgodził się ani na udzielenie Rosji mandatu ONZ ani na finansowanie operacji, ale ponieważ pozory, m.in. zgoda WNP, zostały zachowane, nikt na Zachodzie się nie sprzeciwił akcji (często gwałcącej prawa ludzkie i normy międzynarodowe) „białych hełmów" rosyjskich u bliskich sąsiadów.

Takie stanowisko nie wystarczy jednak dla sformułowania pozytywnego programu. Zachód ciągle nie wie jakie granice bliskiego sąsiedztwa mógłby tolerować. Kiedy, w przypadku jakiego posunięcia Rosji wobec Ukrainy, Bałtów, czy jakiegoś kraju spoza obszaru byłego ZSSR, Zachód uzna, że jego wspólne interesy zostały zagrożone? Zachód przymyka oczy na hegemonistyczne postępowanie Rosji u jej bliskich sąsiadów, ponieważ sądzi, że krytyka polityki Rosji wobec obszaru posowieckiego mogłaby osłabić Jelcyna i wzmocnić nastroje antyreformatorskie i antyzachodnie w Rosji. Jest to moim zdaniem teza fałszywa, albowiem rosyjski nacjonalizm jest produktem, że tak powiem, narodowym, i rozwija się niezależnie od postawy Zachodu. Jest to także teza szkodliwa, albowiem Rosja nie stara się nawet odgrywać roli uczciwego rozjemcy, a stosuje coraz częściej metody właściwie neoimperialne (Gruzja-Abchazja).

Czy i jak więc można dziś określić pojęcie wspólnego interesu Zachodu wobec Rosji? Czy wspólna polityka wobec Rosji jest w ogóle możliwa, czy też jest ona, tak jak wobec Jugosławii, skazana na rozproszenie i nieskuteczność? Historia zbliżenia Europy Środkowej do NATO i rola Rosji w tym procesie są najlepszą ilustracją trudności w precyzyjnym określeniu tej polityki.

c) Potrójne wyzwanie

Upadek muru postawił NATO wobec potrójnego wyzwania. Po pierwsze Zachód stracił wroga i NATO zostało zmuszone do poszukiwania nowej racji bytu i sensu istnienia. Po drugie, trzeba było znaleźć sposób na uśmierzenie niepokoju nowych demokracji środkowo- i wschodnioeuropejskich o ich bezpieczeństwo. Po trzecie, oba wymienione postulaty powinny być zaspokojone bez stwarzania wrażenia, iż musiałoby się to odbyć kosztem Rosji. W istocie, wszystkie trzy punkty składają się na jedno wielkie pytanie i wyzwanie: jaka będzie Europa końca XX i początku XXI wieku?

Bez wnikania w szczegóły, można odtworzyć kilka etapów „dojrzewania" Zachodu w ogóle, a NATO w szczególności.

— 6 lipca 1990 r. czyli już w 7 miesięcy po upadku muru, szczyt NATO w Londynie proklamował nawiązanie regularnych kontaktów dyplomatycznych z krajami Paktu Warszawskiego.

— Rzymska deklaracja z 8 listopada 1991 roku, w której NATO stwierdziło, że jego polityka bezpieczeństwa „oparta jest o dialog, współpracę i utrzymanie kolektywnej zdolności obronnej".

— Na tej zasadzie oparty jest wylansowany 20 grudnia 1991 program Rady Współpracy Północnoatlantyckiej, w angielskim skrócie NACC, francuskim Cocona, obejmującej państwa NATO i Paktu Warszawskiego. Od tej pory, w języku dyplomatycznym, byli przeciwnicy NATO określani są jako „partnerzy we współpracy". Formalnie biorąc na forum Rady można było poruszać wszystkie właściwie kwestie polityczne i wojskowe z dziedziny bezpieczeństwa, utrzymania pokoju, konfliktów etnicznych a nawet państwowych (wojska rosyjskie u Bałtów, Karabach, Krym, flota czarnomorska itd.). Praktycznie jednak, Rada bardzo szybko ujawniła granice swych możliwości. Pozbawiona w ogóle wszelkich środków działania, Rada stała się jedynie klubem, ważnych ale nie decydujących, kontaktów personalnych i wymiany myśli do niczego nie zobowiązujących.

d) Dalej, ale ostrożnie

Trzeba było pójść dalej. Tym szybciej, że pod presją faktów, zwłaszcza prawdziwej ich eskalacji w drugiej połowie roku 1993 poprzedzającej szczyt NATO, z udziałem Clintona, w Brukseli 10 i 11 stycznia 1994, państwa Europy Środkowej i Wschodniej coraz silniej odrzucały półśrodki i nalegały na otwarcie przed nimi drzwi prosto do NATO. Oto niektóre tylko z tych faktów:

— Neoimperialna interwencja i obecność armii rosyjskiej na Kaukazie i w Azji Środkowej,

— Nagła wolta w stanowisku Jelcyna i rosyjskie veto wobec deklaracji warszawskiej na temat rozszerzenia NATO na kraje Europy Środkowej,

— Wojna o parlament w październiku 1993, wprowadzenie wojska do wewnętrznej polityki w Rosji,

— Wybory w grudniu 1993 i pojawienie się potężnej opozycji ultranacjonalistycznej i komunistycznej.

Na tle tych eskalacji, nawet najbardziej ostrożne rządy zachodnie i NATO znalazły się w sytuacji politycznie napiętej. Z jednej strony, nikt nie mógł już lekceważyć argumentów kandydatów do integracji z NATO. Z drugiej jednak strony, Zachód nie chciał podejmować decyzji, które mogłyby, jak się obawiano, osłabić siły reformatorskie i projelcynowskie.

Dojście Strobe Talbotta, zastępcy sekretarza stanu, do pozycji decydującej właściwie o rosyjskiej polityce USA, bardzo wzmocniło zwolenników tej tezy. Miał on tyle ułatwione zadanie, że rządy zachodnie nie chciały uczynić niczego co w jakikolwiek sposób mogłoby wciągnąć je w wybuchające lub grożące wybuchem konflikty typu etnicznego i wciągnąć je do angażowania ich sił wojskowych poza aktualnym obszarem NATO. Bośnia, pod tym względem, wystarczyła.

Dodatkowym argumentem na rzecz wstrzemięźliwości w ekspansji było ryzyko utrudnienia funkcjonowania NATO. Proces podejmowania decyzji jest i tak skomplikowany, wejście nowych członków bardzo by go utrudniło. NATO wygrało zimną wojnę, na razie nadal działa skutecznie, nie należy, powiadają w Brukseli, robić niczego co by ten mecha-

nizm mogło popsuć. Dojście postkomunistów do władzy na Litwie, w Polsce i na Węgrzech, wzmocniło argumentację obozu ostrożnych. W tej optyce, powiadają, rozszerzenie NATO miałoby ujemne skutki i dla konsolidacji NATO i dla stabilizacji w Europie.

Z tej samej optyki, mówiąc w wielkim skrócie, narodził się projekt „Partnerstwa dla Pokoju", poczekalni do NATO, gdzie wszyscy „partnerzy" są równi na starcie, ale, w miarę upływu czasu, mogą stać się coraz mniej równi.

V. PIĘĆ DARÓW UMYSŁU

Pięć jest darów umysłu: zdrowy rozum, wyobraźnia, zdolność abstrahowania, pamięć i fantazja. Od Kopalińskiego dowiedziałem się, że odkrył to Anglik, Stephen Hawes. W roku... 1515. Dziś — jak znalazł, obaj pomogli w uporządkowaniu całości.

ZDROWY ROZUM

a) Bez paniki

Szara strefa, naturalnie, istnieje, w tym sensie, że są w Europie Środkowej i Wschodniej kraje, które nie znajdują się już w pasie wpływów Rosji, a nie weszły jeszcze w ramy zorganizowanych struktur zachodnich. Bruksela rozumie, że Rosja jest wielkim mocarstwem europejskim, i ma ważne interesy, w tym także związane z jej percepcją bezpieczeństwa, w Europie Środkowej i Wschodniej. Rosja nie zaniedbuje zresztą żadnej okazji, aby o tym światu przypomnieć. Nie trzeba jednak, powiadają w Brukseli, przesadzać. Interesy, o których mowa nie są „życiowe", w tym stopniu w jakim były one, w optyce Moskwy, w roku 1956 na Węgrzech, w 1968 w Czechosłowacji, w 1979 w Afganistanie, lub, co ciągle nie jest jasne, w 1981 roku w Polsce.

Inaczej mówiąc, Rosja nie jest dziś politycznie skłonna, nie mówiąc już o możliwościach materialnych ani skutkach dyplomatycznych, pójść na awanturę na obszarze pozasowieckim, w imię podobnych kryteriów co w latach sowieckich. Rosja, jak wiemy, bierze na siebie rolę żandarma w granicach WNP, na obszarze byłego ZSSR, poza, w zasadzie, Bałtami.

Jeżeli jednak chodzi o kraje byłego Paktu Warszawskiego, można sformułować wniosek, że w przewidywalnych hipotezach, w sensie wojskowym, nie zagraża tym krajom niebezpieczeństwo ze strony obecnego państwa rosyjskiego.

b) Rosja — inaczej

Fakt, że Rosja nie zagraża dziś byłym satelitom nie znaczy jednak, że można lekceważyć potęgę państwa rosyjskiego. Rosja nie ma już możliwości jednostronnego decydowania o losach dużej części Europy, ale zachowała sporą zdolność szkodzenia lub co najmniej hamowania pożytecznych, z polskiego np. punktu widzenia, międzynarodowych procesów politycznych. Bez Rosji nie da się niczego ważnego w Europie załatwić. Rosja w Europie może być zarówno czynnikiem porządku co i destabilizacji. Nie jest łatwo manewrować między Scyllą a Charybdą. A taka jest właśnie sytuacja.

Z jednej strony, integracja Rosji w najważniejsze struktury zachodniego bezpieczeństwa, NATO czy UZE, pozbawiłaby te instytucje w ogóle jakiegokolwiek sensu. Z drugiej strony, izolacja Rosji, jeżeli założyć, że jest ona w ogóle możliwa, lub choćby jej wyraźna marginalizacja, mogłaby posłużyć za pretekst do paraliżowania procesu wewnętrznych rosyjskich reform demokratycznych i gospodarczych.

Stąd, trzeba patrzyć realnie i liczyć się z sytuacją, w której, choć w konkretnych układach wszyscy powinni w zasadzie być równi, w rzeczywistości Rosja będzie od innych jeżeli nie równiejsza, to na pewno będzie traktowana inaczej. Tak jak to było wiosną tego roku, w trakcie negocjowania przystąpienia Rosji do PdP, Zachód nadal odmawiać będzie przyznania Rosji prawa veta wobec swych decyzji. Takie samo stanowisko, choć nieco mniej ostentacyjnie, Zachód zajmie wobec rosyjskich żądań jakiegoś specjalnego statutu w międzynarodowych układach. Z racji jednak praktycznie niezbędnego (choć w praktyce nieraz bardzo dwuznacznego) udziału Rosji w rozmaitych konsultacjach dotyczących np. kwestii atomowych czy sytuacji w Bośni lub Korei Północnej, Zachód będzie szukać sposobów zaspokojenia rosyjskich ambicji prestiżowych. Najbardziej spektakularnym przejawem tej mało kosztownej dyplomacji było dopuszczenie Jelcyna na europejski szczyt na wyspie Korfu i na spotkanie G-7 w Neapolu.

c) Równanie o zmiennych danych

To powiedziawszy, nie ma żadnej gwarancji, że, z punktu widzenia np. Polski, zachodnie koncesje będą zawsze miały charakter tylko prestiżowy. Priorytetem USA, i Zachodu w ogóle w Rosji, jest demokratyzacja i demilitaryzacja tego kraju, takie jego urządzenie aby nie tylko przestał on stanowić groźbę dla stabilizacji świata, ale zaczął aktywnie uczestniczyć w jej przywracaniu wszędzie tam gdzie jest ona zagrożona.

Dlatego, choć mówienie przy każdej okazji o nowej Jałcie jest politycznym absurdem i psychologicznym błędem, to trzeba na sytuację patrzyć bez złudzeń, jak chciał Hawes „na zdrowy rozum": USA i Zachód nie uczynią niczego w stosunkach z Europą Środkową co w ich pojęciu mogłoby realizacji ich celów w Rosji istotnie zaszkodzić czy ją opóźnić.

Powstało więc coś w rodzaju europejskiego równania: Zachód-Rosja-Europa Środkowa i Wschodnia, o zmiennych parametrach. O rozłożeniu akcentów w tym równaniu zadecydują w ogromnym stopniu sytuacja wewnętrzna państw Europy Środkowej, ich stabilizacja, postępy w reformie gospodarczej, prywatyzacji, itp. Im sytuacja w państwach Europy Środkowej będzie bardziej stabilna, im większa zdolność i możliwości adaptacyjne tych państw do standardów i priorytetów NATO, tym pozycja tych państw w PdP i strategii Zachodu w ogóle będzie mocniejsza, a rola Rosji będzie relatywnie słabsza.

WYOBRAŹNIA

a) Oko na wszystko

W tym kontekście, można sobie wyobrazić, że wbrew ostrości aktualnej retoryki Moskwy i na dalszą metę, sprawa rozszerzenia NATO na Europę Środkową okaże się dla Rosji właściwie drugorzędna. Rosja nie zrezygnuje naturalnie z lansowania tego veta przy każdej okazji, ale kampania przeciw rozszerzeniu NATO może się okazać nie celem a środkiem do celu. Ważniejsze dla Rosji będzie zająć współdecydujące miejsce a co najmniej nie dać się wyeliminować z pozimnowojennego urządzania Europy. Moskwa podejrzewa Zachód o takie intencje. Taka, zdaniem Moskwy, jest lekcja

z Jugosławii, przykładem tego miało być nie konsultowane z Rosją ultimatum sarajewskie w lutym tego roku czy zapowiedź sankcji wobec Korei Północnej.

Można założyć, że cały dyplomatyczny wysiłek Rosji pójdzie w kierunku zapewnienia jej obecności partnerskiej i wpływowej, i — kiedy to tylko będzie możliwe — pozycji współdecydenta i kontrolującego miejsca we wszystkich instytucjach czy instrumentach już istniejących czy nowopowstałych mających w jakiś sposób urządzać Europę i niektóre inne części świata. Stąd się zrodził *linkage*, sprzężenie wprost, uzależniające przystąpienie Rosji do PdP (lub innych przyszłych układów tego typu) od umowy o właściwie automatycznej konsultacji NATO z Rosją na każdym szczeblu i przy każdej okazji. To się nie udało, ale Rosja nie zrezygnuje ze stałej presji w tym kierunku.

b) Bez art. nr 5

Na podstawie tego wszystkiego nie należy jednak sobie wyobrażać, że pomysł „poczekalni" pod nazwą PdP zamiast pełnej integracji w NATO zrodził się wyłącznie czy choćby przede wszystkim pod presją i w imię interesów Rosji czy jej veta wobec perspektywy atlantyckiej ekspansji na Wschód. Idea PdP zrodziła się przede wszystkim z — dobrze czy źle — to właśnie kwestia wyobraźni, pojętego interesu Zachodu. Zachód mianowicie uznał, że, politycznie biorąc, nie ma powodu a, wojskowo biorąc, nie stać go na ryzyko udzielenia Europie Środkowej i Wschodniej prawdziwych gwarancji bezpieczeństwa odpowiadających art. nr 5 statutu NATO, zakładającego automatyczną interwencję wszystkich członków NATO w wypadku agresji na jednego z nich. Zachód po prostu sobie wyobraża, że ani państwa Europy Środkowej czy Wschodniej ani fundamentalne interesy Zachodu nie są w tej chwili w tym rejonie zagrożone przez Rosję.

ZDOLNOŚĆ ABSTRAKCJI

a) Co dalej?

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, można spróbować przewidzieć dalszą taktykę Rosji i wynikające z niej problemy dla Polski, Europy Środkowej i Wschodniej, i świata w ogóle.

Rosja będzie nadal sugerować całkowicie dziś abstrakcyjny bipolarny system urządzania Europy, np. wspólne gwarancje rosyjsko-zachodnie dla Europy Środkowej i Wschodniej lub układ NATO-WNP, a kiedy to się nie uda (bo to akurat się rzeczywiście nie uda), to, mimo zygzaków, działań opóźniających, targowania się a nawet gróźb i szantażów dyplomatycznych, Rosja dołączać będzie do wszystkich zachodnich inicjatyw.

Zgodnie z zasadą, że nieobecni nie mają racji, i że tylko od środka można skutecznie (także destrukcyjnie) działać, Rosja w końcu dołączyła także do Partnerstwa dla Pokoju. Rosja nie mogła i nie może pozwolić sobie na nieobecność w układach, w których obecni są już nie tylko byli członkowie Paktu Warszawskiego, ale także aktualni członkowie WNP.

b) Trzy razy nie

Jest to jednak taktyka nie tylko bierna. Obecność Rosji, bezpośrednia lub pośrednia, członkostwo lub status obserwatora, w strukturach międzynarodowych, zmierza także do względnego i bezwzględnego osłabienia ich funkcji i ograniczenia zasięgu ich oddziaływania. Im słabsze będą rygory ponadnarodowe i zbiorowe, tym silniejsza, względnie i bezwzględnie, będzie pozycja Rosji. Są na to trzy główne sposoby.

Z jednej strony, Moskwa, tak jak to było w odniesieniu do PdP, zaczyna od domagania się dla siebie szczególnego statusu. Powiada, że nie można Rosji traktować jak Albanii, w imię czego domaga się przyznania jej roli uprzywilejowanej, z reguły przed podpisaniem odpowiedniego dokumentu, a jeżeli to jest możliwe, to niezależnie od jego podpisania.

Z drugiej strony, Rosja będzie zmierzać do rozmycia nowych międzynarodowych instytucji, tych, w których nie mogła, formalnie przynajmniej, zająć uprzywilejowanego miejsca, jak właśnie PdP, czy nawet samego NATO, w skompromitowanych, bezradnych i nieskutecznych, strukturach przede wszystkim KBWE. W maju w czasie wizyty w RFN, Jelcyn użył nawet terminu „kuratela KBWE" (po francusku *la tutelle de la CSCE*). O skutkach takiej operacji, zwłaszcza dla krajów Europy pojałtańskiej, nie trzeba się rozwodzić.

I wreszcie, z „trzeciej" strony, Rosja będzie starać się rozmiękczać wszelkie inicjatywy zmierzające do porządkowania świata na zachodni wzór czy według zachodnich reguł.

We wszystkich takich okolicznościach, Rosja gra podwójną grę. Pozornie, jest solidarna, Kozyriew używa twardego języka np. wobec bośniackich Serbów czy północnych Koreańczyków. W istocie, kiedy trzeba przejść do czynów, ten sam Kozyriew paraliżuje wspólną akcję, przeciwstawia się i faktycznie torpeduje groźbę uderzenia z powietrza na serbską artylerię czy sankcje wobec Korei.

PAMIĘĆ

a) Wielka niemowa

Dwuznaczna taktyka i podejrzane manewry mające podkreślić odrębną, w pewnym sensie antyzachodnią, a w każdym razie odmienną od zachodniej, postawę i pozycję Moskwy na świecie, stanowią problem nie tylko rosyjskiej polityki zagranicznej, ale także polityki wewnętrznej. Nie tylko jednak z uwagi na osobisty (ciągle malejący) prestiż Jelcyna, jego nacjonalistyczną retorykę w licytacji z Żyrynowskim. Widoczne zaostrzenie języka dyplomacji rosyjskiej, lansowanie przez Jelcyna hasła *Russia first*, nastąpiło w znacznej jeżeli nie decydującej mierze, pod naciskiem wojska.

W jakiejkolwiek ocenie sytuacji w Rosji, nie należy zapominać, że była Armia Czerwona, mimo poważnego osłabienia jej statusu, siły i dynamiki, mimo pauperyzacji materialnej i społecznej, odgrywa istotną, a w pewnych sprawach nawet priorytetową rolę w procesie podejmowania politycznych decyzji na najwyższym szczeblu. Jej rola w strategii wobec WNP i w pacyfikowaniu „najbliższego sąsiedztwa", a przede wszystkim jej niechętny — jak to potwierdza sam Jelcyn w swojej ostatniej (przeważnie nudnej) książce — ale decydujący udział w „bitwie o parlament", uplasowały generalicję i Graczowa osobiście na bardzo wysokim miejscu w hierarchii już nie wojskowej a politycznej w Rosji. Veto wobec NATO w Europie Środkowej i Wschodniej, bazy i interwencje w WNP, pogróżki wobec Bałtów, szantaż wobec Ukrainy, coraz dalsze granice „bliskiego sąsiedztwa", łamanie, praktycznie biorąc, jedności świata wobec zbrodni serbskich, to wszystko są znaki penetrowania polityki przez myślenie wojskowe. Otóż, NATO, jak wiadomo, pamiętane jest ciągle w Rosji jako symbol, a odczuwane jako syndrom zagrożenia i wrogości. Jelcyn twierdzi, że gdyby NATO znalazło się na wschodniej granicy Polski, wojsko rosyjskie zaczęłoby odgry-

wać jeszcze większą rolę polityczną. Jelcyn nie może sobie pozwolić na zantagonizowanie generalicji, która umiejętnie operuje szantażem, iż poszuka sobie — jak powiedział Stalin do Nadieżdy Krupskiej — „inną wdowę po Leninie", czyli innego sponsora, na przykład poza parlamentem, gdzie Ruckoj, ciągle popularny wśród wojska (bardziej niż sam Graczow), tylko czeka na taką okazję. Z dystansu można kwestionować te argumenty, np. opcja na Ruckoja zakrawa na groteskę, ale Zachód uważa, że lekceważyć ich nie powinien.

b) Samotność Ukrainy

Pamiętać także trzeba, że na wschód od Polski, nie tylko Rosja jest przeciwna ekspansji NATO i rozciągnięciu na Europę Środkową gwarancji NATO-wskich. Kijów, jak Moskwa, miał nadzieję, że PdP odsuwa na historycznie długo perspektywę wejścia Europy Środkowej do NATO. Geopolityczne interesy Polski, Czech lub Węgier, z jednej strony, a Ukrainy z drugiej strony są na razie, i zapewne na długo jeszcze, ewidentnie sprzeczne.

Celem strategicznym Polski jest jak najszybsze i najgłębsze zakotwiczenie się w strukturach zachodnich, a przede wszystkim w NATO. Ukraina zaś uważa, że wejście Europy Środkowej do NATO proklamowałoby nową Jałtę, nowy podział Europy wzdłuż wschodniej granicy Polski. W buforowej strefie, która obecnie oddziela Zachód od Rosji, Ukraina znalazłaby się sama, bez Wyszehradu. Powstałby, według Kijowa, nowy mur, w wyniku czego Ukraina, tak jak kiedyś cała Europa Środkowa i Wschodnia, znalazłaby się po jego niedobrej stronie.

Można długo przekonywać Ukraińców o dobrodziejstwach sąsiadowania z Unią Europejską czy NATO, ale to próżny trud. Dla Rosji, tak mówią w Kijowie (zamiana Krawczuka na Kuczmę niczego pod tym względem nie zmieniła), będzie to sygnał, że tych na zachód od nowego muru, ruszać już nie wolno, natomiast tych na wschód od niego nic przed Rosją nie chroni, że są to tereny łowieckie Moskwy.

Umiejętne, dwu- albo wielostronne powiązania państw Wyszehradu z Ukrainą mogłyby te strachy w pewnym stopniu załagodzić, ale nic nie wskazuje aby można było, w przewidywalnej przyszłości, na coś takiego liczyć. W lipcu tego roku, z okazji pobytu Clintona i Christophera, zwołano w Warszawie konferencję ośmiu ministrów spraw zagranicznych państw Europy Środkowej i Wschodniej. Zabrakło, pod zupełnie drugorzędnym pretekstem formalnym, tylko Ukrainy. Nad tym jakie to zrobiło wrażenie w Kijowie, rozwodzić się nie trzeba.

Paradoksalnie mówiąc, przyjście Kuczmy stwarza nowe możliwości. Jego ostentacyjna prorosyjskość może się okazać chwytem przedwyborczym. W końcu, jeżeli jest się już wybranym, to „przyjemniej" jest być prezydentem suwerennej, a nie satelickiej Ukrainy. Polska uważa, że jest za biedna i za słaba aby zagwarantować Ukrainie dobrobyt i bezpieczeństwo, ale Polska ma do dyspozycji ogromny kapitał kulturalny i psychologiczny do zainwestowania na Ukrainie i to z obustronnym, potencjalnie kolosalnym, zyskiem.

c) Zawsze wierni

Wyborcze sukcesy lewicy w Europie Środkowej nie wywołały początkowo wstrząsu w Brukseli. Wydarzeń węgierskich i polskich (tak jak, w innym rejestrze, wydarzeń włoskich) lekceważyć, naturalnie, nie należy, ale Bruksela uważa, że do komunizmu na Węgrzech lub w Polsce (podobnie jak do faszyzmu we Włoszech) powrotu nie ma. Zmiany poszły za daleko, są nieodwracalne. Oficjalnie, stanowisko jest jasne. Z jednej strony, powiadają, narody suwerennie wybrały, a my się nie mieszamy do wewnętrznych spraw naszych partnerów. Z drugiej strony, NATO wiąże się z państwami a nie rządami czy, tym mniej, partiami. I wreszcie, nie mamy, przynajmniej na razie, żadnego powodu do niepokoju, lewicowy rząd np. w Warszawie nie podjął jak dotąd (pisane to jest z początkiem sierpnia) żadnej decyzji, która by w jakiś sposób mogła ujemnie wpłynąć na treść decyzji podejmowanych w NATO czy Unii Europejskiej w odniesieniu do Polski.

W Brukseli liczą się konkrety gospodarcze i polityczne a nie pseudoideologia. Naturalnie, trzeba wiedzieć, że gdyby skręt w lewo okazał się zbyt ostry, a nacisk postkomunistyczny w Budapeszcie czy Warszawie zbyt widoczny i spowodował zmiany (na przykład antydemokratyczne czy antyrynkowe) za daleko idące, to pojawienie się twarzy z dawnych czasów, obecność Kwaśniewskiego czy Horna na miejscu popularnych tutaj, prawie symbolicznych, „Balcerowiczów", może posłużyć za wygodny pretekst do bolesnej zmiany jakiejś konkretnej decyzji, nie mówiąc już o zwłoce w — i tak odległej — dacie zaślubin z NATO czy Europą.

Albowiem, biurokratyczny mechanizm NATO-wski czy europejski, który bywa, co z Warszawy czy Budapesztu dobrze widać, ociężały w działaniu „na tak" (kiedy trzeba na przykład otworzyć rynki przed polską stalą czy węgierskim rolnictwem), wyposażony jest jednak w dość szybkie i skuteczne instrumenty zaniechania i działania „na nie".

Z tego punktu widzenia, to też kwestia pamięci, jak najgorsze wrażenie zrobiła w Brukseli czerwcowa „debata" nad sprawozdaniem sejmowej podkomisji spraw zagranicznych. Cztery lata rządów Skubiszewskiego w MSZ-cie, mogą, a nawet powinny, podlegać krytyce. Mądra analiza tych lat, także polityki kadrowej, mogła i powinna była być dokonana. Ale tu nie o to chodziło. Formalnie atak podkomisji dotyczył polityki kadrowej MSZ; faktycznie — polskiej racji stanu. Miał ugodzić Skubiszewskiego, Olechowskiego i kilku ambasadorów spoza „jaczejki", ugodził w prestiż Polski na świecie. Wbrew temu co się myśli w Warszawie, ta, jak ją nazwał marszałek Małachowski, „rynsztokowa" afera sięgająca do argumentów roku 1968, wywołała, tam gdzie trzeba, spore zainteresowanie, niepokój i niesmak.

Odżyła natychmiast pamięć o komunistach, spadł, tak misternie przez nich fabrykowany, listek „nowego dziewictwa". Nie chodzi tu tylko o po prostu głupie podważenie np. tak ważnej dla Polski polityki niemieckiej (a było, o tym także trzeba pamiętać, w przeddzień objęcia przez Niemcy przewodnictwa w Unii Europejskiej).

Sprawa ma ważniejszy opad. Okazuje się bowiem, że, jak wynika z poglądów głoszonych przez ekspertów polityki zagranicznej polskiej lewicy, ugrupowania, z jakich wywodzą się autorzy raportu podkomisji, popierają główne tezy rosyjskie właśnie w dziedzinie bezpieczeństwa Europy. Panowie ci mianowicie podzielają i popierają tendencje Moskwy do rozmycia PdP czy NATO w sparaliżowanych strukturach KBWE czyli głoszą pogląd diametralnie sprzeczny z linią oficjalnej polskiej polityki zagranicznej i — w istocie — z polską racją stanu. W Moskwie już nie ma Politbiura ani „genseka", ale stare nawyki pozostały. Tu już chodzi więc o coś ważniejszego niż „koci zapach" w ambasadzie w Lizbonie tak szeroko opisany w aneksie do raportu podkomisji.

FANTAZJA

a) Kompromis bez złudzeń

Partnerstwo dla Pokoju oznacza, naturalnie i przede wszystkim, że historycznie ważne decyzje o włączeniu Europy Środkowej do zachodniego obszaru gwarantowanego bezpieczeństwa zostały odłożone na później. *Per analogiam* i na tle wydarzeń w Bośni, można z tego także wysnuć wniosek, że w razie czego, obszar Europy Środkowej nie będzie przez Zachód broniony. „Kompetentne" koła w Brukseli dają co prawda do zrozumienia, że „w razie co", Europa Środkowa zostanie automatycznie i natychmiast objęta ramionami NATO, ale wtedy mogłoby być już za późno. Ta strona medalu jest więc niewesoła.

Ale jest, jak zawsze, i druga strona medalu. PdP bowiem oznacza także, że po czterech latach starań kraje Europy Środkowej i Wschodniej — byli członkowie Paktu Warszawskiego — znalazły się znacznie bliżej NATO, najważniejszego i jedynie skutecznego zachodniego systemu bezpieczeństwa. I że obecność Rosji w PdP, w jakimś stopniu, wiąże jej ręce, nakłada na nią pewne obowiązki i ogranicza, choćby na papierze, jej ewentualnie niedobre zamiary.

Naturalnie, w porównaniu z wejściem do NATO, Partnerstwo stanowi rozczarowanie, proporcjonalne do zasług jakie, w ich mniemaniu — tak jak Polska poprzez Solidarność — poszczególne kraje położyły w bezkrwawej dekomunizacji Europy i w zwycięstwie w zimnej wojnie. Naturalnie także, Partnerstwo stanowi kompromis, który nie zaspokaja wszystkich oczekiwań, ale Europa Środkowa powinna uznać, że butelka w połowie pełna jest lepsza niż butelka zupełnie pusta i że, przede wszystkim, niepełną butelkę można powoli dopełniać.

Dopełniać ją można w rozmaity sposób. Dość przekonywającym przykładem takiego dopełniania jest stowarzyszenie państw byłego Paktu Warszawskiego z Unią Europy Zachodniej. Na razie (i słusznie) niedoceniona, a nawet lekceważona, UZE, ma — jak chce traktat z Maastricht — stać się w przyszłości wojskowym pionem Unii Europejskiej i europejskim filarem NATO. Kategorycznie negatywna reakcja Moskwy na to stowarzyszenie była znakiem, że ruch był skuteczny.

b) Trudna i kosztowna

Ale to nie koniec, pomarzyć zawsze wolno. Wkład, udział i korzyści w i z PdP będą, w miarę upływu czasu, rozkładać się nierównomiernie. Podobnie jak Rosja w Europie nie może być traktowana jak Albania, tak trudno uznać, że w procesie rozwoju PdP miejsce Polski zmieniać się będzie równolegle do miejsca Tadżykistanu, a Czesi będą się w tym samym tempie zbliżać do NATO co Azerbejdżan.

Wszyscy są teoretycznie równi, ale stosunkowo szybko niektórzy — przede wszystkim Polska, Czechy i Węgry — okażą się równiejsi od innych. Takie — znowu można pomarzyć — powinno być przecież prawdziwe założenie PdP. Państwa Europy Środkowej mają rację kiedy twierdzą, że jeżeli Partnerstwo ma stać się istotnym czynnikiem stabilizacji kontynentu, to musi powoli, ale regularnie nabierać coraz więcej konkretnej treści. Ale to zależy także od „partnerów" spoza NATO, od siły ich kraju, ich energii, inteligencji, od powagi i wiarygodności rządzących, ich umiejętności rządzenia no i, *last but not least*, od zdolności wyrzeczeń ich społeczeństw. Droga do NATO jest bowiem nie tylko trudna, ale i kosztowna.

Havel powiedział, że każdy dzień zwłoki w integracji Europy Środkowej w zachodnie struktury gospodarcze, polityczne i wojskowe powiększa ryzyko destabilizacji Europy i działa na korzyść demagogów i ultranacjonalistów. Ma naturalnie rację. Można także odwrócić to stwierdzenie i powiedzieć, że każdy dzień, który przybliża tę integrację zmniejsza to ryzyko. Taką rolę odegrało wczesne włączenie Niemiec w struktury ponadnarodowe po drugiej wojnie światowej. Taką rolę może odegrać podobny „pośpiech" Zachodu wobec Europy Środkowej.

Złudzenia są w polityce niebezpieczne, ale można już dziś chyba się zgodzić, że, z tego punktu widzenia i w oczekiwaniu na pełną integrację, taką rolę w odniesieniu do państw Europy Środkowej może odegrać PdP jako skuteczny instrument zarówno zbliżenia z Zachodem co i obejścia rosyjskich zastrzeżeń i rosyjskich niebezpieczeństw. Reszta zależy nie tylko od „Partnerstwa" ale także, jeżeli nie przede wszystkim od partnerów i to nie tych z Zachodu.

c) Parasol od Finlandii do Polski

I, ostatnie marzenie. Za kilka miesięcy Finlandia dobije

do Unii Europejskiej. Pozornie detal, bo to tylko jeden z czterech krajów jakie mają doszlusować w tym roku do Unii Europejskiej, ale dla Polski to ważny precedens. Jeżeli pominąć coraz mniej ważny strategicznie półwysep Kola, to po wejściu Finlandii Unia Europejska po raz pierwszy stanie na długiej, prawdziwej granicy z Rosją. Politycznie i psychologicznie jest to poważna zmiana geostrategiczna, pełne wejście do Wspólnoty otwiera bowiem drzwi do Unii Zachodnioeuropejskiej, a potem do NATO, a w każdym razie oznacza faktyczne objęcie Finlandii zachodnim parasolem bezpieczeństwa. Po raz pierwszy parasol ten rozpięty więc będzie nad granicą rosyjską.

Oznacza to koniec ważnego argumentu, przeciwstawianego przez Brukselę integracyjnym zabiegom Polski, tego mianowicie, że nie należy kreślić nowej linii podziału Europy. Otóż linia ta już jest wytyczona wzdłuż granicy fińsko-rosyjskiej i nie ma powodu aby nie mogła w przyszłości biec wzdłuż granicy Polski z obszarem byłego ZSSR.

SZÓSTY DAR UMYSŁU: ZNAJOMOŚĆ REALIÓW

Tych, którzy nie mają cierpliwości i nie chcą czekać na dostawę samochodu Łada do 10 sierpnia roku 2014, chciałbym poinformować, że w sierpniu roku 1994 normalnie już funkcjonuje w Moskwie sklep firmowy Rolls-Royce'a. Z natychmiastową dostawą.

Pisane 5 sierpnia 1994

Leopold UNGER

P.S. Artykuł powyższy stanowi pisaną, zaktualizowaną i odredagowaną (*edited*) wersję zespołu tez do wykładu, jaki autor przygotował i wygłosił w lipcu 1994 roku w trakcie III Sesji Wschodniej Szkoły Letniej (trzytygodniowy staż dla młodych naukowców, historyków i politologów z Europy Środkowej i Wschodniej) przy Studium Europy Wschodniej i Azji Środkowej Uniwersytetu Warszawskiego. Program zajęć Szkoły Letniej, prowadzonej przez dr. Jana Malickiego, ogłoszony był w *Kulturze* nr 7/8 1994

L. U.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego" bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288 **Cena F. 145,00**

KSIĄŻKI POLSKIE

NOWE I DAWNE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI:

4, rue Frederic Sauton, 75005 Paris
Tel./Fax (1) 40-51-76-40
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

●

KATALOGI NA ŻYCZENIE

UTRACONE PEJZAŻE W LITERATURZE NIEMIECKIEJ

Ożywienie?

1.

Wygląda na to, że po okresie „obmacywania" zjednoczonych Niemiec, powoli zaczyna się w Polsce okres ożywienia „w sprawie niemieckiej". Trwało to długo — czas, który minął, jest nie do nadrobienia: po wydarzeniach roku 1989 pięć lat Polska pozostawała wobec Niemiec nieomal bierna. Oczywiście — zarówno podpisanie traktatu regulującego wzajemne stosunki i współudział w konstruowaniu linii Paryż-Bonn-Warszawa (by przypomnieć dwa najważniejsze w moim przekonaniu wydarzenia) to też niemało. Niemniej przejście od budowania struktur do wypełniania ich materią życia przebiega wciąż zbyt wolno. Rzecz jasna — nie można zapominać o nierównowadze potencjałów, przede wszystkim potencjału ekonomicznego. Jest jednak faktem, że np. proces wypełniania wiedzy o Niemcach i Niemczech — co wymaga stosunkowo niewielkich nakładów — wciąż jest nie dość rozwinięty.

W stosunku Polski oraz Polaków do Niemiec i Niemców wciąż daje się odczuć pewna przewaga emocjonalności (raczej negatywnej) nad rzeczowością. Zapewne — zaszłości historyczne mają tu ogromne znaczenie, a pamięć zbrodni nie może zostać wzięta w użyteczny nawias pragmatyzmu. Niemniej także nie można tylko na tej pamięci budować przyszłości — w życie wkraczają pokolenia, dla których II wojna światowa to swego rodzaju prehistoria: wolne od negatywnych doświadczeń osobistych, są jednocześnie pozbawione niezbędnego minimum wiedzy o sąsiadach. Istnieje w tej chwili pilna konieczność przyswojenia np. niemieckich inter-

pretacji dziejów Niemiec i zarazem opracowania nowej polskiej interpretacji niemieckiej historii. Rzecz o tyle interesująca, że w lekturze niemieckich podręczników uderza polskiego czytelnika stosunkowo niewielka rola, jaką nasz kraj odgrywał w kształtowaniu niemieckiej polityki.

Można przypuszczać, że w najbliższej przyszłości — m.in. dzięki finansowemu zaangażowaniu się Fundacji Roberta Boscha w publikację tego rodzaju literatury niemieckiej w Polsce — zwiększy się ilość tłumaczeń w takich dziedzinach jak historia czy politologia. Tu luki są ogromne. Z myślą o ich wypełnieniu powstał w Warszawie — przy współudziale Deutsches Polen-Institut w Darmstadt — projekt wydawania „Biblioteki Niemieckiej". Winny się tu znaleźć, obok dzieł literackich, także najważniejsze prace humanistyki — chociażby eseistyka historyczna Golo Manna.

2.

Nigdy nie dość podkreślać, że w większości wypadków — także w sferze kultury — Polska wykazuje mniejszą inicjatywę, dostosowując się w zasadzie do aktywności niemieckiej. Ten brak inicjatywy jest zjawiskiem niekorzystnym. Nie wszystko tu tłumaczy brak środków. W tym wypadku akurat są fundusze, do których można sięgnąć — strona niemiecka chętnie na ogół wspiera podobne pomysły: tak było np. w wypadku spotkania pisarzy polskich i niemieckich w Szczecinie w roku 1993, które częściowo sfinansowała berlińska Akademie der Künste, ta sama instytucja zresztą znalazła środki na wieczory poetów niemieckich w krakowskim i warszawskim Goethe-Institut — w obu wypadkach pomysłodawcami spotkań byli Polacy.

Podobnych imprez jest w Polsce zbyt mało — wystarczy zestawić je z ilością spotkań polskich pisarzy czy różnych „dni kultury polskiej" w Niemczech. To sprawa nie tyle braku środków, co raczej braku pomysłów. To samo dotyczy nierównowagi w przyznawaniu stypendiów. Wystarczy przejrzeć listy polskich pisarzy, którzy zapraszani byli do Niemiec w ramach różnych programów stypendialnych — tu najbardziej znany jest program Deutsche Akademische Austauschdienst (DAAD) w Berlinie. Zapewne — nie mamy do zaoferowania tak wysokich stawek — z pewnością jednak jest wielu pisarzy niemieckich, którym wystarczyłyby krótkie stypendia pobytowe — powiedzmy, dwutygodniowe — w wybranym przez siebie regionie Polski; to już nie jest rzecz niemożliwa do zrealizowania. Z pewnością też, gdyby zdołano taki program opracować, znalazłyby się nań środki (choćby z funduszy Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej). Konieczne jest jednak opracowanie takiej oferty, zastanowienie się nad jej założeniami, ustalenie celów długofalowych, a nie doraźnych, znalezienie partnerów po stronie niemieckiej.

Warto podkreślić aktywność dwóch środowisk w Polsce — warszawskiego pisma *Res Publica Nowa*, na którego łamach opublikowano w ciągu ostatnich lat sporo materiałów dotyczących stosunków polsko-niemieckich oraz kręgu skupionego wokół redakcji gdańskiego *Przeglądu Politycznego*, który opublikował ostatnio (w dwóch wersjach językowych) specjalny numer pisma zatytułowany „Polacy i Niemcy w nowej Europie". Tej problematyce było też poświęcone sympozjum zorganizowane w czerwcu przez redakcję miesięcznika *Res Publica* i Fundację Batorego. To są istotne sygnały rzeczywistego ożywienia na pograniczu polsko-niemieckim. I właśnie podobnych inicjatyw trzeba dziś więcej.

3.

I wreszcie sprawa prezentowanego tu bloku tekstów.

Jak słusznie podkreślił w jednym ze swych esejów Włodzimierz Paźniewski, polska kultura nie potrafiła w ciągu ostatniego półwiecza pogodzić się z realiami — żyjąc w przestrzeni Polski piastowskiej, hula, jak pisze autor szkicu, po przestrzeniach jagiellońskich. I nic w tym w gruncie rzeczy niezwykłego — to są przestrzenie naszej kultury. Rzecz w tym, by potrafiła ona — kultywując swe mity — respektować polityczne realia.

Tak stało się w Niemczech. Niepodobna wyobrazić sobie kultury niemieckiej bez wpisanych w nią przecież na zawsze pejzaży Prus Wschodnich, Pomorza, Dolnego i Górnego Śląska. Utrata tych ziem była wstrząsem, który jednak kultura potrafiła zracjonalizować. Jak pisał Günter Grass: „ja, czyli ktoś, kto stamtąd pochodzi, mogę tylko ze zgrzytaniem zębów i bijąc się w pierś, powiedzieć prawdę: przepuściliśmy te prowincje, przegraliśmy je, straciliśmy je rzucając wyzwanie światu". Tracąc je jednak, kultura z nich nie zrezygnowała — wciąż pojawiają się utwory, które o niemieckiej przeszłości Gdańska czy Wrocławia nie zapominają. Wiele z nich wciąż jeszcze wypełnionych jest ciemnymi emocjami. Jednakże literatura naprawdę wartościowa owe emocje oddala, potrafi się

wobec nich zdystansować — tak jest w wypadku znanych w Polsce dobrze Bobrowskiego, Grassa czy Lentza, tak jest wśród autorów dopiero poznawanych — von Krockowa, Bienka, Dönhoff, Leonie Ossowski, czy Ursuli Höntsch. Warto, jak sądzę, przyjrzeć się tym tekstom, by poznać mechanizmy pozwalające nie tyle pogodzić się ze stanem rzeczy, co uczynić zeń podstawę racjonalnego myślenia o przyszłości.

Oczywiście — niepodobna na tej samej płaszczyźnie politycznej zestawiać doświadczeń polskich i niemieckich. Wszakże w wymiarze losu pojedynczych ludzi, a także w wymiarze kulturowym są już one porównywalne. I gdy tak wielką wagę przywiązujemy do ocalania tych polskich przestrzeni, które w wyniku II wojny uległy zagładzie, winniśmy zrozumieć potrzebę podobnych zabiegów u Niemców: pamięć jest potrzebna wszystkim tak samo.

Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na pewien problem translatorski. Otóż wiele z tych tekstów operuje nazwami miejscowości w wersji niemieckiej. Konsekwentne ich polonizowanie — zgodnie ze stanem faktycznym — naruszyłoby drastycznie istotę wypowiedzi. Podobnie by się działo, gdyby nagle Konwicki zaczął wspominać swą młodość w mieście o nazwie Vilnius. Z drugiej jednak strony czytelnik polski musi mieć pojęcie o tym, o czym w tekście mowa. Stąd tłumacze często posługują się zarówno polskimi i niemieckimi nazwami. O konsekwencję tu trudno. Zasadą jest podawanie polskich nazw większych miejscowości, takich jak Szczecin, i pozostawianie oryginalnego brzmienia miejscowości mniejszych. Przyznam, że żadne rozwiązanie nie wydaje się tu zadowalające.

Leszek SZARUGA

Nowy „Drang nach Osten" czy szansa współpracy?

PERSPEKTYWY DLA POLSKICH ZIEM ZACHODNICH W KONTEKŚCIE STOSUNKÓW POLSKO-NIEMIECKICH

Umożliwione przez upadek bloku sowieckiego zjednoczenie Niemiec zmieniło nieoczekiwanie geopolityczne położenie polskich Ziem Zachodnich, które nagle znalazły się w bezpośrednim sąsiedztwie z Unią Europejską. Ta nowa sytuacja nie tylko otwiera nowe perspektywy współpracy oraz rozwoju dla polskich Ziem Zachodnich ale i wznawia obawy przed potężnym, nie tylko ekonomicznym wpływem niemieckim na byłych ziemiach Rzeszy. Jedni widzą w nowej sytuacji szansę dla ekonomicznie podupadłej polskiej peryferii, zaś drudzy nowe źródła konfliktów między nierównymi państwami. Nasuwa się więc pytanie, czy polskie Ziemie Zachodnie, należące pół wieku temu do Niemiec, naprawdę staną się bogatym regionem, zyskującym na atrakcyjnym dla kapitału niemieckiego położeniu? Czy dać wiarę domniemanemu niebezpieczeństwu grożącemu Polsce poprzez ekonomiczne zaangażowanie Niemców oraz intensywną przygraniczną współpracę?

Szanse i zagrożenia

W oczach zachodnioeuropejskich ekonomistów nie tylko region wielkopolski ma szansę przyciągnąć zagranicznych inwestorów. Potwierdzają oni optymistyczne oczekiwania polityków oraz ludności Szczecina czy Wrocławia. Brytyjska gazeta *Financial Times* w swoim ubiegłorocznym specjalnym dodatku na temat Polski przedstawiła Szczecin (a nie Poznań) jako najciekawsze miasto dla zachodnich inwestorów („Szczecin: Brama na Zachód"), zaś związek niemieckich firm inwestujących we wschodniej Europie zalicza Wrocław do najciekawszych regionów. Na razie zachodni inwestorzy nie spełniają polskich oczekiwań, inwestują na przykład aż trzy razy więcej na Węgrzech. Skarżą się na brak nowoczesnego

systemu bankowego oraz infrastruktury. Ociężała biurokracja wciąż utrudnia inwestycje. Polska więc nie stała się jeszcze znaczącą bazą produkcji dla zachodnich przedsiębiorstw — co też odczuwane jest na ziemiach przygranicznych — jest ona jednak atrakcyjnym rynkiem zbytu. Dominującym partnerem handlowym Polski stały się Niemcy. Udział Niemiec w polskim imporcie i eksporcie sięga około jednej trzeciej. Ożywczy dla polskiej gospodarki stał się polsko-niemiecki handel przygraniczny. Niemieccy turyści wydają rocznie około 3 miliardów marek na polskich terenach przygranicznych. „Ów handel przygraniczny odpowiada 30–40 proc. całego polskiego eksportu do Niemiec i jest co najmniej trzykrotnie większy, aniżeli oficjalnie rejestrowany eksport do wschodnich landów"[1].

Polska jako największy kraj grupy wyszehradzkiej jest nie tylko interesującym rynkiem zbytu. Płace stanowiące połowę zarobków pracowników na Węgrzech oraz wysoki poziom kwalifikacji pracowników są olbrzymią zaletą polskiego przemysłu w oczach zachodnich inwestorów. Zachodnia Polska mogłaby stać się w ten sposób, podobnie jak graniczące z bogatą Bawarią Czechy, ważną bazą produkcyjną dla przemysłu niemieckiego, który boleje z powodu wysokich kosztów pracy w Niemczech, zwiększających ceny niemieckich produktów. A, jak wiadomo, popyt na towar zależy nie tylko od jakości, ale i od konkurencyjnej ceny. Tak jak na początku lat osiemdziesiątych powiększenie EWG o Portugalię, Hiszpanię i Grecję przyciągnęło znaczących niemieckich inwestorów (np. Volkswagen), tak i Polska zachodnia stanie się ważnym zapleczem produkcyjnym, oczywiście jeśli rząd polski stworzy atrakcyjne warunki dla inwestorów. Jest to jednak perspektywa, która przynosi ze sobą także wielkie niebezpieczeństwa dla polskiego przemysłu. Wykorzystywanie potencjału produkcyjnego przez niemieckich inwestorów umożliwi stworzenie nowych miejsc pracy i zwiększy w jakimś stopniu dochody podatkowe skarbu państwa, nie zmieni jednak fundamentalnego problemu odcięcia konkurencyjnych polskich firm od rynku Unii Europejskiej. Rynek ten zamknięty jest dla polskich wyrobów nie tylko przez restrykcyjną politykę Brukseli. Niemieckie firmy, produkujące tanio w Polsce, nadal będą dysponowały siecią dystrybucyjną na rynku europejskim, do którego wschodnich sąsiadów nie dopuszczą.

1. Jerzy Kleer, „Oficjalnie i na szaro. Bez Niemiec polski handel przestałby istnieć", *Polityka*, nr 52, 23.12.1993.

Ten model rozwoju można zaobserwować w Czechach, gdzie na przykład odcięty od rynku przemysł odzieżowy produkuje na zamówienie dla niemieckich fabrykantów, będąc całkowicie zależnym od sieci dystrybucyjnej Niemców.

Koncepcja polsko-niemieckiej współpracy przygranicznej premiera Brandenburgii Manfreda Stolpego potwierdza perspektywę prężnego rozwoju polskich Ziem Zachodnich, na korzyść zarówno niemieckich firm jak i też wschodnich landów: „Przerzucenie do Polski przedsiębiorstw korzystających z niższych płac nie przeszkadza nam. (...) Jeśli (...) tutejsze przedsiębiorstwa ulokują się w Polsce dając masowo pracę, a następnie jeśli ich wyroby będą dalej przetwarzane u nas, to nie jest to dla nas żadnym problemem"[2].

W myśleniu polityków wschodnioniemieckich zachodnia Polska będzie jako zaplecze obsługiwała dynamicznie rozwijającą się stronę niemiecką. Przykładem tego myślenia stała się przedstawiona w czerwcu 1991 r. przez Manfreda Stolpego podczas wizyty w Polsce „Koncepcja wspierania regionu Odry". Propaguje on pogłębienie współpracy przygranicznej poprzez stworzenie euroregionów wzdłuż polsko-niemieckiej granicy. Tak zwany „Plan Stolpego" zakłada, iż ziemie polskie miałyby pełnić funkcję zaplecza dla aglomeracji berlińskiej i drezdeńskiej. Zakłada się, że na tym obszarze nastąpi rozwój drobnego przemysłu przetwórczego. Port szczeciński nastawiony byłby głównie na obsługę Berlina w handlu ze wschodem. Z kolei województwo gorzowskie w tej koncepcji miało stać się obszarem turystyczno-rekreacyjnym. Do realizacji tego przedsięwzięcia planuje się „Niemiecko-Polski Bank Rozwoju" z dominującym udziałem kapitału niemieckiego.

Reakcje polskie na takie wizje są raczej sceptyczne. Wskazuje się nie tylko na asymetryczność „Planu Stolpego" w zakresie korzyści na rzecz niemieckiej części pogranicza. Niektórzy widzą w nich próby kolonizowania ziem nad Odrą i Nysą.

Euro-histeria

Mimo wszelkich obaw ze strony polskiej, polsko-niemiecka współpraca miast i regionów przygranicznych rozwija się intensywnie. W ubiegłych latach powstały aż trzy

2. Manfred Stolpe w rozmowie z Adamem Krzemińskim, „Orły białe i czerwone", *Polityka*, nr 33, 15.8.1992.

euroregiony („Euroregion Nysa", „Euroregion Szprewa-Nysa-Bober", „Euroregion Pro Europa Viadrina – Frankfurt/Słubice"). Część polskiej prawicy odrzuca koncepcje intensywnej współpracy przygranicznej w formie euroregionów. W ubiegłorocznej debacie sejmowej Jan Łopuszański rozwijał w związku z euroregionami apokaliptyczne wizje „idei rozbioru Polski", „planu demontażu granic".

Za magiczną formułą euroregionów kryje się jednak wiele małych, niespektakularnych inicjatyw. Są one często próbą tworzenia stałych kanałów dla dialogu pomiędzy przygranicznymi miastami i gminami. Ta forma porozumień regionalnych nie stoi w sprzeczności z wewnętrzną legislacją państw czy też systemem umów międzypaństwowych. Euroregiony nie mają osobowości prawnej, nie unicestwiają granic, nie są organizmami ponadpaństwowymi, wydzielonymi spod narodowych jurysdykcji, administracji czy kontroli.

Zajrzyjmy do statutu polsko-niemiecko-czeskiego „Euroregionu Nysa". W paragrafie drugim czytamy:

„Współpraca zmierza do uzgadniania procesów decyzyjnych, w sprawach określonych niniejszym statutem (...) wszystkie organy powołane w statucie działają w ramach norm prawnych obowiązujących w poszczególnych krajach"[3].

Euroregiony nie stanowią więc zagrożenia dla integralności Polski, stwarzają tylko szanse współpracy. W dniu codziennym współpraca ta niestety nie odgrywa jeszcze dużej roli. Sądząc po trzydziestoletnich doświadczeniach w Europie Zachodniej, wzorce tego rodzaju nie są magiczną formułą na przypadłości trudnych regionów. Euroregiony są silne lub słabe siłą narodowej gospodarki i sprawności rządzenia, w regionach odbija się też jak w zwierciadle centralna polityka zagraniczna, to znaczy, iż rozwój polskich Ziem Zachodnich w głównej mierze zależy od polityki rządu albo od rozwoju stosunków Polski z Unią Europejską, a nie od rozwoju euroregionu. Wielkim hamulcem dla rozwoju przygranicznych euroregionów jest centralizm administracji polskiej, który powoduje brak równowagi w dialogu polskich gmin z niemieckimi partnerami, mającymi dzięki federalnej strukturze Niemiec większe kompetencje. Nasuwa się więc podejrzenie, iż w argumentacji polskich przeciwników koncepcji euroregionów strach przed konsekwentną decentralizacją, przed zwiększeniem kompetencji gmin i miast jest większy, aniżeli troska o integralność państwa.

3. Wojciech Pieciak, „Przeciw euro-histerii", *Tygodnik Powszechny*, nr 10, 7.3.1993.

W przeciwieństwie do niemieckich gmin, polscy partnerzy euroregionów nie mogą korzystać z brukselskich funduszy przeznaczonych na rozwój euroregionów. Mogą oni jedynie poprosić Warszawę o środki finansowe z funduszu pomocy Unii Europejskiej dla Polski (PHARE). Te pieniądze nie są przeznaczane na konkretne projekty rozwoju ekonomicznego gmin, aczkolwiek polski rejon przygraniczny pośrednio z nich korzysta. Budowa nowych przejść granicznych oraz modernizacja infrastruktury komunikacyjnej są finansowane właśnie przez PHARE.

Zatem Polska zachodnia dalej będzie ograniczona w swoim rozwoju, dopóki Polska nie stanie się członkiem Unii Europejskiej, na co przez następne dziesięć a może i nawet więcej lat nie możemy liczyć. Nie możemy liczyć na powtórzenie modelu szybkiej integracji państw Europy południowej dla ekonomicznego oraz politycznego ustabilizowania młodych demokracji Portugalii, Hiszpanii i Grecji na początku lat osiemdziesiątych. Unia Europejska w najbliższych latach będzie zajęta realizacją uzgodnionej w traktacie z Maastricht unii gospodarczo-walutowej, której ustalony harmonogram i tak już jest zagrożony, co oznacza ponowne przesunięcie możliwego terminu wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. Realistycznym modelem dla rozwoju Polski staje się w coraz większym stopniu Turcja, która już w 1964 r. podpisała układ o stowarzyszeniu z EWG i nadal czeka na wstąpienie do Unii. Poprzez przystąpienie Polski do NATO Europa Zachodnia zwiąże ze sobą Polskę militarnie i politycznie, nie ponosząc przy tym kosztów transformacji polskiej gospodarki i nie dopuszczając Polski do wspólnego rynku — tak jak postąpiono dotychczas z Turcją.

Polska, Śląsk, Niemcy

W raporcie renomowanego londyńskiego *Międzynarodowego Instytutu Badań Strategicznych* podkreśla się wagę problemów Śląska, które stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa Europy Środkowej:

„Problem Śląska pozostaje w dalszym ciągu potencjalnym niebezpieczeństwem, ponieważ mniejszość niemiecka bardziej niż inne mniejszości narodowe w krajach Europy Środkowej może liczyć na zyski poprzez politykę rewizjonistyczną. Już sama egzystencja bogatego i silnego państwa nie-

mieckiego za granicą Odry i Nysy stanowi ogromną pokusę dla podtrzymywania ducha rewizjonizmu. Fakt ten budzi u wielu Polaków nerwowe, a nawet obsesyjne reakcje, które odbijają się na traktowaniu niemieckiej mniejszości"[4].

Wysokie bezrobocie, katastrofa ekologiczna, brak perspektyw dla górnictwa nie tylko śląskiego ale i ogólnoeuropejskiego powodują, że Śląsk jest i będzie regionem konfliktów społecznych, którym zapobiec może jedynie masywna restrukturalizacja Śląska finansowana przy pomocy międzynarodowych organizacji, np. Unii Europejskiej. Niewykluczone jest, że przy dalszym pogorszeniu sytuacji ekonomicznej na Śląsku niemiecka mniejszość domagać się będzie — przy wsparciu może i nawet innych Ślązaków — rewizji granic. Mimo iż oficjalni przedstawiciele mniejszości niemieckiej nie popierają takich planów, to jednak przerażają stronę polską wypowiedzi niemieckiego Związku Wypędzonych, który nadal domaga się „pokojowej" rewizji granic.

Rewizjonistyczne głosy na Śląsku oraz polskie *mass media* zamykają jednak oczy na fakt, iż Niemcy przeżywający głęboki kryzys ekonomiczny nie są zainteresowani przyłączeniem Śląska. W świadomości większości Niemców, czy nawet niemieckich polityków, nie ma miejsca na problemy Śląska lub innych byłych ziem wschodnich. Zjednoczenie Niemiec jest ogromnym obciążeniem dla państwa. Rocznie Niemcy zachodnie przeznaczają 200 miliardów marek na pomoc dla wschodnich landów. Niemieccy ekonomiści obliczyli, iż stworzenie nowych miejsc pracy we wschodnich landach wymaga dalszych 1.000 miliardów marek. Niemcy wschodnie potrzebują dodatkowego 1.000 miliardów na modernizację infrastruktury publicznej oraz 1.500 miliardów na budownictwo mieszkaniowe. Zjednoczenie nie stworzyło nowych, ale pogłębiło widoczne od kilku lat problemy gospodarcze. Wysokie bezrobocie we wszystkich landach, strukturalne deficyty niemieckiego przemysłu oraz astronomiczne zadłużenie budżetu miast, gmin, landów oraz rządu federalnego, które w tym roku wynosi około 3 bilionów marek, nie stwarzają warunków na renesans niemieckiego „Drang nach Osten". Polacy często zapominają o tym, że integrowane w struktury Unii Europejskiej, a nawet ekonomicznie zależne od pogłębienia integracji europejskiej Niemcy nie są zainteresowane powtórką swoich historycznych błędów. Niemcy zdają sobie sprawę z tego, że korzystny rozwój dla ich państwa nie jest osiągalny poprzez drogę nacjonalistyczną lecz jedynie przy konsekwentnym pogłębieniu współpracy europejskiej — na razie niestety tylko zachodnioeuropejskiej. Jak pokazują najnowsze rozpoznania, większość Polaków zauważyła historyczną zmianę polityki niemieckiej; tylko 5 procent Polaków czuje się zagrożonych przez zachodnich sąsiadów, gdy jeszcze cztery lata temu blisko jedna trzecia obywateli polskich stawiała zagrożenie przez Niemców na pierwszym miejscu.

4. Jan Zielonka, „Security in Central Europe", *Adelphi Paper 272*, International Institute for Strategic Studies, London 1992.

Basil KERSKI

Nasza wieś — świat w pomniejszeniu

Region — w tym słowie leży, albo przynajmniej leżało niegdyś bardzo wiele. Wskazują na to rozliczne pieśni ludowe: „Żegnaj więc, mój luby kraju ojczysty..."; i tak samo w najwznioślejszej poezji. Joseph von Eichendorff żalił się:

Z ojczyzny za błyskawic czerwienią
Ściągają oto obłoki.
Lecz ojciec i matka od dawna nie żyją,
Tam już nikt do mnie się nie przyznaje...

Tutaj jest ojczyzna utracona, która u poetów niemieckich odgrywa prawie równie wielką rolę jak ta szczęśliwie posiadana lub powtórnie odnaleziona.

Dlaczego słowo i pojęcie „regionu" („ojczyzny") nie mają już tego mocnego wydźwięku jak dawniej? My wszyscy znamy tę odpowiedź. To jest nasza w tej chwili już w drugim, niebawem zaś w trzecim stuleciu coraz szybciej rozwijająca się cywilizacja z jej „spajającymi się terenami" — charakterystyczne nowe wyrażenie, skrócenie czasu i przestrzeni dzięki samolotowi, który podróże, jakie dawniej trwały miesiącami, ściąga do kilku godzin i zaspokaja każdą ciekawość; tego lata do Jemenu, następnego do Chin lub Brazylii, tak

że dla bardzo wielu coroczne, ciągle te same podróże wakacyjne do domu w lesie lub do zwyczajnego schroniska w górach są nie do pomyślenia. Nawet nie chciałbym tutaj wspominać o przesiedleniach całych narodów na skutek wojny, o barbarzyńskim wypędzeniu, chociażby na przykład Niemców bałtyckich, szczególnie ludzie Prus Wschodnich byli głęboko przywiązani do swej obecnie utraconej ojczyzny. Powszechnie uważa się, że wojny w okrutny sposób przyśpieszają dojrzewanie, które w sobie już się zaczęło: koncentrowanie coraz większych mas ludzkich w coraz bardziej zatłoczonych przestrzeniach. Dla nich nie pasuje słowo ojczyzna i ono już od dawna nie robi żadnego wrażenia, ani też, jak o Berlinie, nie mówimy, że posiada „tylko" pół miliona mieszkańców. Wprawdzie można rzec: „Lubię Berlin — z tych a tych powodów", ale zaledwie: „Berlin jest moją ojczyzną". Ojczyzna, to znaczy miasteczko i krajobraz rozciągający się wokół niego; znaczy wieś, może też być samotnie położoną zagrodą, pojedynczym domem w lesie. No, to wszystko przecież jeszcze istnieje, ale charakteryzuje takie kraje jak Holandia, Belgia, nie zaś Republikę Federalną, bowiem tam większość ludzi mieszka w wielkich miastach. Już samo wielkie miasto z ledwością może być ojczyzną, stąd ich tak zwane miasta satelickie jeszcze mniej nadają się do tego celu. Nie jestem architektem, nie potrafię rozstrzygnąć, czy te miasta na peryferiach można by budować bardziej godne człowieka, bardziej „regionalne". Mogę tylko rzec, że przechodzą mnie ciarki, kiedy przejeżdżam obok nich, chociażby w pobliżu Monachium czy Frankfurtu. Że takie masowe pomieszczenia mogłyby być budowane bardziej po ludzku, o tym jestem przekonany; jakieś mniejsze bloki, przynajmniej punktowce, które wszak ze względu na wymagane odstępy potrzebują tyleż drogiego gruntu. W każdym razie kpiną byłoby mówienie tutaj o ojczyźnie. Choć, skoro istnieją, nie można już pozbyć się tych sypialni. Cóż zatem?

Trzeba zachować ojczyznę tam, gdzie jeszcze istnieje: w małych miastach, gminach wiejskich. Jeszcze też i w miastach średniej wielkości, z których przecież te najpiękniejsze prawie lub w zupełności zostały oszczędzone przez wojnę. Stąd mógłbym sobie pomyśleć, że na przykład mieszkańcy Passawy swoje miasto wciąż jeszcze odczuwają jako ojczyznę: samo miasto prześliczne, trzy rzeki, olbrzymie lasy od północy. Coś podobnego może dotyczyć Landshut, Regensburga, Bambergu. Ale przede wszystkim są tym miasteczka i, jeszcze daleko bardziej, wioski, co daje jeszcze prawdziwą ojczyznę, a z nich szczególnie te, które leżą w ubogiej w miasta okolicy, mówimy o północnej Dolnej Frankonii. Tam istnieją jeszcze tradycje, tam jest jeszcze miłość do ojczyzny, duma z ojczyzny. Powołaniem takiego państwa jak Bawaria jest strzec takich tradycji.

Niestety, w żadnym razie nie zawsze tak się to toczyło. W latach siedemdziesiątych panowało parcie do łączenia gmin. Właściwie naprawdę coś śmiesznego przeżyli tam moi bliscy krewni. Mieszkali oni, mieszkają jeszcze, w miłym miasteczku na granicy Bergischen Land. Właśnie został zbudowany piękny nowy ratusz. Raptem wszechwładna biurokracja w Düsseldorfie zadecydowała: Bergisch - Neukirchen od dziś należy do miasta Opladen. Natychmiast zdrożało wszystko: woda, wywóz śmieci, elektryczność: w każdym razie nic się nie polepszyło i nie staniało. I cóż zatem miało stać się z tym nowym ratuszem? Bądź co bądź, Opladen było oddalone tylko parę kilometrów od Neukirchen. Aliści parę lat później samo Opladen zostało przyłączone do Leverkusen. Nie żeby takie było pragnienie nadburmistrza Leverkusen! Była to samodzielna decyzja dostojnego ministerstwa. Jeśli odległość między Neukirchen a Opladen nie była znaczna, to między Opladen a Leverkusen była już o wiele bardziej dokuczliwa; zakorkowane autostrady, najgorzej w popołudnia, kiedy firma Bayer zwalnia swych pracowników, takie były następstwa. Bądź co bądź nowy ratusz w Neukirchen pełni przecież teraz znowu pewną funkcję: przebywa tam pewna samotna dama, która poucza swoich współobywateli, dokąd mają się zwrócić w takich sprawach w Leverkusen; mogliby wszak tego nie odgadnąć. Ale teraz stało się to prawdziwą groteską. Samo Leverkusen musiało stoczyć rozpaczliwą walkę przeciwko przyłączeniu do Kolonii, chwilowo skuteczną. Wszędzie na ulicach wisiały transparenty „Lev chce żyć!". Tak, ale chciałoby żyć także Neukirchen, jak i Opladen ze swoją wyśmienitą kliniką!

Wołanie: „Trzeba łączyć gminy!" wyszło pierwotnie ze Szwecji. Dokładnie biorąc nie brzmiało ono tak, lecz: „Precz z małymi szkołami, precz z małymi szpitalami", czego potem logicznym następstwem było zniesienie samodzielności w ten sposób ograbionego miasteczka lub wioski. Pewien przewodniczący bawarskiego okręgu regencyjnego wyjaśnił kiedyś autorowi tych słów, dlaczego łączenie gmin było konieczne. Był on imponującym panem, autorytet połączony z doświadczeniem. Przykłady, jakie mi podał, oddziaływały całkiem przekonywająco. Ale czy dotyczyły one wszystkich przypad-

ków? Dotyczyły one większości? To jednak jest problemem. Zresztą ze Szwecji po jakichś dziesięciu latach przyszło drugie nawoływanie: „Z powrotem do małych szkół!" Na to teraz było zbyt późno: szkolne budynki zniszczone lub zamienione w wille, uczniowie zaś do tego skazani na spędzanie do dwóch godzin dziennie w autobusach, nerwowo wyładowują się już na szkolnym podwórku, gdzie w ogóle nie są w stanie naprawdę zapoznać się ze swymi kolegami pochodzącymi ze wszystkich stron świata, jak również poznać swoich nauczycieli.

Na nieszczęsne połączenia gmin chcę tutaj podać jeden przykład, nie wymieniając nazwy miejscowości. Wieś w Dolnej Frankonii, udowodnione tysiąc lat istnienia, ewangelicka w katolickim otoczeniu; żadnego przemysłu, wyłącznie rolnictwo i rzemiosło. Jej sześciuset do siedmiuset mieszkańców jest dumnych ze swej gminy, dumnych z jej przeszłości; już około 1800 r. posiadali oni jedną aptekę i lekarza. Że oni wszyscy wybierają CSU, rozumie się samo przez się. Ich największym powodem do dumy jest duży las o powierzchni 300 hektarów należący do gminy już od czasu Wojny Trzydziestoletniej, czyli od prawie czterystu lat, i tak samo długo był przez nią pielęgnowany, bądź co bądź przynosił w końcu 150.000 marek dochodu rocznie, tak że gmina rozporządzała własnym zaopatrzeniem w wodę i swą własną kanalizacją i mogła sobie pozwolić na wyasfaltowane ulice. Pewnego dnia dowiadują się mieszkańcy, że ich wieś nie jest już gminą, lecz z jedenastu innymi wsiami należy obecnie do sąsiedniej gminy, której charakter jest zupełnie odmienny: ani nie ma tysiąca lat, ledwo też tylko dochodzi do setki, ani rzemiosła ani rolnictwa, lecz nowe, skromniutkie uprzemysłowienie; tam, co rozumie się samo przez się, wybiera się SPD. Na skutek tego połączenia gmin do tej miejscowości należy teraz także i ten las. To nie może być, temu nie wolno wydarzyć się naprawdę! Gdy pojawia się nowy burmistrz, aby z ratusza, którego już nie ma, ogarnąć posiadłości i zabezpieczyć dokumenty, brutalnie jest mu to utrudniane. Wywłaszczeni protestują. Docierają do Bawarskiego Trybunału Konstytucyjnego. Ten zaś rozstrzygnął tak, jak musiał, wszystko przecież odbyło się zgodnie z prawem, starosta swobodnie mógł podjąć taką decyzję, stał za nim przewodniczący okręgu regencyjnego. Oto dumni mieszkańcy wciąż jeszcze spodziewali się, że odbędzie się prawdziwe zdobycie wsi: sześciuset urzędników policji krajowej okupowało miejscowość i ratusz, podczas gdy dalszych pięciuset urzędników federalnej straży

granicznej chroniło granicę z NRD na wypadek, gdyby buntownicy zamierzali uciekać w tamtym kierunku. Przezornie sprowadzono nosze jak też i karawan: zanosiło się na bitwę. Jeśli do niej nie doszło, tedy trzeba to przypisać tej, aczkolwiek gorzkiej mądrości mieszkańców wsi. Zmarły bawarski biskup krajowy Dietzfelbinger, który pochodził z owej miejscowości, wyjaśnił później: „Kto zna mentalność tej wsi, wie, że podobne zdarzenie pojawi się jeszcze za sto lat". Trzeba dodać, że mieszkańcy wsi zaproponowali rozumny kompromis: „Wspólna administracja, ale nasz las pozostanie naszym lasem". Nowi panowie, całkowici zwycięzcy, jakimi byli, nie widzieli żadnego powodu pójścia na taką propozycję... To jest, mówimy otwarcie, zaślepiony, zły duch lat siedemdziesiątych. Tylko jak można z najwierniejszych z wiernych czynić najzagorzalszych nieprzyjaciół! Nie wystarczy wygłaszanie pięknych przemówień o wartości ojczyzny; trzeba też jeszcze coś zrobić w tym kierunku.

Z serca spodziewam się, że duch lat dziewięćdziesiątych, odnośnie łączenia gmin, będzie rozsądniejszy niż ów lat siedemdziesiątych, i że tym razem zniesie się najbezsensowniejsze decyzje owych lat. Do tego nawet nie trzeba Trybunału Konstytucyjnego, którego funkcje trzeba bardzo szanować. Każda zasada musi dopuszczać wyjątki, inaczej stanie się doktrynerstwem. Czego tutaj potrzeba, to praktycznego zmysłu, zrozumienia i odrobiny dobroci.

Golo MANN
Przełożył Andrzej Pańta

Za: „Heimat Heute". Herausgegeben von Hans Zehetmair und Helmut Zöpfl. Rosenheimer Verlaghaus Alfred Förg GmbH&Co. KG, Rosenheim 1989.

Odkrycie*

Spali zaledwie kilka godzin. Krótko po siódmej Willi zapukał do pokoju Róży i zamienił z nią parę przyciszonych słów. Następnie udał się do swej altany, ponieważ wpadło mu do głowy, że do rozmaitych książek powkładał takie listy, które koniecznie chciał zniszczyć przed odjazdem, i w jego prywatnych dokumentach również były pewne rzeczy, które widział raczej w ogniu niż w palcach któregoś z sąsiadów. Jeżeli to załatwi, to pójdzie do Koziollka, osiągalnego telefonicznie jeszcze w nocy i robiącego mu nadzieję na furmankę z Pilchowic.

Valeska potoczyła się do kuchni jak oszołomiona i pod kranem odświeżyła sobie twarz zimną wodą. Przyszła Halina, aby rozpalić ogień w żelaznym piecu, przyklękła przed nim i na chwilkę otworzyła drzwiczki, żeby przekonać się, jak wysoko wznosi się płomień. Wciąż na nowo dorzucała kawałki drewna, aż żelazo rozgrzało się i zrobiło się czerwone. Włożyła kamizelkę Irmy, a mimo to marzła. Najchętniej wskoczyłaby do tego pieca.

Róża jeszcze raz sprawdziła, czy wszystko zmieściło się w walizce i iluż to rzeczy nie musiała pozostawić. Nocą, przed zaśnięciem, coś jej wpadło do głowy, że zapomniała o czymś szczególnie ważnym, ale w tej chwili nie potrafiła sobie przypomnieć, co też mogło to być. Irma zajmując klozet lamentowała przez drzwi, iż zamarzła spłuczka, wobec czego Halina przyniosła dzbanek wody.

Valeska czesała włosy, których nie skracała od roku, prowadząc szczotkę od czoła aż po ramiona, do połowy oglądając się w owalnym zwierciadle, i do połowy w szybie ściennego zegara. Próbowała sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy rosyjskie czołgi będą przesuwały się po szosie tarnogórskiej lub po ulicy Górniczej w kierunku miasta, ale to jej się nie udawało. Dla niej czołgi wyskoczą z makoszowskiego lasu, dla niej zawsze miało to w sobie coś niesamowitego, miał bowiem stamtąd bez odstępów ciągnąć się aż do Polski i Rosji. Wiele razy spacerowała tam z mężem i dziećmi, zawsze tylko na obrzeżach, gdyż obawiała się, że zabłądzi w nim i już nigdy się nie odnajdzie. Przecież jeszcze w latach

* Fragment powieści „Ziemia i Ogień".

młodości przydarzało się (i ludzie mieszkający tam mieli na ten temat pełno opowieści), że znikała poszukiwaczka jagód czy zbieracz grzybów, a potem za rok jakaś zakochana para odnajdywała tylko szkielety. I podczas gdy zaczęła pleść warkocz, wydało jej się to dosyć oczywiste, że Rosjanie nadejdą z lasu pod Makoszowy i wyłącznie stamtąd. Zanim naprawdę zrobi się jasno, musimy zacząć kopać w ogrodzie, powiedziała. Pod krzakami agrestu zamierzała zakopać srebra, których nie można było zabrać ze sobą.

Róża wpadła jak nieprzytomna do salonu muzycznego, spojrzała na gorącą wodę, rozdzieliła szklanki na stole i mechanicznie mełła jęczmienną kawę.

Valeska podniosła wysoko zasłonę zaciemniającą, świt zaczął gruntować niebo na wschodzie na biało, co wyraźnie można było zobaczyć przez drzwi werandy. Otworzyła okno, do środka wpłynął mróz i cisza — dochodziły tutaj hałasy z buzującego pieca i skrzypienie młynka do kawy. Róża wspólnie z Haliną udała się do ogrodu, z kilofem i szpadlem, aby pod krzakami agrestu rozgarnąć śnieg i rozkopać zamarzniętą ziemię. Valeska komplet srebrnych sztućców obwinęła w gazetę, każdą łyżkę, każdy widelec, każdy nóż osobno, do tego sosjerkę, dwa puchary, płytę w kształcie ryby i tortownicę, posrebrzaną tylko, całość zaś zapakowała w starą powłokę poduszki, a to osłoniła smołowaną papą.

Kiedy udała się z tym do ogrodu, Róża wygrzebywała właśnie jakiś szklany słój, całkiem zwyczajny szklany słój, jakiego używa się do owoców lub przetworów. Ale tam było coś innego, co wyglądało jak papier. Była zaskoczona. Przyklękła na śniegu, żeby się przyjrzeć dokładniej, i wydawało się to pokreślone literami.

Halina w dalszym ciągu ostrożnie kopała w ziemi, dopóki drugie szkło nie stało się widoczne.

Ostrożnie, powiedziała Valeska, a jej głos drżał z ciekawości i oczekiwania. Odebrała Róży szkło, ściągnęła rękawiczkę i palcami zepchnęła metalową klamrę przytrzymującą wieczko. Wyjąwszy zrolowane arkusze papieru rzuciła na nie okiem.

Wygląda jak rękopis radcy sądu krajowego, stwierdziła odwracając stronę. Jestem pewna zupełnie, że to jest jego rękopis. Jej oczy zaczepiły się o wysuniętą datę: wygląda jak swego rodzaju dziennik... Muszę to pokazać Willemu, powiedziała Valeska odchodząc ze swym znaleziskiem do altany. Zaskoczyła brata, jak z biurka wybierał papiery rzucając je do kosza na bieliznę, do połowy wypełnionego już

papierami i dokumentami; wszystko to z pewnością było przeznaczone do spalenia.

Spojrzyj no, powiedziała przebijając się ku niemu poprzez meble i rośliny, co właśnie znalazłyśmy w ogrodzie, pod krzakami agrestu, gdzie chciałyśmy zakopać srebra.

W jednej dłoni trzymała szklany wek, w drugiej kilka kartek papieru, które już wyjęła. Obecnie zaś rozłożyła je na biurku.

Arkusze papieru z rękopisem pana Montaga. Bez wątpienia, rozpoznaję. To wszystko było w środku tej drugiej *krauzy*, szczelnie zamknięte. I Róża z Haliną były przy tym, jak wykopałam jeszcze drugą. Co o tym sądzisz?

Wondrak wziął kartkę do ręki, powąchał ją, wystawił pod światło a potem przeczytał pierwsze zdania: *Adalbert (Wojciech) Korfanty urodził się 20 kwietnia 1873 roku jak syn chałupnika i górnika w Zawadzie (co znaczy przeszkoda), jednym z przedmieść Siemianowic, jakich wiele leżało przy rosyjskiej granicy. Pochodził z rodziny niemieckojęzycznej...*

Było to ścisłe, akuratne, dobrze czytelne pismo, którego litery ściśle łączyły się z sobą, z długą girlandą u dołu.

Kartki dziennika, jak się wydaje, stwierdziła Valeska, bardziej zważając na twarz brata i na to, co wyrażała, niż na pismo.

I wyrwane z zeszytu, prawdopodobnie, bowiem okładka była z twardego kartonu i nie dawała się zgiąć, powiedział Willi w zamyśleniu. Właściwie nie miał czasu, lecz teraz przeczytał jedną całą stronę, a potem następną.

Wygląda na to, rzekł czytając dalej, jakby pan Montag pracował nad książką o Korfantym, nad biografią. Masz jeszcze więcej tych kartek?

O Korfantym? zastanawiała się Valeska. Mówił mi kiedyś, że czeka na listy z Katowic. Ale dlaczego właśnie Korfanty?

Róża i Halina kopały jeszcze trochę głębiej, ale niczego więcej już nie znalazły. Teraz zresztą nie było czasu na rozkopywanie całej grzędy. Opuściły srebra w najgłębsze miejsce i zasypały ziemią, a następnie nałożyły na to śniegu. Ślady kopania było widać wyraźnie, gdyż nic nie pomogło, że Róża wyrównywała śnieg miotłą wierzbową. Martwiła się, czy niebawem nie spadnie śnieg. Niebo wyglądało stosownie do tego, tak, pachnie śniegiem, musiałby tylko odrobinę ustąpić mróz, wówczas się rozpada.

Co chcesz z tym zrobić? zapytał Willi siostrę.

Valeska wzruszyła tylko ramionami. Tak wiele jeszcze miała do zrobienia. Chciała przeszukać pokój Josela, przynajmniej pobieżnie, czy nie znajdzie jakichś szczególnych rzeczy, które mogłaby dla niego uratować. Jego wieczne pióro rotring już schowała, białą czapkę na lato z zielonym daszkiem, którą tak lubił, i książkę Dostojewskiego leżącą na nocnym stoliku i to, jak zauważyła, co na każdej stronie było pokreślone szkicami i notatkami.

Notatki Montaga były jego testamentem, nie można ich tak po prostu zostawić bez przeczytania.

Tylko co sobie przy tym myślał? powiedziała zamyślona.

On może zakopał je dopiero na krótko przed swoją śmiercią, rzekł Willi. O, tutaj, spójrzże, są jeszcze notatki z 30 sierpnia 1939 roku. Początek odczytał głośno: *Tragedia Górnoślązaka ma swą przyczynę w tym, że nie jest on ani Polakiem, ani Niemcem, lecz właśnie Górnoślązakiem, i że za każdym razem wyrządza się krzywdę, kiedy Polska lub Niemcy włączają go do siebie. Musiałoby powstać Wolne Państwo Górny Śląsk. Korfanty był Polakiem, ponieważ chciał nim być. Ja nigdy nie czułem się pół-Żydem, nie wiem nawet, co to jest, jestem ochrzczony po katolicku i brałem udział w katolickich nabożeństwach. Jednak im bardziej będzie się prześladowało Żydów w tym kraju, tym intensywniej będę czuł, jak rośnie we mnie żydowska część mej istoty. Zawsze chciałem należeć do cierpiących. Teraz należę do nich, do Żydów. Pragnę być takim jak oni. Jednak dalej o K. Żaden polityk ówczesnej epoki, w tym stołeczny, nie zaangażował tak świadomie i konsekwentnie prasy do swych celów, co K. W każdym razie nie w Prusach. Pierwsze, czego dokonał, kiedy zdecydował się kandydować do pruskiego sejmu krajowego, było utworzenie szerokiej, propagandowej platformy przy pomocy gazet. Kupował i sprzedawał gazety... Podstawiał swoich ludzi w redakcjach, sam nieraz był redaktorem odpowiedzialnym w trzech gazetach jednocześnie pod różnymi nazwiskami...*

Że nic o tym nie wiedziałam, przerwała Valeska.

Dobrze się stało, że to my znaleźliśmy te kartki w schowku w ogrodzie... one nie są dla nas bezpieczne.

Valeska pozbierała wszystkie arkusze i ułożyła je warstwami jedna na drugiej. Zadecydowała: W każdym razie nie chciał, żeby te notatki wpadły w ręce Rosjan. Zabiorę je ze sobą.

Ale twoja walizka jest pełna, plecak także.

Na to znajdzie się jeszcze miejsce, powiedziała zaczytana. Otóż wyrzucę właśnie parę butów. Ciągle jeszcze myślę, że może spotkamy kiedyś po wojnie córkę Montaga,

wiesz przecież, ostatnio mieszkała w Paryżu, więc mam coś, co będę mogła ofiarować jej jako pamiątkę po jej ojcu...

Róża wpadła jak bomba: Irma niespodziewanie rozmyśliła się. Zamknęła się z dziećmi i mówi, że wyjdzie dopiero wtedy, kiedy my wszyscy będziemy daleko, o mój Boże... jeśli jednak najpierw stąd odejdziemy!

Valesko, ty idź tam i pomów z nią! Do stu piorunów, zaklął Willi, ona musi odejść razem z dziećmi. Nie zostawimy jej samej. Poza tym nie ma innej drogi... A ty, Różo, idź do Haliny i powiedz jej, że ma to wszystko spalić! Wskazał na papiery w koszu na bieliznę: sztuka za sztuką, w żelaznym piecu. Pójdę do Koziollka zatroszczyć się o przewóz. Pomyślcie o tym, że około dwunastej powinniśmy stąd odejść... nie chciałbym już więcej potem zbierać wszystkich razem... Włożył płaszcz a futrzaną czapkę głęboko naciągnął na twarz.

Przy tym udał się najpierw do dzielnicy hutniczej. Do Koziolla dotrze jeszcze na czas, ten był teraz przypuszczalnie w Pilchowicach i organizował transport. Zaskoczony ujrzał Willi kobiety ubrane na czarno śpieszące na mszę, jak każdej niedzieli. Kursowały też jeszcze tramwaje, a ponieważ właśnie zatrzymał się przed nim wóz linii nr 4, wsiadł i pojechał nim dwa przystanki do ulicy Hutniczej. Już więcej się nie kasuje — to była jedyna różnica. Konduktor wydawał się raczej rozbawiony, na każdym przystanku wołał do wozu: Dzisiaj bezpłatnie! Na rozkaz naszego Führera! Na koszt Wielkoniemieckiej Rzeszy!

Poszedł do przodu w kierunku motorniczego i spróbował wypytać go — w każdym razie nic jeszcze nie słyszał o rozkazie wymarszu. Jakiż zatem jest nastrój na składzie wśród kolegów? Motorniczy uśmiechnął się zatroskany: Oczywiście gówniany, ale tym jest Prusak, że swoją powinność pełni do ostatka.

Jego żona czy siostra w ogóle nie dowiedziały się, że Gregora umieścił we franciszkańskim konwikcie w dzielnicy hutniczej, dokąd właśnie zmierzał. Z opatem Bonifacym był zaprzyjaźniony od czasów studenckich, w czym również jego krótkotrwała styczność z gminą Wittigów nic nie mogła zmienić. Potem stracili się z oczu na dłuższy czas, ale gdy Bonifacy został powołany na opata w gliwickim klasztorze franciszkanów, wówczas spotykali się przy sposobności, i szybko odnowiła się między nimi dawna zażyłość z okresu ich młodości. Kiedy młody Grzegorz Bielski z Katowic szukał u niego schronienia, w końcu do głowy przyszedł mu

opat, i wtedy natychmiast zabrał chłopca do konwiktu franciszkanów, załatwiając mu nawet nowe dokumenty na nazwisko Gregor Biolek z Wołynia. W tym czasie widział Gregora jedynie trzy albo cztery razy i najczęściej nie dłużej niż pół godziny, tak bowiem chciał opat, a skoro zaufał mu, tak byłoby też lepiej dla Gregora. Zdecydował się adoptować chłopca, pod nowym nazwiskiem mógłby także mieszkać u niego w domu. Jednak opat Bonifacy wyperswadował mu to, zachodziło bowiem niebezpieczeństwo, że urzędy będą dochodziły jednak przy badaniu pochodzenia, że dziadek chłopca przybył ze Lwowa i nazywał się Jizchak Weiss. W ten sposób odroczył to. Pewnego dnia przyszło mu na myśl, że opat wyperswadował mu to tylko dlatego, ponieważ chciał przyjąć Gregora jako nowicjusza do zakonu. Dotychczas Gregor był dobrze przechowywany u franciszkanów, jednak cóż mogło się stać, kiedy Rosjanie zdobędą miasto? Ojcowie nie opuszczą klasztoru, nie byłoby zatem bezpieczniej, jeśliby zabrał go w drogę? Otrzymałby miejsce u franciszkanów w Zgorzelcu lub Dreźnie. O tym chciał pomówić z opatem i dostosować się do jego rady.

Wondrak zadzwonił przy bramie do klasztoru, potem kopnął w drewno, nie dlatego, że był tak zniecierpliwiony, ale ponieważ wpadło mu do głowy, iż dzisiaj rano było oszczędzanie prądu, a jeżeli jeszcze trwało, to nikt z nich nie usłyszy dzwonka. Zaraz otworzył mu jakiś ojciec, jednak musiał się przedtem wylegitymować, zanim wpuści i zaprowadzi go do opata.

Bonifacy zaproponował przyprowadzenie chłopca, który potem w jego i pana doktora Wondraka obecności ma zdecydować, czy chciałby pozostać w tym klasztorze albo też odejdzie z Wondrakiem do innego klasztoru na zachodzie.

Następnie stanęli naprzeciw siebie, w pewnym oddaleniu, Gregor zaskoczony zatrzymał się w drzwiach, jak kontur wyróżniał się jego ciemny habit przed biało otynkowaną ścianą.

Horst BIENEK
Przełożył Andrzej Pańta

Nikt już nie jechał na wschód

Bez wielkich pożegnań. Spiesznie dosiadłam mego kasztana, przez moment zastanawiałam się, czy wziąć luzaka na zamianę: mocną, dobrze ułożoną, karogniadą, czteroletnią klacz. Podczas gdy jeszcze namyślałam się, podszedł do mnie jakiś żołnierz. Dziwnym zbiegiem okoliczności niósł pod pachą siodło, i zapytał mnie, czy mógłby skorzystać z drugiego konia. Tak więc razem wyruszyliśmy w drogę.

Nie odzywaliśmy się do siebie niemal ani słowem — każde z nas zajęte było swoimi myślami i troskami. Jechaliśmy cały dzień, mając przy tym wrażenie, że cały czas stoimy w „kolejce": przed nami, za nami, obok nas — ludzie, konie, wozy. Od czasu do czasu znajoma twarz albo znajoma nazwa majątku na małej tabliczce kołyszącej się na wozie. Za miasteczkiem Preussisch Holland (Pasłęk) napotkaliśmy drobnych rzemieślników i sklepikarzy; każdy w drodze z ręcznym wózkiem, na nim babcia albo załadowany cały dobytek. Mój Boże, cóż za widok! I dokąd właściwie zmierzali wszyscy ci ludzie? Czy naprawdę chcieli przebyć w ten sposób setki, a może i tysiąc kilometrów?

Dawno zapadła noc. Siedzieliśmy na koniach już ponad dziesięć godzin i nie dotarliśmy jeszcze do Elbląga. Posuwać się do przodu było coraz trudniej, ponieważ teraz do naszego pochodu ze wschodu na zachód dołączyły tabory uciekające z południowego wschodu: niskie, zaprzężone w małe chłopskie konie wozy, na których transportowano amunicję i sprzęt; potem także czołgi, bezlitośnie spychające wszystkie pojazdy uciekinierów do rowów, gdzie wiele z nich przewracało się i rozbijało.

Nagle zatrzymał nas jakiś oficer, który stał na środku drogi niczym skała w nurcie rzeki i wypatrywał uciekających żołnierzy. Mimo ciemności rozpoznał, że mój towarzysz nosi mundur. „Co? Urlop? Nie ma żadnych urlopów!" Także moje próby przekonania go okazały się daremne. Żołnierz musiał zsiąść z konia, zaraz też zniknął w mroku, a ja zostałam nagle sama z moim luzakiem, którego trzeba było ciągnąć jak cielę prowadzone na rzeź. Nie do pomyślenia całymi dniami posuwać się w ten sposób. Byłam naprawdę bezradna: nie mogłam zatrzymać się, a klacz nie chciała iść naprzód. Wtedy nieoczekiwanie usłyszałam jak ktoś woła mnie w ciemnościach, spojrzałam w tłum i spostrzegłam trzech ludzi z Quittainen (Kwitajny), pośród nich Georga, 15-letniego syna naszego leśniczego. Jechali oni na rowerach. Co za szczęście; Org zostawił swój rower oparty o przydrożne drzewo i dosiadł karogniadej.

Umówiliśmy się, że wszyscy w czwórkę zrobimy postój w znanym mi majątku, niedaleko Elbląga. Tam też spotkaliśmy się. Właścicieli już nie było, w domu stało wojsko. Po kilku godzinach odpoczynku zrobiło mi się nieswojo; tabory z południowego wschodu ciągnęły z wyraźnym pośpiechem. Była druga w nocy. Obudziłam pozostałych, przymocowałam obu koniom nowe, ostre podkowy, bez których nie można się było w ogóle poruszać przy takiej ślizgawicy, i poszłam do telefonisty, którego widziałam przedtem siedzącego w zaimprowizowanej kancelarii, by dowiedzieć się czegoś nowego o sytuacji. „Co? Pani jeszcze tutaj? Musicie natychmiast uciekać. Właśnie dostaliśmy rozkaz wysadzenia mostu. Niech się pani szybko zbiera, żeby zdążyć na drugą stronę!"

Znowu lodowate zimno. I znów „kolejka", do której dołączyliśmy. A po osiemnastu godzinach znowu kilka godzin snu, z którego obudził mnie jakiś głos wołający donośnie i monotonnie: „Wszyscy wychodzić! Rosjanie są w...". Tę wieś, której nazwy nie pamiętam, minęliśmy jako ostatnią, wiedziałam więc, że jest oddalona tylko o trzy kilometry. Nawoływał burmistrz, właściciel domu; właśnie dotarła do niego ta wiadomość. Zbudziłam Orga i wspólnie zaczęliśmy budzić żołnierzy śpiących w przedpokoju na podłodze. Bez skutku.

Powoli, niby film na zwolnionych obrotach — tak jakby obrazy miały raz jeszcze mocno wryć się w pamięć — przeciągał przed nami ukochany krajobraz, jak sceneria jakiegoś surrealistycznego filmu. Elbląg, Malbork, z którego historią była po wielokroć związana nasza rodzina, potem Tczew. Tczew wyglądał jak obóz Wallensteina — gigantyczna scena spektaklu na wolnym powietrzu: tłumy ludzi w dziwacznych kostiumach. Tu i ówdzie ognisko, na którym się coś gotowało. Grzmot dział był teraz już całkiem blisko, chwilami wydawało się, że chwieją się wszystkie domy. Znaleźliśmy schronienie w jakimś majątku na skraju miasta. Podczas gdy jedno z nas spało na sofie, drugie musiało czuwać w stajni przy koniach — jako że koń był w tych czasach wart królestwa. Nie był to jednak prawdziwy odpoczynek, przez cały czas jacyś ludzie chodzili po domu, brali to poduszkę, to ręcznik, otwierali słoiki z zaprawami, także i my pierwszy

raz od dawna najedliśmy się porządnie korzystając z tutejszej spiżarni.

Dotarła do mnie cała rozpaczliwość sytuacji i zaczęłam żałować, że nie wróciłam razem z naszymi ludźmi do domu. Myśl, by spróbować zrewidować tamtą decyzję, wydała mi się nieoczekiwanie fascynująca: skoro od czasu do czasu jeżdżą jeszcze pociągi na zachód — być może jeżdżą też inne, puste, na wschód. Może mogłabym dostać się do Królewca, a stamtąd do Friedrichstein? Poszłam na dworzec. Tutaj też tysiące ludzi. Oczywiście nie było żadnego okienka, żadnej informacji, nic. W końcu znalazłam jakiegoś urzędnika. „Co? Do Królewca?" Spojrzał na mnie, jakbym chciała jechać na księżyc i pokręcił głową. Nie, nikt już nie jechał na wschód.

W Tczewie ktoś ukradł mi moje futrzane rękawice — prawdopodobnie odłożyłam je gdzieś na bok i na chwilę o nich zapomniałam. Był to ciężki cios o nieobliczalnych konsekwencjach. Wykluczone, żeby zdobyć skądś nowe. Wykluczone też, by bez rękawic jechać konno przy dwudziestostopniowym mrozie. Dziwne to czasy, kiedy rękawice stają się sprawą życia i śmierci. Ponieważ na nogach miałam po dwie pary skarpet narciarskich, jedna z nich awansowała do roli rękawic. Ale wiatr dął przez dzianinę jak przez sito.

Dzięki naszej mapie stwierdziliśmy, że istnieje realna możliwość przedostania się w kierunku zachodnim bocznymi drogami, by w ten sposób wydobyć się z rzeki uciekinierów, która poruszała się z prędkością najwyżej 3 kilometrów na godzinę. Często w ciągu jednej godziny więcej było stania niż jazdy. Działo się tak zawsze, kiedy leżała przed nami jakaś miejscowość, kiedy dochodziły boczne drogi lub rozbijały się wozy. Bardzo szybko musieliśmy zrezygnować z prób zboczenia na naszych koniach na pola: zbyt głębokie były zaspy śnieżne.

Boczne drogi — wizja wręcz olśniewająca. Uciec od tego widoku nędzy i rozpaczy! Początkowo szło całkiem nieźle, ale na dłuższą metę stawało się coraz bardziej uciążliwe. Przede wszystkim dla koni, które ciągle zapadały się po brzuch w śniegu. Robiło się coraz ciemniej. Tutaj, na Kaszubach, części dawnego polskiego korytarza, nie było wsi, tylko pojedyncze gospodarstwa, a ludzie nie mówili po niemiecku. W końcu straciliśmy z oczu nawet drogę. Org wpadł w rozpacz. Biedak miał okropne bóle, ponieważ nie przywykł do jazdy konno, a na dodatek odmroził sobie uszy; mnie zesztywniały u obu dłoni po dwa palce, w ciągu następnych dni popękała na nich skóra, co sprawiało nieznośny ból.

Musieliśmy koniecznie znaleźć jakiś majątek, już choćby po to, by porządnie nakarmić konie. Zsiadłam i weszłam do jednej z tych dość nędznych chałup. Cała rodzina siedziała przy lampie naftowej jedząc zupę mleczną. Spoglądali na mnie przerażeni, uważali mnie pewnie za pierwszego zwiastuna wojennej furii. Trudno było się porozumieć, jednak udało mi się dowiedzieć przynajmniej tyle, że w odległości około 3 km znajduje się duży majątek. Wreszcie ów poczciwy człowiek wziął stajenną latarnię i pomaszerował przodem przez pagórek do następnej chałupy, a stamtąd jego sąsiad przeprowadził nas przez następny pagórek, za którym widać już było drogę i sam majątek.

Majątek należał do pana Schnee. Owsa było więcej niż oczekiwaliśmy — jako miejsce do spania jednak jak zwykle podłoga w pokoju, gdzie zebrało się około dwudziestu osób, najwidoczniej ludzi z „korytarza" i z Warthegau, którzy po większej części się znali. Mówili oni dużo o swoich przeżyciach z pierwszej wojny światowej, podczas której prawdopodobnie spotkali się z okrucieństwem ze strony Polaków. Wzbudziwszy stosowną antypatię moimi opowieściami o niemieckim okrucieństwie, szybko zasnęłam.

Złudna, niestety, okazała się nadzieja na znalezienie w domu pana Schnee pary rękawic. Wydali już wszystko, co było na zbyciu. Przydzielono mi jednak grubą firankę, igłę i nici, i przez pół dnia zajęta byłam szyciem nowych rękawic. Org dostał na szczęście futrzaną czapkę, z wierzchu białą, podbitą futrem. Na szczęście, bo dni, które teraz nadeszły, były gorsze niż wszystko, co przeżywaliśmy do tej pory.

Termometr spadł jeszcze niżej, a do tego zerwał się — co jest rzadkością w tak wielkie mrozy — huraganowy wschodni wiatr. Kiedy wreszcie odpowiednio wyposażeni opuściliśmy majątek i osłoniętym wąwozem wjechaliśmy na górę, w dali za polem ujrzeliśmy znowu ogromne, sunące drogą ludzkie mrowie. Nie padało, ale śnieg wirował w powietrzu. Jak przez gruby, biały woal widać było tych nieszczęsnych ludzi idących wolno, bardzo wolno do przodu. Płaszcze smagane wiatrem, wiele konstrukcji zadaszających wozy połamało się. Dołączyliśmy do tej procesji zjaw i zobaczyliśmy pierwszych zmarłych leżących przy drodze. Nikt nie miał siły, czasu ani możliwości, by ich pogrzebać.

I tak dniami — tygodniami. Z prawej i z lewej dołączały ciągle nowe pojazdy, coraz więcej ludzi. I to nie tylko tu, na północnym wschodzie; już od ubiegłej jesieni te same sceny na południowym wschodzie Niemiec: kolumny i jeszcze

raz kolumny. Z Besarabii, Banatu, Siedmiogrodu i z Baczki, z pradawnych terenów niemieckiego osadnictwa przetaczały się te żałosne pochody na zachód. Za nimi płonęła ziemia ojczysta, a kto zdecydował się zostać, tego już dawno dosięgnął jego los. Również w Siedmiogrodzie wygasło 700 lat historii. Wielu z tych obrazów nigdy nie zapomnę. Gdzieś po drodze — zdaje się między Bytowem a Kościerzyną — minęliśmy miejsce, skąd rozciągał się widok na prostą jak strzelił drogę — 3 km do przodu i 3 km do tyłu. Na tych sześciu kilometrach nie widać było metra kwadratowego drogi; tylko wozy, konie, ludzie i nędza. Nikt nic nie mówił. Skrzypiały tylko nie smarowane koła.

Inny obraz: było to chyba jeszcze w Prusach Wschodnich: któregoś dnia pojawiły się trzy czołgi obwieszone uciekinierami — kobiety i dzieci, z workami i kuframi, cywile i wojskowi — nigdy dotąd nie widziałam takiego stopienia się normalności z nienormalnością, pragnienia niszczenia i pragnienia przeżycia. Wyglądało to niezwykle. Z jakiegoś powodu stanęli na chwilę. Jakiś chłop powiedział: „Lepiej byście zatrzymali Rosjan, zamiast spychać nas z drogi!" Jeden z żołnierzy, nieokrzesany typ, któremu w dziurce od guzika powiewała czarno-biało-czerwona wstążeczka, wrzasnął na niego: „Dość już mamy tego gówna!".

A kiedy indziej — posuwaliśmy się właśnie trochę szybciej do przodu i wyprzedziliśmy wiele wozów — zobaczyliśmy nagle samych francuskich jeńców wojennych. Były ich setki, może tysiące. Wielu z nich przybiło do swoich kartonowych kuferków po dwie drewniane listwy w charakterze płóz i ciągnęło ten bagaż za sobą na sznurku. Nie odzywali się ani słowem. Słychać było tylko zgrzytliwe szuranie skrzyń i kufrów. A dookoła nieskończona śnieżna samotność jak podczas odwrotu *Grande Armée* przed 130 laty.

Jeszcze jedno niezapomniane wrażenie: byliśmy w drodze około czternastu dni, kiedy któregoś wieczora dotarliśmy do Varzin (Warcino), dużej posiadłości w powiecie Rummelsburg (Miastko), którą nabył kanclerz Bismarck ze swego uposażenia w roku 1866: wspaniałe, rozległe lasy, wzorowo prowadzone gospodarstwo.

Nogat i Wisła leżały już za nami i wierzyłam, że tutaj można będzie jakiś czas pozostać. Wreszcie dokądś dotarliśmy — zbawcza myśl. Wjechaliśmy przez bramę parkową na lekko wznoszącą się drogę do pałacu. Na górze, przed głównym portalem stał traktor i dwa duże wozy żniwne, zapakowane wysoko pudłami. A więc zajechali tu i inni uciekinierzy, pomyślałam. Żeby tylko w domu było jeszcze miejsce. Ale ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu dowiedziałam się, że nie jest to bagaż uciekinierów z Prus Wschodnich, lecz archiwum Bismarcka, które miało być ewakuowane. Więc i stąd się ucieka. A ja ciągle myślałam, że za Wisłą panuje spokój.

Wówczas żyła jeszcze synowa kanclerza, niewysoka, filigranowa, wielce dowcipna prastara dama, która w młodości często dostarczała powodów do niejakiej dezaprobaty: jeździła konno na polowania, paliła cygara i wyróżniała się dowcipem i rezolutnością.

Także i teraz była niezwykle fascynująca, tak fascynująca, że nie mogłam zdecydować się — a zdawało się to ze wszech miar wskazane — by następnego dnia ruszyć dalej. Tak więc zostaliśmy dwa dni. Dwa pamiętne dni. Obok, drogami wolno ciągnęły kolumny uciekinierów, do ostatnich zwykle dołączali miejscowi, sami stając się uciekinierami. Także i tutaj nadeszła godzina przełomu. Traktor, który stał przed pałacem, odjechał już bez starej hrabiny — nijak nie można jej było nakłonić, by opuściła Varzin. Nie skutkowały żadne ostrzeżenia ani przewidywania. Jasno zdawała sobie sprawę, iż nie przeżyłaby wkroczenia Rosjan. Nie chciała zresztą tego przeżyć, dlatego też kazała wykopać w parku grób (bo potem nikt nie będzie miał na to czasu).

Chciała zostać w Varzin, by nacieszyć się jeszcze, do ostatnich chwil, stronami rodzinnymi. I czyniła to iście po pańsku. W jej otoczeniu wszystko było takie jak zawsze. Stary służący, który też nie chciał uciekać, podawał do stołu. Jedno po drugim pojawiały się czerwone wina — roczniki, o których normalnie można tylko pomarzyć. Nie padło ani jedno słowo o tym, co działo się na zewnątrz i co jeszcze miało nadejść. Żywo i z detalami opowiadała o dawnych czasach, o swoim teściu, o dworze cesarskim i o okresie, kiedy jej mąż, Bill Bismarck był nadprezydentem Prus Wschodnich.

Kiedy w końcu pożegnałam się z nią i ruszyliśmy, w połowie drogi do bramy parku obejrzałam się. Stała w drzwiach, zatopiona w myślach i pomachała nam raz jeszcze malutką chusteczką. Wydawało się, że nawet się uśmiechała, ale dokładnie nie mogłam już tego zobaczyć.

Kilka dni później, było to już na Pomorzu, z dala od głównej drogi, dotarliśmy pod wieczór do jakiegoś majątku. Zsiadłam z konia, weszłam po zewnętrznych schodach i zadzwoniłam, podczas gdy Org stał w zapadającym mroku trzymając konie. Najprawdopodobniej właściciele obserwowali

obie postaci i konie przez okno. Miałam na sobie wysoką futrzaną czapę i futro obszyte szarozielonym suknem, ściągnięte paskiem. Być może nieco przypominało płaszcz oficerski. Było to zresztą moje dawne futro podróżne, które za pomocą scyzoryka zamieniłam w futro do jazdy konno, to znaczy — bez ceregieli rozcięłam je z tyłu, od dołu aż do pasa.

Dziwnie długo trwało, zanim otwarto drzwi. Otworzył je pan domu osobiście. Bardzo blady, bardzo skupiony. Powiedziałam, kim jestem. Ciągle jeszcze milczenie, żadnego zaproszenia, by wejść. W końcu odwrócił się i zawołał w głąb domu: „To nie Rosjanie!". A potem zeszła się cała, wyraźnie uspokojona rodzina, wymieniliśmy pogłoski — jako że informacji nie posiadaliśmy żadnych — ani oni, ani ja.

Dom pełen był uciekinierów: krewni, znajomi, przypadkowi przybysze, jak my. Wieczorem siedzieliśmy przy długim stole, oświetlonym paroma świecami, światła elektrycznego już nie było. Pan domu z wielką powagą odmówił modlitwę. Siedział u szczytu stołu i w jakiś szczególnie uroczysty sposób rozdzielał zupę. We wszystkim pobrzmiewał smutek rozstania, w każdym geście, w każdym słowie, także w milczeniu.

O ile na wschód od Wisły domy i stodoły, w których szukaliśmy schronienia na kilka godzin lub na noc, stały zazwyczaj już opuszczone, na Pomorzu — w przeciwieństwie do tego — wszystko jeszcze funkcjonowało — jeśli można było to nazwać „funkcjonowaniem". Ale miejscowi obawiali się, że któregoś dnia podzielą nasz los. Jakkolwiek ja nie umiałam sobie wyobrazić, że również Pomorzanie mieliby uciekać.

Owego wieczoru ani oni, ani ja nie przypuszczaliśmy, że wkrótce wybije ich godzina. Była połowa lutego. 26 lutego generał Żukow rozpoczął ofensywę na Pomorzu. 28 lutego jego czołgi dotarły do Koszalina i Sławna, miażdżąc po drodze uciekinierów i miejscowych. Niemieckie czołgi, które usiłowały stawiać opór, miały jeszcze po dziesięć pocisków. Śmiertelnie zmęczone załogi walczyły bez żadnej nadziei. Na jeden niemiecki czołg przypadało dziesięć rosyjskich. Niejeden na Pomorzu żegnał nas prawie z zazdrością. Niejeden chętnie wysłałby z nami w drogę chociaż dzieci, młode dziewczyny i parę kosztowności. Ale tu znowu to samo: surowo zabronione. A ludzi, którzy denuncjowali, powodowani rzekomym patriotyzmem, nigdzie nie brakowało; dlatego też nikt nie odważył się złamać zakazu. (...)

Na Odrze oddziały niemieckie próbowały wysadzać lód w powietrze, by w ten sposób osiągnąć coś w rodzaju zapory przeciwczołgowej. Nie udawało się. Potem próbowano piłami, tak samo jak czyniono to wszędzie na wsi w czasach mojego dzieciństwa, kiedy „robiło się lód", gromadzony potem na lato w piwnicach i ziemiankach. Ale i to nie udało się. Przy prawie trzydziestostopniowym mrozie kawały lodu przymarzały do siebie, zanim zdołano je wyciągnąć.

Kiedy wreszcie dotarliśmy w pobliże Szczecina, strzelanina była tak silna i — jak mnie się zdawało — tak bliska, że nie chciałam pakować się w tę pułapkę — zdecydowaliśmy, podobnie jak wielu innych, pojechać w stronę wybrzeża i dalej przez wyspy Wolin i Uznam, a potem przez Przedpomorze i Uckermark.

Któregoś dnia dołączyli do nas trzej oficerowie, obeznani w okolicy; bocznymi drogami zmierzali do miejsca, w pobliżu którego leżał cel mojej podróży — miałam nadzieję znaleźć tam część mojej rodziny. Wreszcie wydostaliśmy się poza główne szlaki uciekinierów. Nasze konie, którym udzielił się wigor pozostałych, przebyły w ciągu trzech dni 150 kilometrów. Jednak kiedy późnym wieczorem dotarliśmy wreszcie do majątku w Uckermark, okazało się, że na postój zatrzymało się tam 800 polskich oficerów i wszystkie zabudowania, dom, stajnie i stodoły są zajęte. Ci nieszczęśnicy spędzili kilka lat w jakimś obozie dla jeńców wojennych i część z nich została już odtransportowana przez Rosjan. Wzięto wtedy 1200 polskich oficerów. Pozostali koledzy — jak się zdaje — mieli jak najgorsze wyobrażenie co do ich losu, myśleli bowiem tylko o ucieczce na Zachód. Kogóż nie porwał ze sobą ten wir klęski!

Rzadko czekałam na coś tak bardzo, jak na spotkanie z moją szwagierką i jej dziećmi. Od tygodni cieszyłam się też na kąpiel i zmianę odzieży, jako że z mojego plecaka zrezygnowałam już drugiego dnia ucieczki — zbyt przeszkadzał. Teraz jednak okazało się, że mojej rodziny nie ma od trzech dni. Wyjechali, uciekli. Nie mogłam w ogóle pojąć, że z okolic Prenzlau też trzeba uciekać. I gdzie wszyscy ci ludzie mieli się podziać? Z czego żyć?

A więc znowu w drogę — „dotrzeć dokądś" — były to najwidoczniej słowa, które należało skreślić ze słownika. Jechaliśmy teraz przez Marchię, Meklemburgię, Dolną Saksonię do Westfalii. Przekroczyłam trzy duże rzeki, które kiedyś były tak charakterystyczne dla naszych wschodnich Niemiec: Wisłę, Odrę i Łabę. Wyruszyłam, gdy była pełnia księżyca,

tymczasem pojawił się nów, pełnia i jeszcze raz nów.

W środku zimy wyruszyłam z majątku, z domu: kiedy wreszcie dotarłam do Metternichów w Vinsbeck w Westfalii, była wiosna. Śpiewały ptaki. Za siewnikami kurzyła się ziemia z suchych pól. Wszystko sposobiło się do nowego początku. Czyżby życie miało naprawdę toczyć się dalej — tak, jakby nic się nie stało?

Marion Gräfin DÖNHOFF
Tłumaczyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy

Marion Gräfin Dönhoff, „Namen, die keiner mehr nennt" (Nazwy, których nikt już nie wspomni), Eugen Diederichs Verlag, Düsseldorf-Köln 1962; powyższy tekst jest fragmentem rozdziału „Nach Osten fuhr keiner mehr".

Podróż na Pomorze

WIELKA PODRÓŻ CHŁOPAKA ZE SŁUPSKA

Berlin, Stettiner Bahnhof, ósma dwadzieścia siedem*. Serce bije mocno przed tą wielką podróżą, która ma chłopaka zawieść do domu. Bilet dobrze schowany w woreczku na piersi, jak i chleb w torbie na ramię, a wujek dał jeszcze markę konduktorowi, żeby ten powiedział, kiedy wysiąść. Tak jakby nie było wiadomo!

Ósma dwadzieścia osiem. Pociąg rusza, trzy, cztery razy kręcą się w miejscu potężne koła lokomotywy, która z wysiłku sapie kłębami pary, aż znika człowiek w czerwonej czapce i widać już tylko zielony lizak. A więc minęło: zoo i Zeughaus, wycieczka do Sanssouci, wieża radiowa i policjanci, którzy kierują ruchem albo przynajmniej usiłują. I kąpielisko w Wannsee. A cóż to jest w porównaniu z prawdziwą plażą —

* Dane te pochodzą z rozkładu jazdy, ważnego latem 1938 roku.

Stolpmünde[1], Rowe[2] czy Leba[3]? W ogóle trudno zrozumieć, jak taka masa ludzi może wytrzymać w takim ścisku. Chłopakowi ciągle chodzi po głowie zdanie z książki z obrazkami: „W mrowisku się roi".

Pociąg teraz gna, jakby bardzo spieszyło mu się na spotkanie z Pomorzem. Godzina i czterdzieści sześć minut do Szczecina. Stettin: Hakenterasse[4] i stary zamek, na którym rządzili kiedyś książęta z rodu Greifen. Zwali się zazwyczaj Wartislaw, Barnim, Bogislaw. A czy pradziadek, Robert von Puttkamer, jako nadprezydent nie był w pewnym sensie ich następcą?

Sześć minut postoju, odjazd dziesiąta dwadzieścia. Zaraz potem głuche dudnienie — mosty na Odrze. Znowu serce zabiło mocniej: tutaj, od tego miejsca zaczyna się Zapomorze[5]. Gdzieś tu, w okolicy, stał podobno łuk triumfalny, zbudowany na cześć króla Prus, kiedy jego wysokość po podróży przez Przedpomorze przekroczył rzekę. (...)

Za oknem przesuwa się Altdamm[6]. Linia kolejowa rozgałęzia się tutaj na północ, przez Gollnow[7] i Wietstock[8] wiedzie na wyspę Wolin, do Misdroy[9], nad morze. W drodze do Swinemünde[10] traci się jednak dużo czasu przez portowy prom, lepiej objechać zalew z lewej, przez Pasewalk i Uznam. A już szczególnie jadąc z Berlina; słynny pociąg pospieszny, kursujący na koniec tygodnia, jedzie do Swinemünde poniżej trzech godzin. A dokładnie w ciągu czterech rozwozi wszystkich podróżnych do Ahlbeck, Heringsdorf, Bansin, Zinnowitz.

Pan z Berlina, siedzący naprzeciwko, protekcjonalnie pokazuje na prawo: „Nawet lotnisko tutaj macie!" „A jakże, i to podwójne, dla samolotów i wodnopłatów. W Stolp[11] też mamy. A zaraz obok hangar dla sterowców: był tam generał Mobile ze swoim zeppelinem, w drodze do Bieguna Północnego". „Co ty nie powiesz! Tak blisko macie do białych niedź-

1. Ustka.
2. Rowy.
3. Łeba.
4. dzisiaj — Wały Chrobrego.
5. dzisiaj — Pomorze Zachodnie.
6. Dąbie.
7. Goleniów.
8. Wysoka Kamieńska.
9. Międzyzdroje.
10. Świnoujście.
11. Słupsk.

wiedzi?" „Ale wtedy, w 1928 roku przyleciało 125 pasażerów, a odleciało 139!" „Dziennie?" „No, nie. Przez rok". Ach ci berlińczycy!

Na pociechę chłopak dostaje banana; zamiast ze smakiem, zjada go ze śmiertelną pogardą. Czego chłop na oczy nie widział, tego do ust nie weźmie.

Dziesiąta czterdzieści siedem: Stargard nad Iną. 39 tysięcy mieszkańców, kościół Mariacki, kolejowe zakłady naprawcze i fabryka likierów Mampego. Przez 70 lat, do 1720 roku, był stolicą landu. Przedpomorze należało przedtem do Szwecji, tak jak kraina na północ od rzeki Peene, razem ze Stralsundem, uniwersyteckim Greifswaldem i Rugią — aż do Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku. Stąd nazwa „szwedzkie Pomorze", stąd różnice między obiema częściami krainy; Przedpomorzanie mówią „platem", podobnie jak w sąsiedniej Meklemburgii. I tam też się żenią; na Zapomorzu natomiast małżeństwa zawiera się najczęściej między swoimi.

Na południowy zachód od Stargardu rozpościera się Równina Pyrzycko-Stargardzka, najżyźniejszy obszar Pomorza. Tam też rozciąga się jezioro Miedwie, rojne od wszelakich ryb, w tym także siei, tak rzadko spotykanej gdzie indziej.

Do Labes[12] przez Ruhnow[13] — trzy kwadranse. „Widoków ani na lekarstwo", powiada pan z Berlina, który już nie może doczekać się wywczasów w Kolbergu[14]. Przyznać trzeba: oprócz sosen i ziemniaków na ruchomych piaskach wiele się nie zobaczy. „Za to w Labes jest stadnina z prawdziwymi ogierami, wie pan?" „A niech tam. Zwariowanych ogierów nie brakuje i w Berlinie".

Ten człowiek siedzi w nieodpowiednim pociągu. Po pierwsze — w Berlinie powinien wsiąść do innego, tylko dziesięć minut później. Dojechałby bezpośrednio do Kołobrzegu nie musząc się przesiadać w Belgard[15]. I byłby o cztery minuty wcześniej u celu.

Po drugie — jeszcze lepiej, gdyby przesiadł się w Ruhnow, w kierunku Dramburg[16], Falkenburg[17], Tempelburg[18], Neustettin[19]. I dalej — Rummelsburg[20] i Bütow[21]. Cóż za

12. Łobez.
13. Runowo.
14. Kołobrzeg.
15. Białogard.
16. Drawsko Pomorskie.
17. Złocieniec.
18. Czaplinek.
19. Szczecinek.
20. Miastko.
21. Bytów.

krajobraz zobaczyłby wtedy: już nie równinny, lecz bardziej urozmaicony, po części prawie górzysty, coraz bardziej — im dalej na wschód. Pasmo wzniesień Pojezierza Pomorskiego; niemal wszystkie rzeki Zapomorza wiją się stąd na północ albo na południe. I są tu setki jezior — małe i duże, pełne zatok, rozgałęziające się między łąkami i bagniskami, między polami i lasem. Niektórzy ludzie mówią: „Szwajcaria Pomorska".

Ale tak naprawdę to czcza gadanina. Po co coś udawać, chować się za kogoś innego, jakby nie miało się innego wyjścia, jak tylko zachwalać. Kraina ta jest przestronna i tak naprawdę nigdzie nie ma stromizn, nie jest wspaniała czy też imponująca — a w ogóle nie kusi swym powabem. Nie pyszni się, nie lubi reklamy. Może należałoby powiedzieć, że jest surowa. Wyciszona i osobliwa, rozważna i solidna. Dalej na północ, w stronę Lauenburg[22], leży „błękitna kraina". Do niej o wiele bardziej pasuje określenie „Szwajcaria Pomorska".

Nad skarpą krążą myszołowy; można też napotkać jastrzębia, sokoła i czerwoną kanię. Stada dzikich kaczek. Komu nieobcy jest brzask o poranku ani wieczorny zmierzch, napotka też zwierzynę płową i czarną. A w ogóle to roi się tutaj od prawdziwych, czerwonych, leśnych mrówek. Niekiedy wznoszą swe zamczyste kopce na wysokość człowieka. Ludzie powiadają, że pomaga na rwanie, jak usiądzie się w mrowisku. Ale lepiej wypróbować tę metodę na małym palcu.

Od ludzi, prawdę mówiąc, tutaj się nie roi. Mniej więcej czterdziestu mieszkańców przypada na kilometr kwadratowy, w powiecie Rummelsburg, wliczając miasto — zaledwie trzydziestu. Godzinami można wędrować — lub jeszcze lepiej — jeździć konno, i nie spotkać żywej duszy, może tylko pasterza owiec ze swoim stadem albo leśnika. Doprawdy, cóż to za kraina!

Pobudka! Pociąg staje: Belgard, dwunasta dwadzieścia osiem. Berlin wysiada. Chłopak czuje się niemalże jak jego własny wujek. Był on mianowicie w służbie dyplomatycznej i — jak się opowiada — odbywał dalekie podróże. Któregoś dnia, a raczej nocy, jedzie on w wagonie sypialnym na urlop, śpi i śni. Dokąd go zaniosło — do Amsterdamu, Londynu, Lizbony, Aten? Budzi się zlany potem, gwałtownie otwiera okno, wygląda i woła: „Bogu dzięki, jestem w Belgard!" Zaprawdę, Pomorzanin jak się patrzy, zgodnie ze starym hasłem wyborczym: „Zawsze wierny!".

22. Lębork.

Niegdyś słynny targ koński i jeszcze dzisiaj centrum handlu końmi; tartak i przetwórnia drewna, kościół Mariacki, prawie 15 tysięcy mieszkańców — miasto nad Parsętą stanowi, rzec można, wrota do Zapomorza. Bo tutaj, w dolinie Parsęty przebiega granica strefy klimatycznej. W zachodniej i środkowej części Pomorza klimat jest raczej suchy, ale i łagodny. A od tego miejsca staje się bardziej ostry: wiosna ociąga się z dalszą wędrówką. Czuje, jak oddala się od wpływów oceanicznych i musi walczyć z potęgą kontynentalnych mas powietrza, no i z wszystkimi „zimnymi ogrodnikami". I tak przeciętna temperatura kwietnia w Szczecinie wynosi 7,1, natomiast w Lęborku 5,7. I podczas gdy przeciętna roczna tutaj liczy około 7,2 stopni, na zachodzie Niemiec, np. we Frankfurcie nad Menem, osiąga 9,6. Żeby to unaocznić i uściślić, przytoczmy taką oto prawdę życiową: „Prawdziwy chłop za przykładem przodków nosi kożuch do Wniebowstąpienia, a dwa tygodnie po świętym Janie zakłada go znowu".

Albo: „Bez futrzanego worka na stopy Pomorzanin może podróżować tylko od 27 czerwca do 3 sierpnia". Przy tym lato jest tu z reguły suche i ciepłe. Ale nigdy nic nie wiadomo!

Dwunasta czterdzieści osiem: Köslin[23]. 33.500 mieszkańców, siedziba rządu krajowego, miasto urzędników; kościół Mariacki. I zaraz za Koszalinem potężna, mroczna od lasów Góra Chełmska, spowita w legendy i opowieści zbójeckie.

Potem, pół godziny później, przedostatnia stacja — Schlawe[24], jeszcze poniżej granicy 10 tysięcy mieszkańców. Imponująca budowla — kościół Mariacki. Wszędzie kościoły mariackie, wzdłuż całego wybrzeża bałtyckiego, od Lubeki do Gdańska, potężne i surowe świadectwa ceglanego gotyku. Jadąc w dół Wieprzy, w stronę wybrzeża, dociera się do okolic Rügenwalde[25], po Równinie Pyrzycko-Stargardzkiej drugiego najbardziej żyznego obszaru Pomorza. I chyba z tym wiąże się fakt, że Rügenwalde i Schlawe stanowią centrum wędliniarstwa — ze słynną metką i półgęskami, zwanymi tutaj *Spickgans*.

Ale teraz dalej, niecierpliwość goni, pałac Zitzewitzów wita już z oddali, pojawia się konduktor i mówi: „No tak, słupski, chłopaczku, już czas. Punktualnie za piętnaście druga jesteśmy na miejscu". Jakby nie było wiadomo. A poza tym to ostatnia stacja.

23. Koszalin.
24. Sławno.
25. Darłowo.

Mały Paryż na Zapomorzu

Stolp na Zapomorzu: w roku 1013 po raz pierwszy zostaje wymieniona miejscowość, która nazywa się Slup albo Slupz, Slupsk, Slupitz, Zlup. A więc nazwa słowiańska, łużycka osada. Trzysta lat później, w roku 1310 powstaje z niej miasto na prawie lubeckim, nadanym przez margrafów brandenburskich Waldemara II i Johanna IV. Wczesny dobrobyt w okresie przynależności do Hanzy, długie okresy zastoju i zubożenia, plaga pożarów, stopniowy ponowny rozkwit — zwyczajne losy. W 1939 roku liczy 50.377 mieszkańców. Otaczający je powiat ma 83.009 mieszkańców, i kiedy siedzi się w szkole, duma rozpiera na wiadomość, że ze swoimi 2226,44 kilometrami kwadratowymi jest to największy powiat w Prusach.

Ale samo miasto może się oczywiście mierzyć z każdym innym. Czasami bywa nazywane „małym Paryżem", ale dlaczego małym? Później, w czasie wojny tablica na wagonie pociągu urlopowego głosić będzie: „Stolp–Paris". Co przeważyłoby na szali tego zestawienia?

Bahnhofstrasse, teraz, w 1938 roku — Hitlerstrasse, powinna być nazwana aleją. Bo między dwoma pasmami jezdni biegnie zielony pas z drzewami; można przechadzać się w ich cieniu. I do tego są tu prawdziwe tramwaje.

Szybko więc dojeżdża się do Bismarckplatz. Właściwie jest to mały park z fontanną; ławki, kwiaty, krzewy i drzewa. Po jednej stronie stoi dom dentysty, doktora Salomona. Tutaj prostuje się zęby, zakłada klamry, „żeby się nie przeziębiły". Paskudna historia. Strach. Ale przecież matka i z tym się upora; udowadnia, że nie jest to zwyczajny dentysta. Bo już w Biblii można przeczytać, że Salomon był najmądrzejszym z królów. „Ale on był przecież bardzo bogaty!" „Oczywiście, zapytaj tylko doktora Salomona, wygrał on wielki los na loterii".

Po drugiej stronie prawdziwa zgroza: babcia, zwana „żelazną". Okropnie sztywna i strasznie stara, rocznik 1851. Mówi: „Chodź, moje dziecko, idziemy na zakupy". Trwa to całą godzinę: rozwijają materiały i sukno, pół sklepu stoi na głowie. Potem: „Chodź, dziecko, tutaj nie ma w ogóle nic porządnego". A spocony właściciel jeszcze nadskakuje: „Do widzenia, pani hrabino. Proszę znowu nas zaszczycić". Nie, już nigdy więcej. Dzięki Bogu, są to tylko rzadkie odwiedziny.

Tramwaj skręca w prawo: Kaufmannswall, po lewej Café Reinhardt z salą dancingową, miejsce spotkań miejscowej elegancji. Przed nami Stephansplatz, wielki i pusty, właściwie o wiele za duży; nazwany tak na cześć Heinricha von Stephana, syna miasta, organizatora nowoczesnej poczty, wynalazcy kartki pocztowej i twórcy Powszechnego Związku Pocztowego. Rzecz jasna, interes przede wszystkim, a Stephan od dawna nie żyje. Dlatego nie on widnieje na stemplu pocztowym, lecz „Stolper Jungchen". A jest to ser, camembert; w 1928 roku wyprodukowano 4.427.544 sztuki.

Po jednej stronie placu dom handlowy Zeecka, cztery piętra, a także prawdziwa winda, którą można wznieść się w górę i zjechać w dół, przy śpiewnym wołaniu windziarza: „Pościel, odzież damska i męska, trykoty...". Naprzeciw — ratusz, na wpół gotycki, na wpół renesansowy, rocznik 1900. Kiedy wprowadzono się doń, stary, w istocie bardzo skromny, został natychmiast zburzony.

A jednak: plac nadaje się na przemarsze i parady, a mając znajomości w ratuszu, można je stamtąd doskonale oglądać. Na przykład 14 sierpnia 1936 roku 5 Pułk Kawalerii, niestety pieszo, przemaszerował przed feldmarszałkiem von Mackensen. On sam, w swoim starym mundurze huzarów, został uroczyście mianowany szefem, honorowym dowódcą regimentu pielęgnującego tradycje huzarów Bellinga i Blüchera.

Wreszcie — mając po jednej stronie Reinhardta, po drugiej Zeecka — przejeżdżamy spiesznie przez starą bramę miejską, nazwaną Nową Bramą, gdzie mieści się Muzeum Ziemi Ojczystej, cel wycieczek szkolnych, i wjeżdżamy w Neutorstrasse. Sklep przy sklepie, a w domu pod numerem 25, po prawej, znajduje się sklep papierniczy Steinbacha. Ale poza artykułami papierniczymi są tu też zabawki, i gwoli upamiętnienia — Mackensen jak żywy, od stóp do głów, wysoki na siedem centymetrów. W tym samym formacie można też dostać mężczyznę w brunatnej koszuli, z ruchomą prawą ręką, która się podnosi: „Heil!". Niestety, nie funkcjonuje to zbyt długo, jakiś ukryty defekt; ręka odpada; nie można jej przymocować nawet unieruchomionej. Führer bez ręki i bez „Heil!", to przecież nie przystoi. Dlatego też wkrótce zostanie wycofany z obiegu.

W samym sercu starego miasta wszystko stoi ciasno obok siebie. Tylko kilka kroków do kościoła Mariackiego. Spoczywa tutaj twórca tradycji jeździeckich Słupska, Wilhelm Sebastian von Belling, generał huzarów Fryderyka Wielkiego.

W 1763 roku, po zakończeniu wojny siedmioletniej, przeniósł się tutaj; człowiek pobożny, nauczył swoich ludzi katechizmu i czytania — z uwagi na Biblię. Kupił majątek Schojow, szybko jednakże skonfrontowany został z biedą tego regionu. Dlatego też podczas wieczornych nabożeństw podobno tak oto kończył modlitwę: „Widzisz, Ojcze w niebie, jak ponure są warunki życia Twego sługi Bellinga, ześlij mu więc łagodną wojnę, żeby mógł się poprawić i dalej chwalić imię Twoje. Amen". Ale pan Bóg chyba nie dosłyszał — wtedy.

Jego następcę odnajdzie się natomiast kilka kroków dalej, w charakterze pomnika na placu targowym: jest to Blücher. Generał „Naprzód", stary bohater wojen wyzwoleńczych. Blücher i Wellington, Prusacy i Brytyjczycy, Waterloo czy Belle-Alliance — to wszystko stare dzieje. A Blüchera, jako młodego chłopaka, szwedzkiego chorążego, złapali własnoręcznie huzarzy Bellinga, zrobili z niego swojego chorążego, a potem szefa.

Przy targowisku stoi także najważniejszy dom na placu: Hotel Munda. Najpierw długi korytarz, na końcu widać lodenowe płaszcze i niewyobrażalnie stare kapelusze. Tak więc idziemy na prawo, do wyłożonego boazerią przybytku, do którego byle kto nie ma wstępu: gabinet dla panów w podwójnym sensie zasługuje na to miano. Tutaj bowiem spotykają się prawdziwi panowie z landu, a w każdym razie ci z majątków: Puttkamer i Zitzewitz, Below, Bandemer, Boehn, Bonin, teraz zatopieni w rozmowie. Szpilki do krawatów z jelenim grandlem — kłem króla lasów. Panowie rozmawiają o wszystkim, wokół czego obraca się ich życie: o rogaczach i podjezdkach, o żniwach i cenach kartofli. I oczywiście o tych, których właśnie nie ma. Pewnego razu dochodzi niemal do awantury: jeden z panów nagryza sarnią pieczeń i trafia na śrut. Śrut! Sarny, zgodnie z prawem myśliwskim, strzela się tylko kulą, ta więc musiała paść od strzelby kłusownika. Skąd wzięła się, u diabła? Właściciel lokalu, Carl Dunkel spieszy na miejsce, gdzie musi wykazać się nie tylko sporą dozą dyplomacji, ale i najlepszą butelką rotsponu, by uspokoić wzburzone umysły.

O, czcigodny Słupsku, w jakie jeszcze miejsca powinniśmy koniecznie zajść, gdzie jeszcze spotkać się z tobą? Przy starym zamku, przy kościele zamkowym, w rozarium, w Waldkater i Waldkatze, dokąd zdążały wycieczki. Albo u pani doktor Heckler i profesora Creite, zwanego z pełnym respektu dreszczem grozy „rzeźnikiem Pomorza", chociaż — chłopak może to potwierdzić — równie dobrze znał się na tamowaniu krwi.

Nie możemy też pominąć kąpieliska Wiesenbad, gdzie

mistrzyni pływacka Josefine Schnabel uczy wszystkich chętnych wyższej sztuki pływania. Tak naprawdę bowiem Pomorzanin unika wody, której ma pod dostatkiem — jakby to była woda święcona, a w niego wcielił się diabeł. Może podświadomie — żeby nie zamykać przed sobą staroświeckiej możliwości samobójstwa — rzucić się do wody. W każdym razie statystyki szkolne mówią, że tylko od pięciu do dziesięciu procent młodych Pomorzan objętych badaniem uczy się pływać.

Oczywiście musielibyśmy pójść nad Słupię, nad tę cichą rzekę, która potrafi rozszaleć się tak groźnie, kiedy śniegi topnieją, zanim jeszcze popęka lód. A znad rzeki droga w górę prowadzi do koszar. Ale to może poczekać, to ma czas, którego nam teraz już niewiele zostało.

Tam, gdzie wszystko się zaczyna

Najwyższy czas! Trzy wagony silnikowej kolejki — na normalnych ma się rozumieć, torach — są podoczepiane do siebie; odjazd — punkt dwudziesta. Potrzebne będą jeszcze 54 minuty, by przejechać 30,8 km.

Schmaatz[26] - Schwuchow[27] - Karzin[28]. Karzin! Tu mieszka babcia, ta druga, ze strony matki, która jest tak wspaniale do wszystkiego zdolna — czy to do pisania celnych, żartobliwych wierszyków, czy też do tego, by ona, siedemdziesięcioletnia, zaprezentowała swojemu potykającemu się wnukowi elegancję jazdy na łyżwach. „Frau Liebe" — „Pani Miłość" — tak nazywają ją wszyscy. I taka ona jest. (...)

Gabel czyli widły; to tylko dworzec, zwany tak z racji rozwidlających się tutaj torów: wagony zostają rozczepione — jeden jedzie do Stolpmünde, drugi do Schmolsin[29], a trzeci, ten najważniejszy, do Dargeröse[30], dwudziesta dwadzieścia siedem.

Dominke[31], Vogelsang[32], Sorchow[33]; z wąwozu wygląda już

26. Siemianice.
27. Swochowo.
28. Karzcino.
29. Smołdzino.
30. Dargoleza.
31. Dominek.
32. Miłostowo.
33. Żoruchowo.

do nas wąska wstążka Łupawy. Dalej — Wendisch-Silkow. Nie, tak nie nazywa się teraz ta miejscowość, lecz ni stąd ni zowąd Schwerinshöhe[34]. Co przeszkadzało w łużyckości, z której przecież się wywodzimy? Co przeszkadzało w końcówce -ow? Jest w tym coś obcego i groźnego, w tym rabowaniu i zakłamywaniu. W tym prostackim impecie pobrzmiewa panika. Ktoś wpadł w szaleństwo wymazywania, nie tylko tutaj.

Jeżeli to jest szaleństwo, to przynajmniej nie ma w nim metody. Następne stacje konduktor ciągle jeszcze wywołuje jako Neu-Gutzmerow[35] i Bandsechow[36]. Zmierzcha już, i ten ciemniejący las, w którym zaraz się zanurzymy, nazywa się Wossek.

Tak jest, takie są te nazwy tutaj, Bóg raczy wiedzieć, skąd się wzięły i od kiedy istnieją. Revekol[37] nazywa się legendarna góra między Schmolsin i jeziorem Gardno. A nasze lasy to: Lechow, Dombrow, Birk, Iserge, Kaschnowz, Bojenk. Nazwy, które nadajemy przyrodzie, określają jej kształt i charakter; razem z nimi powracają one w nasze serca.

Jeszcze jeden wąwóz, jeszcze raz nabrać tchu. Po prawej mijamy teraz Fohlenkoppel, po lewej Gorkenberg. Przed nami park. Rumbske[38]. Rumbske, powiat Stolp na Pomorzu. Nie jest to stacja końcowa, lecz punkt wyjścia długiej podróży. Tutaj urodziłem się, tutaj jestem u siebie w domu. Tutaj wszystko się zaczyna. Również ta książka.

Christian Graf von KROCKOW
Tłumaczyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy

Christian Graf von Krockow, „Die Reise nach Pommern. Bericht aus einem verschwiegenen Land" (Podróż na Pomorze. Relacja z przemilczanej krainy), Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 1985.

34. Żelkowo.
35. Choćmirówko.
36. Będziechowo.
37. Rowokół.
38. Rumsko.

Anna z pałacu

Psów nie słychać. Tylko wiatr poświstuje z cicha. Odwieczny, wschodni wiatr — dmie, szumi w drzewach, krzakach, w zbożu na polu, a jesienią zwiewa dym z kartoflisk na zachód.

W przeciwieństwie do wypielęgnowanego dawnego domu dla ludzi z majątku, pałac wydaje się zaniedbany, nie ma kwiatów przy wejściu ani światła. Nie można nawet znaleźć dzwonka u drzwi. Annę nachodzi ochota, by zrobić coś, co postawiłoby na nogi tych Polaczków, siedzących w czterech ścianach jej rodzinnego domu. W końcu zapowiedziała swój przyjazd, może przedstawić papiery, i potwierdzono jej zakwaterowanie w Ujeździe. Zniecierpliwiona dociera do nie znanego jej tylnego wyjścia. Kiedyś była tu weranda, na której latem pod wielką markizą cała rodzina jadała śniadania. Wyburzono, zniknęła, pozostał tylko gazon na kwiaty przy schodach.

Halo! Potyka się o sprzęty z placu zabaw, klnie i zastanawia się, jak zwrócić na siebie uwagę. Jej „halo" wywołuje znowu poruszenie wśród psów. Wściekłe ujadanie, na które odpowiadają nawet wiejskie kundle, sprawia także, że otwierają się drzwi. Wychodzi pani Pawlakowa.

Nie, nie kobieta w fartuchu i chustce na głowie czy też mężczyzna w robionej na drutach kamizelce lub wypłowiałej, lnianej kurtce, jakie zwykli nosić zarządcy majątków. Nie, to jest dama, która władczym krokiem schodzi po schodach. W lodenowej narzutce; tylko jedną rękę ma wolną i nie wyciąga jej bynajmniej w stronę Anny, ściska w niej wyrzniętą z kości słoniowej gałkę laski.

Ja jestem główną księgową w Ujeździe — przedstawia się i ciągnie: późno pani przyjechała. Dlaczego nie wspomniała pani o swoim zamiarze mieszkania w Ujeździe podczas swego ostatniego pobytu? Dyrektora Banasia chwilowo nie ma.

W żadnym razie nie brzmi to zachęcająco. Przez kilka sekund obie kobiety spoglądają na siebie, sczepione spojrzeniami, jakby usiłowały odnaleźć w sobie coś znajomego. Ale nie Anna. Nie zna tej kobiety o surowej twarzy i wyszminkowanych na czerwono ustach. Cygarniczka tkwiąca w kąciku ust jak zawadiacka chorągiewka z drżącą smugą dymu, robi

na Annie groteskowe wrażenie. Nie wiem, co pani ma na myśli — mówi i wyciąga z torebki zwitek papierów.

Przecież była tu pani dwa tygodnie temu?

Trzydzieści lat temu — sucho odpowiada Anna i nie pozostaje jej nic innego, jak dać się oświetlić latarką przez tę obcą kobietę. Pani Pawlakowa rozpoznaje teraz Annę z pałacu po jej niedbałych ruchach. Dzisiaj nie ma już na sobie spodni do jazdy konno, zamiast nich dżinsy i wytartą skórzaną kurtkę. Nie można nie rozpoznać tej twarzy, która wcale nie była ładna, ale podobała się mężczyznom. To pani Pawlakowa jeszcze pamięta. Pamięta też, że ona sama musiała sprawiać na Annie takie samo wrażenie, jak inne Polki: niepozorne, milczące, jedna podobna do drugiej, bez różnicy, w chustce na głowie i biednych sukienkach, ze spuszczonym wzrokiem, ani stare, ani młode.

Pani siostra była tu przed dwoma tygodniami — mówi pani Pawlakowa. Sądziliśmy, że to ona chce napisać coś o Ujeździe.

Przykro mi — uśmiecha się Anna — ale mam nadzieję, że papiery panią przekonają.

Pani Pawlakowa nie reaguje na Annę. Brak sympatii na jej twarzy. Wiatr wydyma lodenową narzutkę i nawiewa Annie prosto w nos ciężkiego dymu papierosowego. Ona zachowuje się tak, jakby to do niej należał dom, majątek i wieś, myśli Anna.

Czy będę tu mieszkać?

Kobieta przesuwa się tak, jakby Anna stała jej na drodze. Nie dotykając jej, stawia parę zamaszystych kroków postukując przy tym laską i sprawia, że Anna wycofuje się — dzięki temu nie pozostawia żadnych wątpliwości, kto tutaj ma coś do powiedzenia.

Przy bramie na podwórze podnosi delikatną dłoń i woła: Stróż! Tak właśnie, nie woła „panie Fratczak", bo tak nazywa się stróż nocny kombinatu rolniczego w Ujeździe, woła „stróż". Pewnie, władczo i skutecznie.

Mężczyzna zbliża się kuśtykając. Także i on chodzi o lasce — popękanym, usmolonym kiju, który gdzieś kiedyś znalazł i wystrugał do własnego użytku.

Proszę pokazać pani jej pokój!

Pan Fratczak usiłuje stanąć na baczność. Prostuje swoje zgarbione plecy i podnosi dłoń do daszka czapki, gdy tymczasem pani Pawlakowa odwraca się i wspina po kamiennych schodach, tak jakby ciągle jeszcze były to schody wiodące do pałacu w Rohrdorf.

Pan Fratczak, który po niemiecku mówi tak jak po polsku, szepcze za nią bez szacunku, chichocząc radośnie:

No, to ci wariatka!

Słucham?

Pan Fratczak mruga porozumiewawczo i stuka się w czoło. Mówię pani, to jest wariatka. Ona myśli, że jest Bóg wie kto!

Niech sobie będzie wariatka, myśli Anna, czuje już tylko zmęczenie i marzy o śnie, łóżku i valium — uciec od wszystkich wspomnień.

Chociaż do miejsca jej noclegu jest zaledwie dwieście metrów, pan Fratczak nie daje sobie odebrać przyjemności jazdy samochodem. Rozsiada się wygodnie. Zapach stajni, noszonej dzień w dzień odzieży, potu i taniego tytoniu jest dla Anny równie znany, jak i niezwykły. Otwiera okno samochodu.

Ta sama czerwona cegła dawnego domu zarządcy.

Na dole, wyjaśnia pan Fratczak, mieszka zastępca dyrektora kombinatu. Na górze urządzono pokój dla Anny. Właśnie on, razem z magazynierem Jodko, wstawiał tam meble, na polecenie pani głównej księgowej.

Anna cieszy się, że będzie mogła mieszkać z widokiem na dziedziniec. Już brzmią jej w uszach poranne odgłosy rozpoczynającej się pracy. Stukanie końskich kopyt, czasem traktor, turkot maszyn rolniczych, metalowych kół na kocich łbach, przekleństwa, trzaskanie biczów, śmiech kobiet wsiadających na wóz, który ma je zawieźć do pracy w polu.

Pan Fratczak taszczy po ciemnych schodach walizki Anny. Pierwszy pokój po prawej.

Podoba się pani? — pyta z oczekiwaniem w głosie i dotyka ostrożnie ubogich sprzętów. Wszystko nowe!

Wyposażenie pokoju hotelowego w najtańszym gatunku. Łóżko, szafa, stół, dwa krzesła, pod sufitem żarówka. Przy drzwiach taboret z plastikową miską i wiadro do mycia. Ani jednego obrazu na pomalowanych ścianach, nie ma nocnej lampki, niczego, co czyniłoby pokój odrobinę przytulniejszym.

Tak — mówi Anna zduszonym głosem. Jej wzrok błądzi po esach-floresach na ścianie, które udają wzorek na tapecie.

Tutaj ma wytrzymać trzy miesiące? W tym pokoju, gdzie dawniej odizolowana przechodziła zakaźne choroby — szkarlatynę, koklusz czy odrę? Anna nie rusza się z miejsca, wpatruje w ściany. Kiedyś w tym pokoju stało szerokie

mahoniowe łóżko, biurko z nieskończoną ilością przegródek i łagodnie wygiętym, żaluzjowym zamknięciem. Ciemnoczerwona kanapa, tak niewygodna, że nie można było na niej z przyjemnością siedzieć, ani leżeć, odziedziczona po ciotce Helenie. Na ścianie, pokrytej zieloną tapetą wisiał jej portret. Rano, po przebudzeniu napotykało się pełne wyrzutu spojrzenie jej melancholijnych, szarych oczu zza ozdobnych złotych ram. (...)

Pan Fratczak wnosi wiadro z wodą. Jest ona brunatna i — jak mówi — nie nadaje się do picia. Wodociągi są stare i przeżarte przez rdzę. Potem uprzejmie życzy jej dobrej nocy i odchodzi ciągnąc za sobą zapach stajni.

(...)

Dzień dobry!

Kobieta odpowiada. Ma płaską twarz, bez wyrazu, jak na wyretuszowanej fotografii, nie uszminkowaną, bezbarwną. Smutne usta. Skóra bez zmarszczek w swojej nieruchomości wydaje się jakby spięta pod włosami. Tylko oczy są trzeźwe i bystre.

Nazywam się Zofia Janikowa — mówi kobieta głosem tak samo pozbawionym wyrazu jak jej twarz.

Pani Janikowa? Annę ogarnia nieopisane przerażenie, które przygważdża ją do schodów. W głowie tylko jedna myśl — Ludwik Janik.

Kobieta odchodzi, czego Anna nie zauważa. Nagle zniknęła, tak jakby przyszła tylko po to, by Annie powiedzieć, jak się nazywa. Zofia Janikowa!

Ludwik Janik — Ludwik — Polak, na robotach przymusowych. Ludwik, mężczyzna, z którym Anna sypiała, gdzie mogła i jak mogła: w zbożu, w lesie, w komorze z paszą, za szopą na polu, ale nigdy w łóżku. Ciało Ludwika, które Anna ujrzała nagie po raz pierwszy w jakiejś kopie liści, spragniona przyglądać mu się i dotykać je wszędzie, aż Ludwik nie mógł tego wytrzymać. Wczepieni w siebie, krzyczeli — Anna z bólu, Ludwik z rozkoszy. Listowie między ich ciałami, pachnąca zgnilizną leśna ziemia za paznokciami. Ludwik, który umiał przeistoczyć dziewczyńską żądzę Anny i wiejską sprośność w czułość, którą Anna nazwała potem miłością. Ludwik, ojciec jej córki Very!

Dzień dobry pani.

Przed Anną stoi Jolka ze skakanką w ręce i dziwi się, że „ta Niemka" nie patrzy ani na prawo, ani na lewo, i sprawia wrażenie, jakby się czegoś bała. I ponieważ Jolce nie przychodzi do głowy nic innego, od czego mogłaby rozpo-

cząć rozmowę, powtarza raz jeszcze „dzień dobry", tym razem dygając.

Anna wraca z przeszłości. Janik to polskie nazwisko, takie jak niemieckie Hinz czy Kunz. Nie wiadomo, gdzie dzisiaj Ludwik Janik mieszka, nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze żyje.

Któż ty jesteś? — pyta Anna, zadowolona, że nie musi już myśleć o Ludwiku Janiku.

Jestem córką magazyniera Jodko. Mam na imię Jolka i mieszkam tam, w pałacu.

Zmieszana skubie spódniczkę i już ma na końcu języka pytanie, ale nie wie, jak je postawić, żeby „ta Niemka" nie dała jej odpowiedzi, jakiej zawsze obawia się od babci, dziadka albo mamy — nie gadaj głupstw! Jolka bierze do ust swój marchewkowy koński ogon, przygryza go, przygryza.

Czy to prawda — pyta wreszcie — czy to prawda, że dawniej to wszystko należało do pani?

Nie do mnie — mówi Anna i kuca obok Jolki na schodach — to należało do mojego ojca.

Na Jolce robi to wrażenie. Tak całkiem nie umie sobie tego wyobrazić, ale coś musi w tym być, bo inaczej ojciec nie rozmawiałby tak długo na ten temat z Fratczakiem.

Mam pani pokazać, jak teraz wygląda w pałacu?

Propozycja ta podoba się Annie.

A — pyta Jolka cicho — opowie mi pani potem, jak to wtedy było?

Jeśli chcesz.

Pani Pawlakowa i pani Janikowa, które patrzą przez okno, widzą zdumione, jak Anna i Jolka trzymając się za ręce idą w stronę pałacu. Dla Jolki pałac, w którym mieszka, jest, tak samo jak kiedyś dla Anny, jej domem.

Tu — mówi Jolka i prowadzi Annę przez portal do holu ze schodami, bez dywanów — tu jeszcze w ubiegłym roku było ciemno i brudno. Teraz wszystko jest ładnie pomalowane, drzwi też, prawda?

Anna kiwa głową i nic nie mówi o klasycystycznych, wysokich prawie na dwa metry szafach, o skrzyniach zdobionych intarsją, tak wielkich, że pomieściłyby wołu, które zapełniało się na wiosnę zimowymi futrami, pledami, futrzanymi ocieplaczami na nogi i płaszczami myśliwskimi, by uchronić je przed molami, a jesienią opróżniało znowu, czemu towarzyszył nieodłączny, wiszący w powietrzu wiele dni, zapach naftaliny. Zapowiedź chłodów, śniegu, Bożego Narodzenia.

Tutaj — mówi Jolka i z gracją otwiera dwuskrzydłowe drzwi do salonu — tutaj jest nasza kawiarnia. Krzesła, stoliki, w kącie barek kawowy. Anna zwraca uwagę, że Jolka, tak jak nocny stróż, mówi „nasza kawiarnia", a nie na przykład „tu jest kawiarnia".

I znowu Anna nie mówi, co było tu kiedyś. Nie wspomina na przykład o wielkim jak parasol przeciwsłoneczny kryształowym żyrandolu z setek połyskujących szklanych kropli, szklanych pereł i kulek, na którego zewnętrznym skraju mieściło się około sześćdziesięciu świec. Anna nie mówi też o barwnie pomalowanych barokowych amorkach, które, uśmiechając się drewniano, podtrzymywały tłustymi, dziecinnymi rączkami płytę stołu; stały na nim owalne renesansowe patery, których Annie, kiedy była dzieckiem, nie wolno było dotykać. Ani słowa o sześciu przodkach spoglądających ze złotych ram, wiszących półksiężycem ponad szafką z lustrem, w której matka Anny przechowywała gramofon. Jolka wskazuje na stoliki:

Tutaj co wieczór coś się dzieje. Miło tu, prawda?

Tak.

A kiedyś?

Było tu coś w rodzaju eleganckiego pokoju, wiesz? Takiego, w którym jedynie od czasu do czasu coś się działo.

Jolka jest rozczarowana. Wyobrażała sobie coś więcej i nie wierzy „tej Niemce".

Ale babcia opowiada, że tutaj leżały dywany grube jak placek z kruszonką i wszystko było malowane złotem.

No i co z tego? Niektóre rzeczy były złocone, ale nie wszystko. Jolka skubie spódniczkę, a marchewkowy koński ogon trafia znowu między zęby. Jej głos staje się niechętny. Tutaj gra się w bilard, widzi pani? Mój tata gra bardzo dobrze w bilard. Czy pani też umie grać w bilard?

Nie, nie umiem. Zresztą tutaj nie sprawiałoby mi to przyjemności.

Dlaczego?

Bo to był pokój mojej matki. Teraz Anna opisuje tapetę, fotel pokryty gobelinem wyszywanym przez ciotkę Helenę, obramowany wachlarz królowej Luizy, szafę zegarową; za jej zamkniętymi drzwiczkami stały książki, których nie wolno jej było wziąć do rąk. Witryna ze szklanymi drzwiczkami, wygiętymi jak żagiel, w której było wiele skarbów. Ordery, porcelanowe filiżaneczki, podarunki pradziadków dla prababek, puzderka na tabakę i pastylki, zegarki kieszonkowe, a jako szczególna atrakcja — list od Katarzyny Wielkiej.

Jolka jest zadowolona. To są opowieści, na jakie liczyła.

A tutaj — mówi i wchodzi do dawnego gabinetu, w którym Anna jako dziecko nie miała czego szukać — tu jest nasza świetlica telewizyjna.

Przed dziesięcioma, może dwunastoma rzędami pustych krzeseł, na podwyższeniu, stoi telewizor, z szarym ekranem, bez obrazu, jedyna ozdoba pomieszczenia. Jolka spogląda na Annę: I co?

Gabinet mojego ojca — mówi i przemilcza wielkie chińskie biurko, na którym rzadko leżały jakieś papiery, a za którym ojciec Anny sprawiał wrażenie zagubionego, jakby nie miał co robić. Podwójna sofa z niezliczoną ilością wyhaftowanych przez babcię poduszek, na których popołudniami ojciec ucinał sobie kilkusekundową drzemkę z pękiem kluczy w ręce — gdy zasypiał, klucze wypadały, a ich brzęk stawiał go na równe nogi. Nie opowiada też o ciemnoczerwonej tapecie, ciężkim dębowym stole i równie ciężkich, skórzanych fotelach; ojciec Anny rzadko proponował komuś, by zajął w nich miejsce. Kiedy przychodzili zarządca, koniuszy, leśniczy, wójt czy gorzelniany, stawali z czapką za plecami przy drzwiach, nie ruszali się z miejsca ani nie kołysali, informowali, dostawali polecenia, co najwyżej przestępując z nogi na nogę.

Nie, tego wszystkiego Anna nie opowiada.

A sala — pyta Jolka — co działo się w sali?

Przyjęcia — odpowiada Anna — wielkie przyjęcia, damy w długich sukniach, biżuteria, piękne fryzury, panowie we frakach, sześćdziesiąt osób siedziało przy stole, jadło i piło.

Jak na weselu?

Tak, mniej więcej, tyle że goście nie podawali sobie sami naczyń z jedzeniem, ale kilkunastu służących podsuwało półmiski i napełniało kieliszki.

Jolka jest pełna respektu. Aż tylu służących na jednym przyjęciu?

Niektórzy goście przywozili ze sobą swoich służących do pomocy.

Jezus Maria! — dziwi się Jolka i przykrywa dłonią usta — tylko do podawania półmisków?

I nalewania — uśmiecha się Anna.

Kiedy już obejrzały wszystkie pomieszczenia na parterze, Jolka dopytuje się, co jeszcze Anna chciałaby zobaczyć.

Wieżę, z przyjemnością obejrzałabym wieżę!

Jolka jest rozczarowana. Wolałaby raczej pokazać „tej Niemce" mieszkanie rodziców, nowe meble, pianino, które kupił dla niej ojciec, i szafę z kryształami.

Ale Anna chce na wieżę, nie ma rady. Pozostał jedyny argument: wieża jest zamknięta!

Anna znowu kuca przed Jolką, podnosi jej wysoko głowę i mówi:

Ukradnij klucz!

Ja? Jolka przełyka ślinę, ukraść?

Czemu nie?

Kiedy „ta Niemka" tak mruży oczy, wygląda to, jakby chciała powiedzieć: albo zdobędziesz klucz od wieży, albo koniec z naszą przyjaźnią.

Jolka pędzi, końcówek włosów nie trzyma w zębach, nie podskakuje z nogi na nogę, a już w ogóle nie myśli o tym, że jeszcze nigdy nie otwierała drzwi zamkniętych kluczami ojca.

Anna patrzy, jak Jolka biegnie korytarzem obok dawnych pokoi dziecinnych i gościnnych na pierwszym piętrze, w których dzisiaj są mieszkania pani Pawlakowej i rodziny Jodków, przychodnia lekarska i dentystyczna. Tylko korytarz się nie zmienił. Widząc, jak Jolka biegnie, przyspiesza, a na końcu korytarza hamuje nagłym skrętem tylnej części ciała, gdy tymczasem buty ślizgają się w poprzek parkietu, tak, że zatrzymuje się dokładnie przed drzwiami Jodków — Anna patrzy na siebie samą. Ona także będąc dzieckiem tak ślizgała się po tym korytarzu.

Jolka ostrożnie otwiera drzwi. Porusza się jak kot, niemal nie oddycha, chociaż nikogo nie ma w domu. W kuchni ponad włącznikiem światła wisi klucz od wieży. Duży, rzadko używany, zardzewiały. Nieprzyjemnie wziąć do ręki.

Anna otwiera drzwi nie bez trudu. A potem — co za zaduch — martwota — kurz — woń zdechłych myszy. Tutaj nie miałyby już nawet co żreć. Szara pustka pod belkami podziurawionymi przez korniki. Na parapetach stada zdechłych much.

A czego pani tutaj szuka? — szepcze Jolka w nadziei, że w tej dusznej wieży, na skrzypiących schodach usłyszy jakąś pasjonującą opowieść.

Anna nic nie mówi. Wznoszący się kurz kręci w nosie.

Jolka mówi uprzejmie „na zdrowie". Z obawą podtrzymuje swoją spódniczkę, żeby się nie pobrudziła. Na schodach zostają ślady butów, stopień po stopniu.

Moja prababcia — mówi Anna — kazała raz w tygodniu szorować całą wieżę.

Bo mieszkała tu, na górze?

Oczywiście, że nie! Miała bzika i była zjadliwa jak pur-

chawka, tak opowiadają starzy ludzie ze wsi. Byłaś już kiedyś tu, na górze?

Jolka zaprzecza.

Nigdy nie chciałaś tu wejść?

Nie! Z uprzejmości nie mówi, że ta cała wieża z chwiejącymi się schodami, kruszącą zaprawą i małymi okienkami wydaje się jej beznadziejnie nudna.

Anna jest ciągle o dwa stopnie wyżej niż Jolka. Ja bywałam tu prawie co tydzień — mówi.

Dlaczego?

Powiem ci na górze.

Mały czworokąt, dookoła okna, otoczone balustradką upstrzoną gołębim łajnem. Drewniane deski, szare i popękane, w środku filar.

Anna otwiera okna. Gołębie odlatują z furkotem. Powstaje okropny hałas. Jolka zaniepokojona spogląda na podwórze, czy też ojcu nie podpadnie ta niezwyczajna ucieczka gołębi z wieży pałacowej.

Jolka — mówi Anna — powiedz, co stąd widzisz!

Co też mam widzieć! Jolka uważa „tę Niemkę" za wariatkę. Widzę to samo, co pani — mówi przekornie.

Opowiedz mi!

Anna stoi oparta plecami o filar, dokładnie w tym miejscu, skąd najmniej widać.

Zacznij stamtąd!

Jolka ponuro wylicza wszystkie rzeczy, które widzi: domy, drzewa, drogę, staw, łąkę Lenarta i jego szkapę...

Nie, nie tak — przerywa Anna. Nie tak masz opisywać.

No to jak, proszę pani? Tak naprawdę, to nie chce mi się.

Zacznij od tego miejsca, gdzie niebo dotyka ziemi.

Nie ma czegoś takiego.

Ale przyznasz, że tak to wygląda, prawda?

Jolka zastanawia się długo. Konary drzew w parku, na południe od wieży, nie są godne uwagi. Platany, dęby, buki i lipy. Odwraca się na zachód: jak kawałek tortu w środku piaskowej babki, tak to wygląda.

Śmiesznie, naprawdę śmiesznie to wygląda.

Co?

Wieś. Jest trójkątna, a na czubku stoi w poprzek pojedynczy dom.

Gospoda Hoffmanna!

Nie, budynek zarządu lasów państwowych w Ujeździe. Jak popatrzeć dalej na prawo, wszystko jest takie płaskie jak talerz, na którym pola leżą jak pokrojone plasterki. Plasterek pola ziemniaczanego, plasterek żyta, lucerny, jęczmienia, pszenicy, a brzoskwinie Perki to ozdoba.

Teraz Jolce podoba się.

Na krawędzi stoi las, ściana lasu. Ale ona jest bardzo daleko, wygląda jak murek, który wszystko osłania. Oczywiście, to nieprawda.

Nieprawda?

Las to nie murek, bo można przez niego przebiegnąć.

Jolka przyciąga Annę do okna. A pani — pyta — co pani widzi?

To samo co ty.

A kiedyś wyglądało inaczej?

Nie, tak samo. Tylko ja widziałam to inaczej.

Znowu Jolka uważa tę panią za dziwaczkę.

Kiedy miałam tyle lat co ty — zaczyna Anna — usłyszałam kiedyś, jak moi rodzice mówili, że Ujazd będzie kiedyś należał do mnie. Uważali, że ja bardziej pasuję do życia na wsi niż moja siostra. Od tamtego czasu zakradałam się coraz częściej tu, na górę. Kiedyś skakałam dookoła i krzyczałam głośno: wszystko, co widzę, kiedyś będzie moje, tylko moje! Pola, stajnie, konie, krowy, świnie, las!

No i co? — pyta Jolka z szeroko rozwartymi oczami.

Nigdy do mnie nie należało i nie będzie należeć.

Smutno pani z tego powodu?

Nie, nie jest mi smutno.

Jolka jest u granic cierpliwości.

Niech pani nie opowiada głupstw — mówi i z pogardą wzrusza małymi ramionami — taki wielki pałac, tyle pól, las i zwierzęta, to wszystko nie należy do pani, a pani nie jest smutno?

Gdybym chciała odzyskać to wszystko, to ty nie mogłabyś już tu mieszkać!

Dlaczego nie?

Bo ja mieszkałabym tutaj. Byłby to przecież mój pałac, prawda?

Dla Jolki rozmowa ta staje się coraz bardziej nieprzyjemna. Gdzieś tam w myślach czai się strach. Przychodzą jej do głowy strzępy rozmów babci, dziadka, starego Perki i pana Lenarta. Strzępy, w których była mowa o tym, że nie można być pewnym przyszłości.

Muszę do domu — mówi nagle i zaczyna zbiegać po schodach.

Nie pędź tak! Anna przechyla się przez poręcz. Nie

wysłuchałaś mnie do końca.

Ale ja nie chcę!

Musisz, bo inaczej nie zrozumiesz tego, co powiedziałam na wieży.

Zgoda. Jolka czeka i obserwuje, jak Anna stara się przy schodzeniu stawiać stopy na tych samych śladach, jakie zrobiła wchodząc na górę.

Wiesz — mówi Anna — ja mieszkam w Niemczech, tam też są ludzie, których kocham, mieszkają tam, rozumiesz?

To Jolka rozumie, i przychodzi jej na myśl, że pewnie Anna czuje się tutaj samotna.

Leonie OSSOWSKI
Tłumaczyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy

Leonie Ossowski, „Weichselkirschen" (Wiśnie). Piper Verlag, München 1976.

Café Europa

(fragment powieści)

Zachmurzone niebo nasycało chłodny dzień ziemistą barwą — warunki sprzyjały dokładnemu poznaniu tego obcego miasta. Z dworca, od wczoraj wieczór starego już znajomego, na zewnątrz, w poszukiwaniu księgarni — czy mają plan Wrocławia? Na ladzie sklepowej, w paru stertach, niemieckie gazety — pierwszy raz od jakże wielu tygodni — i nagły cios w pusty żołądek.

BERLIN! To właśnie obwieszczały i wbijały słupami czcionek w ciało — przyjrzał się dokładniej, gdyż dawno zapomniał był o terminie debaty: Bundestag przegłosował więc Berlin na stolicę. Żołądek! Skrzywił się z bólu, okręcił, nic więcej już nie chciał wiedzieć. Wiedział dość. Zatem znów oto jesteśmy jednym narodem, ze wszystkim, czego narodowi potrzeba, by się umocnił w sobie. Witaj, 19-te stulecie!

Zawrócił do sklepu, kupił plan Wrocławia, rzucił nań

okiem i spakował nie rozkładając — nie mógł się teraz zapuszczać w to obce miasto. Chcąc uspokoić wzburzone myśli i skręcający się żołądek, zawiesił, jak zwykle, gdy wyprowadzał ciało z podobnej zapaści, panowanie nad sobą, wyuczona motoryka nóg winna go ponieść dokądkolwiek, wszystko jedno dokąd, byle dalej stąd i dalej od siebie, tak długo, by wrażenia mogły się zagęścić i wreszcie znów stać uchwytne.

Nie potrzebował teraz żadnego określonego celu. Dość, że oni, Niemcy, znów jakiś mieli. Wyłączony z siebie niósł swój szok przez ulice, ustępował, gdyż je znał, wszelkim zachciankom: usamodzielniony chód. Gdy pustą, szeroką ulicą nadjechała z przeciwka ciężarówka, wstrząsana na wybojach po ostatnią śrubę, potwór grzechotu, brzęków oraz pisków, i gdy stanął nieruchomo w tej burzy zgiełku, ogarnięty przez pustynnie brązowy kurz, który wzniecał za sobą ciągnik, wtedy dopiero, z wściekłością, poczuł się znów winny. Jeszcze nie uprzątnięto resztek ich wczorajszych zabaw wojennych, a już pod barwnymi proporcami narobili sobie oskomy na naród oraz kapitał.

A jeśli one tak bardzo tego chcą, te rozkoszne dzieciaki...?

Tymczasem już kilkakroć naciskał klamkę drzwi kościelnych — nagły wyraz chęci, by gdziekolwiek wejść. I oto po trzeciej lub czwartej próbie drzwi ustąpiły. Rozległa przestrzeń, nie przeładowana dekoracjami, wznosiła się wysoko. Biało otynkowane sklepienie gotyku, tylko na kolumnach i profilach pozostawiono cegłę — wyraziście odcinał się jej ziemistoczerwony kolor. Również okna nie przykuwały uwagi — lśniące szkło. Wojna odarła z barw wszystko, zaś trwające do dziś ubytki odsłoniły cały niewinny urok, piękno skromności.

Takie jest więc to miasto, do którego przybyłeś, wyszeptał cicho w ławie kościelnej, odchylając, by spojrzeć w górę, głowę na kark. Wtedy nim zniszczenie wdarło się do wnętrza, wszystko na pewno było tu jeszcze kolorowe i pełne ozdób, a ludzie, jak to oni, pozbawieni skrupułów, zniszczyli upartą pracę pokoleń, we własnym upadku z kretesem zrujnowali ją i siebie. To była ta zabawa, w którą się ludzkość bawiła — może więc tak być powinno? I potem znów można pod lipami lub gdziekolwiek bądź śpiewać zaczepne hymny narodowe i odbierać parady na szczytnym granicie ojczyzny. A wystarczy tylko odrobina szacunku dla pracy boskiego snycerza lub kamieniarza przy głowicy kolumny, by nie utożsamiać się z żadną partią: nigdy i nigdzie.

Ta spartańska, surowa przestrzeń gotyckiego kościoła przywróciła mu jasność myśli. Teraz wreszcie mógł zjeść solidne śniadanie.

Następnie zaczął zwiedzać Wrocław jak każde inne obce miasto, wedle swych starych, niezawodnych reguł. (...)

Akacjowa aleja dobiegła końca. Ostatnia parcela po prawej ręce. To nie był opustoszały ogród. Dom. Nogi same go ku niemu poniosły. Stał tam oto jeszcze, ten dom, to był on, to był naprawdę on.

Poznał go od pierwszego spojrzenia, chociaż przecież nie wyróżniał się niczym specjalnym. Rozległy, jednopiętrowy budynek, bez żadnych upiększeń, zbudowany w skromnym, solidnym stylu lat dwudziestych. Nie imponujący, nie romantyczny — bardziej rzeczowej budowli nie można było pomyśleć. Szaro otynkowany, ani podupadły, ani szczególnie zadbany. Może tylko wjazd, wysoki, w wąskim łuku bramy, ozdobiony kamiennymi kulami, przyciągał wzrok.

Ten dom znał tylko z fotografii, z dużego zdjęcia, czarno-białego oczywiście, wyciąganego z kartonowego pudła — lata już mogły minąć od czasu, gdy je ostatnio widział. Jednak mocno zapadło mu w pamięć, dziecko bowiem wzrastało wraz z tą fotografią. Wciąż mu je pokazywano, to zdjęcie domu, jak go matka określała, z osiemnastoma pokojami — i przede wszystkim krążyło ono wtedy, gdy odwiedzali ich znajomi w nędznym, niewielkim, wynajętym mieszkaniu. Dla matki, wpatrującej się w ten milczący, szary skrawek papieru, to zdjęcie było nie tylko wspomnieniem dawnej świetności, niosło też nadzieję, że obecne biedy kiedyś przeminą i niebawem znów, już wkrótce, powrócą dla nich wszystkich stare, dobre czasy. Dzieci prawdopodobnie jednak przejęły od matki, raczej nieświadomie niż zamierzenie, troskę o utrwalanie pamięci. A zarazem ona sama czuła, i oczywiście nie przyjmowała tego do wiadomości, że ten obraz Osiemnastopokojowego Domu nie cieszył się akurat wielką sympatią trzech braci. Lecz mimo że skrycie tak bardzo się zeń wyśmiewali, przecież też trochę poruszał ich dumę, co w biedzie, w jakiej wyrastali, było im bardzo potrzebne.

To matczyne demonstrowanie potwierdzającej wspaniałą przeszłość fotografii trwało latami, aż wreszcie odważyli się otwarcie wyśmiewać jej spleen, co sprawiło, iż zdjęcie utraciło swą moc i zniknęło w jakiejś komodzie.

Lecz i tak dość głęboko zapadło w ich umysły, tak dalece, że teraz od razu, mimo wzruszających okoliczności,

rozpoznał dom, który zostawił za sobą jako parotygodniowe niemowlę.

Tym, co mu przeszkadzało, był wysoki kamienny mur otaczający ogród. Tylko stając na palcach, mógł tam zajrzeć. Zaś to, co tam ujrzał, było jak bajka: znów odnalazł wymarzony, zupełnie nie zmieniony, ogród swego dzieciństwa. Szybko wyszukał kupkę żwiru, kilka kamyków, by móc bez wysiłku patrzeć — tylko patrzeć. Wprawdzie swego czasu matka wetknęła w swój tobołek uciekinierki jedynie zdjęcie Osiemnastopokojowego Domu, lecz był to zarazem obraz całego życia jej małych synów, jego obu braci.

Z jakże wielką zazdrością, z jakim rozmarzeniem oglądało dziecko te obrazy! Znajdowali się tu jego bracia, w koszulach z falbankami i podkolanówkach z pomponami, to było poza dyskusją — siedzieli pod wielkim drzewem, na brzegu piaskownicy, pod wielkim, grubym drzewem, bawili się foremkami i śmiali szczęśliwie — jakżeby inaczej? Lub wspólnymi siłami unosili dużą konewkę i podlewali kwiatowe rabaty — znów w cieniu wielkich, grubych drzew. Oto jeden z braci: głaszczący przed budą foksteriera Strolcha — z tym niewymownie radosnym uśmiechem, jakiego u żadnego z nich obu później nigdy więcej nie był w stanie dostrzec. To utrwalone czarno na białym szczęście jego braci, przeszmuglowane do wyobraźni z falbankami koszul i pomponami podkolanówek oraz z uformowanymi z piasku babkami i rozkazami dla psa, który wkrótce potem słuchał już tylko jego głosu — on, później urodzony, przeżywał z poczuciem zazdrości i tęsknoty...

I oto ten niewyobrażalnie daleki raj dzieciństwa, ten jego wymarzony plac najpiękniejszych zabaw, znajdował się teraz przed nim — istniał naprawdę. Wszystko tu było — wysokie, stare drzewa, z tyłu, w kącie ogrodu, szopa i piaskownica — nie, to były nawet trzy piaskownice, dostrzegł też huśtawkę oraz zjeżdżalnię, których nie znał. Brakowało jedynie psiej budy.

Rzadko dotąd widywał takie ogrody. Za sprawą wielu starych, wysokich drzew prawie wszystko pogrążyło się w cieniu. Promienie słoneczne tu nie dochodziły, ale przeświecały przez korony i między pniami, wielekroć załamane i rzucały raz więcej, raz mniej blasku, grały bogactwem światła i mroku. Nastrój jak w baśniowym lesie — wreszcie stało się oczywiste, że to on właśnie na tej fotografii dzieciństwa wyzwalał dawniej jego marzenia. Stojąc w rogu muru za zniszczoną szopą, którą być może zbudował jeszcze jego ojciec,

liczył drzewa i doszedł do niemal dwudziestu — buk, lipa, akacja, klon, topola, kasztan, jabłoń, grusza, śliwa — już dawniej były dość mocne, a teraz przecież przybyło jeszcze prawie pół wieku. Wyrwał kartkę z notesu i wykonał szkic domu oraz ogrodu — każde drzewo otrzymało swój znaczek, musiał je stawiać wiele razy, gdyż wciąż nie mógł dobrze utrafić. Wreszcie plan się zgadzał. Odchodził zadowolony, nie oglądając się za siebie.

Tanecznym krokiem zawrócił akacjową aleją i na jej końcu ujrzał, stojącą u zbiegu ulic, piękną, zbudowaną z ogniście czerwonej cegły, starą wieżę ciśnień. Gdy tak na nią patrzył, pomyślał: z pewnością bylibyśmy dobrymi towarzyszami zabaw...

Nasycił się szczęściem, wypełnił najgłębszą radością, a spokój, który ogarnął umysł i uczynił go lotnym, rozprzestrzenił się również po ciele. Chciałby głośno wiwatować! Dom jego narodzin naprawdę ocalał! Nie wciskano mu zatem złudnych opowieści z przeszłości, nie ogłupiano zdjęciami, na których widok mógł jedynie, rozdrażniony, protestować, zwłaszcza od czasu, gdy pancerzem obojętności odgrodził się od swego pochodzenia.

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się lepiej, jeszcze nigdy tak w pełni nie był obecny w świecie, jak podczas tego późnego letniego popołudnia we Wrocławiu, w miejscu swych narodzin — tak, jakby akurat przed chwilą, o tej właśnie godzinie, zaczął istnieć.

Naprawdę! Wszystko, o czym marzył będąc dzieckiem, a o czym później, już dorosły, nie chciał więcej słyszeć, istniało naprawdę. I choć go już wtedy rozbolały napięte łydki — wpatrywał się i wpatrywał, nie mogąc przestać. Aż otworzyły się drzwi domu. Mężczyzna koło sześćdziesiątki, krępy, w szarym kitlu roboczym — niepodobny do ojca. Nowy właściciel. Czy zrozumie jego zachowanie... Pospieszył ku niemu i ogarniając szerokim ruchem ręki drzewa ogrodu, błyskał entuzjastycznie oczyma, wtrącając przy tym wielokrotnie słowo *natura*, które w całej Europie jest zrozumiałe dla wszystkich...

Michael ZELLER
Tłumaczył Leszek Szaruga

Stopniowe zadławianie się krzykiem

MOWA A WSPÓŁCZESNA EMIGRACJA

W cierpieniach naszego
dzieciństwa odczytujemy pismo
naszego przyszłego życia.

Michel Foucault

Okrążenie pierwsze

O swoich przodkach wiemy mniej więcej tyle, że przybyli z niezmierzonych bezkresów Wschodu. Każde pokolenie wędrowało kawałek dalej na Zachód, zgodnie z ruchem słońca. Ojciec, maszynista parowozu pruskich kolei państwowych, po plebiscycie na Górnym Śląsku w 1921 roku wybrał się z małego miasteczka Lublinitz, które teraz stało się polskim Lublińcem, do jednego z lepiej rozwijających się miast zaraz za nowo wytyczoną granicą państwową, do Gliwic. Gdzie urodził się jako szóste i ostatnie dziecko, gdy zaczynało się czwarte dziesięciolecie tego stulecia. Matka była osobą energiczną i nieco ekscentryczną, w dobroczynny sposób zaniedbywała wychowania swych dzieci, dawała lekcji fortepianu, i sama najchętniej grywała Szopena, także w czasach, gdy nie było to tak mile słyszane, i okazyjnie występowała nawet w Teatrze Miejskim jako śpiewaczka, aby podnieść trochę dochody na utrzymanie domu i przyodziać dzieci w takie ubrania, że nie wyglądały jak z osiedla Hulczyńskiego, lecz jak z wytwornej, zachodniej części miasta — i baczyła na to, czy przeklinali po niemiecku a modlili się po polsku — po części zaś w obu tych językach. Sama na swych palcach nosiła pół tuzina pierścionków, fałszywych i prawdziwych, ale wszystkie wyglądały przepięknie, a zimą chodziła w futrze z krymskich baranków, latem zaś z białym lisem na ramionach (jak polskie ziemiaństwo), i ludzie mówili o niej, że żyje ponad swój stan. Nie była to jedyna rzecz, jaką oddziedziczyła.

Jego dzieciństwo jest wspomnieniem wielkich, mrocznych lasów, nawoływania kukułek, placu ćwiczeń ósmego regimentu pruskiej kawalerii w pobliżu okna, zabaw ze stajennymi chłopakami, którzy przy pomocy zgrzebła w wieczornym świetle czyścili konie za koszarami Lasku Miejskiego. Zielone Boże Ciało: las przychodził do miasta, monstrancja błyszczała pod baldachimem, kwiaty na ulicznym bruku, odurzający zapach mirry. Procesje za kościelnymi chorągwiami, na świętą Annę i do Piekar, z niemieckimi i polskimi pieśniami pątniczymi — bo jedno miejsce adoracji było niemieckie, drugie zaś polskie, jednak oba były katolickie.

Wspomnienie brudnawej, leniwie płynącej Kłodnicy, ulicy Kopalnianej, drogi królewskiej do Przezchlebia, mostu hindenburgskiego, dworca towarowego i sygnałów manewrujących lokomotyw. Było lato, wówczas żarzył się rzepak. Była jesień, kiedy paliły się ziemniaczane ogniska.

Dzieciństwo, które od początku było zanurzone w błękitnym świetle pożegnania.

Dzieciństwo między katolicyzmem, seksualnością a faszyzmem. Jak abstrakcyjnie dzisiaj to brzmi. Ale wówczas było to dla niego zmysłowym doświadczeniem. Zagrożenie, strach, ekstaza.

Niedzielna suma w nowo wybudowanym kościele Chrystusa Króla. Potępienie rzucane przez proboszcza Pattasa z wysokości ambony w dół na grzeszników siedzących w prostych, drewnianych ławkach. A któż z nich był bez winy? Panie, zmiłuj się nad nami, mówił i bił się pięścią w piersi. Panie, zmiłuj się nade mną. I mocniej uderzył się w pierś. Był winien. Zajmował się brudnymi sprawkami, z sobą i z innymi. Ksiądz w konfesjonale chciał poznać to dokładniej.

Na przedwiośniu, kiedy rzeka wzbierała, balansował na lodowych krach, które Kłodnica unosiła z sobą ku Odrze. Pewnego razu został porwany przez prąd i wpadł do lodowatej wody; nieomal utonąłby.

Na bosaka wędrował wzdłuż szos, pędził przez płonące pola rzepakowe, pokrzywy biczowały jego kolana, jaśmin ogłuszał go swym zapachem, dziewanna wabiła go złotymi dzwonkami. Biegał za hałasami, szczękiem wież wydobywczych, syrenami hut, gwizdami manewrujących maszyn, nawoływaniem ptaków w żernickim lesie, gdzie kiedyś zabłądził i prawie że umierał ze strachu, gdy zapadła noc; bowiem za polską granicą, co było mu wiadome, grasowały jeszcze wilki. Nauczył się obcować z cieniami i zapadającą ciemnością, zwiewnymi szmerami wieczoru, zasnął na miękkim podłożu z mchu, i gdy spał, bezgłośnie podeszły do niego wilki i delikatnie lizały go po twarzy.

Gdy wybuchła wojna przeciwko Polsce, temu bliskiemu a jednak dalekiemu krajowi, który zaczynał się zaraz za Sośnicą, widział na szaro umundurowanych żołnierzy maszerujących po szosie ku granicy, tam gdzie był ustawiony szlaban graniczny; nie było to daleko. Stukasy przepłynęły nad miastem w porannej szarości i znikły w chmurach. Jego starszy brat został powołany do wojska, matka nasypała mu do kieszeni soli a jego czapkę ozdobiła zielonym mirtem, jak dawniej robiło się tylko podczas ślubu albo pogrzebu. Być może naraz działy się obie te rzeczy.

Poszedł z nim, aż na dworzec, gdzie zebrało się wielu mężczyzn, śpiewali głośno i czynili obsceniczne gesty, a dziewczyny, które kiedyś oburzały się z tego powodu, teraz uśmiechały się. Życzył sobie, żeby ta wojna potrwała tak długo, dopóki wszyscy jego starsi bracia nie zostaną powołani do wojska. Ponieważ był najmłodszym, i na tej przekonywającej przesłance już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że starsi bracia istnieją właściwie tylko po to, żeby młodszym garbować skórę. Atoli on życzył sobie młodszego brata, dla którego chciał zawsze być dobry.

Jak z wiśniowego soku i wody kolońskiej swej matki sporządził czerwony likier, udał się z Mią do Leśnego Zameczku i zaprosił ją do wypicia tej rzeczy, i jak leżał obok niej, w lesie, wrześniowe słońce strzelało promieniami, i wreszcie odsunął na bok falbanki jej spódnicy i ujrzał czerwoną mrówkę pełzającą coraz wyżej po marmurowo białej nodze. I kiedy ksiądz Mikas zapytał w konfesjonale, i jak to potoczyło się dalej, powiedział, że właśnie to nie potoczyło się dalej, proszę księdza.

Jak w kąpielisku Victoria, pod Teatrem Miejskim, wykupił bilet na kąpiel w wannie, na co często nie mógł sobie pozwolić, tylko kiedy babka ofiarowała mu jakąś piątkę. Wówczas pozwalał zaprowadzić się łaziebnej ubranej na biało do kabiny, i podczas gdy gorącą wodę wpuszczał do wanny a para snuła się i budziła w nim nieokreśloną zmysłowość, szukał jakiejś szpary w ścianie — ponieważ widział tam już kiedyś podniecające obrazy, skórę, ramię, udo, kobiece ciało; twarz, włosy, dłonie, ramiona, jakieś męskie ciało. Oko.

Raz na tydzień chodził do związku Don Bosco. Dwa razy w tygodniu na służbę do HJ. Jednak każdego wieczoru należał do swej bandy, ferajny, i przysłuchiwał się innym, którzy byli już starsi niż on i planowali nowe, niezwykłe i nie-

znane przygody. Chodził z nimi, ale trzymał się z boku.

W Związku Boromeusza mógł za pięć fenigów wypożyczać książki, a w owym czasie czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, najchętniej Sir Johna Retcliffe'a i Zane Greya i Dostojewskiego, i cudowne mowy pewnego męża, który zwał się Zaratustra.

W Wielki Piątek obrzucił kamieniami okna ewangelików, powiedziano mu bowiem, że oni nie są prawdziwej wiary. I nauczono go, że Żydzi przybili do krzyża Jezusa z Nazaretu, przed wielu laty i w dalekim kraju. Ale za jego czasów nie było Żydów w mieście. Oświęcim był oddalony tylko o sześćdziesiąt kilometrów, a siedemdziesiąt pięć kilometrów było do Wadowic, gdzie urodził się późniejszy Papież.

Przyszła zima tak mroźna, jak dawno już nie było takiej zimy, styczeń 1945 roku, gdy kolumna więźniów kacetu bardziej zataczała się niż maszerowała, w więziennych ubiorach, widział ich na ulicy Następcy Tronu, poganiali ich kapo, bili ich pałkami, obok zaś maszerowali esesmani z przygotowanymi do strzału karabinami maszynowymi, ciemniało, zaczął padać śnieg, było mroźno; nadchodzili ze Wschodu, gdzie już toczył się głuchy grzmot artylerii.

Parę dni później miasto zdobyli Rosjanie. Zabici jeszcze długo leżeli na skraju ulic, mróz konserwował ich ciała, całe miasto było jedną *kostnicą*. Następnie wszyscy mężczyźni w wieku powyżej 16 lat zostali zarejestrowani i wywiezieni do prac przymusowych na Syberię. Był młodszy, mógł pozostać, musiał w zakładach wyrobu drutu VOS z betonowych podkładów demontować maszyny i ładować je na wagony kolejowe, co nazywało się nie znanym mu słowem: reparacja.

Wojna skończyła się, gdy zakwitały czereśnie. Znikli żołnierze z czerwoną gwiazdą na futrzanych czapkach, i przyszli inni żołnierze z czworokątnymi rogatywkami na głowie. Byli to Polacy, których wypędzono ze Lwowa. Zajęli mieszkania Niemców, tak jak ich mieszkania zostały zajęte przez obcych. *Panie, zmiłuj się nad nami.* Gleiwitz nazywało się teraz *Gliwice*. I Ojcze Nasz uczył się po polsku.

Zanim stał się dzieckiem, skończyło się dzieciństwo.

I znowu znalazł się w innym kraju, wśród ludzi, którzy już nie mówili swojską, powolną niemczyzną kresów, lecz szybkim, płaskim językiem centrum. Odnajdywał się powoli i z pewnym trudem nabywał orientacji, po kawałku zdobywając tę nową rzeczywistość, fragmenty tego nowego świata. Długo mieszkał w Koethen, gdzie Bach napisał swoje Koncerty Brandenburskie. Chciał zostać tancerzem u Jeana Weidta, który powrócił z emigracji i w Berlinie otworzył teatr tańca ekspresyjnego, ale niebawem zostało to zakazane przez Partię. Zapędził się do Poczdamu. Był ciekawy. Pisał pierwsze wiersze. Czytał bardzo dużo. Przypatrywał się nocy. Jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności.

Poszukiwał mistrza a znalazł owego człowieka, którego wiersze przetrwają to stulecie. Ale wówczas mało mówiło się o jego wierszach, więcej zaś o *Organonie Teatru Epickiego*. I tego uczył się obecnie. Każdego dnia jeździł godzinę kolejką miejską do Wschodniego Berlina, dworzec Friedrichstrasse, do *Berliner Ensemble*.

Żył w świecie, który został zmieniony od góry, i który od dołu szukał harmonii. W każdym razie tak mu się wydawało.

Także pragnął się zmienić. W inny sposób. Poprzez słowa i zdania i gesty. Wtedy przyszli, w pewien listopadowy wieczór 1951 roku, do tyłu wykręcili jego ręce i założyli mu kajdanki. Czytał *Elektrze przystoi żałoba* O'Neilla, i wstrząsnęło nim kazirodztwo Lawiniasa. Na dworze czekał samochód NKWD z mlecznymi szybami.

Cela, obóz, katorga, archipelag GUŁag. Dalej do Workuty nad Morzem Polarnym, i jeszcze dalej usunięty z pamięci żywych. Innych. Huchel wydrukował parę jego wierszy w swoim czasopiśmie *Sinn und Form*. A Kantorowicz w czasopiśmie *Ost und West* jedno opowiadanie: *Dlaczego*.

To również zostało zapomniane, gdy po czterech latach powrócił do wspólnoty żywych. W GUŁagu nauczył się kochać rosyjską mowę, czytać poetów rosyjskich, przede wszystkim Dostojewskiego, Czechowa i Puszkina. Później Jesienina, dandysa rewolucji, który powiesił się w pewną noc noworoczną na okiennej ramie piotrogrodzkiego hotelu. I następni: Izaak Babel, Anna Achmatowa, Michaił Bułhakow, Borys Pilniak. I Osip Mandelsztam, który zginął marnie w stalinowskim obozie pracy.

Poprzysiągł sobie tego nie zapomnieć.

Znowu nowy kraj. I właściwie jeszcze się w nim nie zadomowił, kiedy w radiu usłyszał strzały z Budapesztu. Lektor mówił: czołgi wdarły się do miasta. Na wieżach tysiącletnich Węgier wygaszają ogień wolności.

Panie, zmiłuj się nad nami.

Nie chciał zapomnieć.

Pisał własne rzeczy. Wiersze, opowiadania, powieść *Celę*. Uczył się nowego życia. Potrafił wsłuchać się w to, co mówili inni, i ogłosił to w rozmowach warsztatowych. Tkwiła

w nim niecierpliwość. Zaczynał nowe, wypróbowywał odmienne formy, inne środki wyrazu. I dostrzegł, że — mimo wszystkich różnorodności — wciąż mówił wyłącznie jednakowo i po staremu. Odkrywał się w twarzach innych, w zastanych gestach, w tym, co było i co jest, rozpoznawał się we fragmentach jakiegoś wiersza, w linijce prozy — albo w powoli przebiegającej sekwencji filmowej.

Czuł, że nie oderwał się od swego dzieciństwa. Napisał o nim prawie dwa tysiące stron. W gruncie rzeczy wszystko było powtórzeniem. *Pierwsza Polka* i kłujące światło września, czas bez dzwonów i ziemia w ogniu. W gruncie rzeczy wszystko właściwie było religią, popędem i stłumieniem. Wszystko było inne. I wszystko było takie samo. Już André Gide napisał: Każdy autor poszukuje swego dzieciństwa.

Tak, a potem były *Wyznania ciała*. W pośrodku pracy nad tą książką umarł Foucault. W cierpieniach naszego dzieciństwa odczytujemy pismo naszego przyszłego życia. On o tym wiedział.

Wiele podróżował. Szukał czegoś. Po co? Sam tego nie wiedział. Piętnaście lat mieszkał w małym osiedlu pod Monachium. Zawsze w poszukiwaniu czegoś nowego. Ale czego?

Znajdował przyjaciół wśród malarzy, pośród rysowników, między rzeźbiarzami. Częściej niż wśród kolegów pisarzy. Sądził, że artyści plastycy są bliżsi rzeczywistości, prawdy. Ale być może bliżsi też tylko przedmiotowi, materiałowi, materii. W każdym razie o wiele chętniej czytywał obrazy Francisa Bacona, de Kooninga, Motherwella, Paladino, Chia, Salomé, aniżeli książki całej reszty.

Otóż był jeszcze inny wymiar, którego brak zauważył w literaturze. Czasami odnajdywał go w książkach tych pisarzy, którzy pochodzili ze Wschodu. Rozdarte ludzkie oblicze. Tak, rozdarte. Jednak oblicze. Człowiek.

Emigracja. Oni żyją w innym kraju, mówią i piszą w odmiennym języku. Ale śnią i modlą się w mowie dzieciństwa. Poznał wielu z nich. Rozmawiał z nimi. Przysłuchiwał się im. Chciał o tym pisać. Niebo albo Piekło: emigracja. Wyrzucenie. Pozbawienie obywatelstwa. Wypędzenie. Zadomowienie gdzie indziej. W innym, w obcym języku. Mowa jest domostwem człowieka.

Teraz żyją pośród nas, i są jej bardziej pozbawieni niż sądzimy: bez ojczyzny; bez mowy.

Co to jest? Autobiograficzne hasła, ułamki, fragmenty. Oto mówi ktoś o sobie, a wypowiada się w innej osobie.

Oto opowiada ktoś swoją historię, a podaje ją jakby dzieje kogoś innego. Oto szkicuje narracyjnie tę drugą osobę, a jest nią sam narrator.

Dlaczego to robię?

Zostałem zaproszony do mówienia o sobie samym, do wypowiedzi autobiograficznych. I nagle zauważyłem, że wcale tego nie potrafię. Dlaczego mam publicznie — więc głośno — wspominać moje przeżycia, doświadczenia? Wspomnienia piszą starzejące się aktorki, odstawieni politycy, emerytowani generałowie — polemizowałem o tym kiedyś w jednym artykule, wiedząc, że nie mam racji. Ani jeden z moich ulubionych pisarzy nie napisał swych wspomnień: Dostojewski, Proust, Kafka, Faulkner. Uczynili to inni moi ukochani pisarze: Goethe, Tołstoj, Fontane, Gide, Canetti. To był lęk przed mówieniem o sobie samym, przed wypowiadaniem siebie, przed opowiadaniem moich przeżyć. Więcej: to była bariera. Czyż pisarz w swoich książkach nie opowiada ciągle tylko o samym sobie? I czyż nie są właśnie moje książki w pewnej mierze i sensie określone przez biograficzne przeżycia? Sądzę, że tkwię, także jako osoba, we wszystkich moich książkach, nawet w raczej dalekim od mojej biografii *Bakuninie, pewnej inwencji*. Ta książka nawet wiele ma ze mną wspólnego, z moją wewnętrzną biografią. Aliści nigdy na przykład nie potrafiłbym napisać biografii o Oswalcie von Wolkenstein, ani nawet o Gerharcie Hauptmannie.

Gdy ukazała się moja powieść *Ziemia i Ogień*, z dokumentalnymi rozdziałami o Hauptmannie, krytyk Leonard Reinisch napisał w czasopiśmie *Merkur*: Bienek jest tym człowiekiem, który mógłby napisać od dawna oczekiwaną biografię Hauptmanna. I błyskawicznie już w parę dni później nadeszła też do domu propozycja jednego z wydawnictw. Ale nigdy o tym nie myślałem. Kiedyś, tak, myślałem o tym, aby opisać ekstatyczne, szalone i takie krótkie życie rosyjskiego poety Sergiusza Jesienina. Chociaż Hollywood pewnego dnia sfilmował jego życie, dokładniej mówiąc życie Isadory Duncan (co wiele miało wspólnego z Jesieninem), ledwo kto wie dzisiaj o nim na Zachodzie. W tym innym życiu, w innym czasie odkryłem kilka podobnych doświadczeń i pragnień i tęsknot. Oczywiście taką książkę mógłby napisać jedynie rosyjski emigrant. Książki, które dotąd ukazywały się w Związku Sowieckim o Jesieninie, oddają tylko cząstkę biograficznej prawdy.

Od 1956 roku mieszkam w Republice Federalnej Niemiec. Ostatecznie uciekłem z celi. Ale trwało to długo,

zanim zdołałem coś o tym napisać. Przywiozłem trochę wierszy powstałych w celi, w obozie, w większości były to wiersze rymowane, gdyż lepiej mogłem zachować je w głowie. Później zapisałem je na cieniutkiej bibułce papierosowej, zapakowałem w cynfolię i wepchnąłem je z tyłu tubki pasty do zębów — w ten sposób zdołałem przemycić je przez wszystkie kontrole. Zatem napisałem do tego trochę nowych oraz prozę liryczną. Był to *Sennik więźnia*, moja pierwsza opublikowana w 1957 roku książka.

Rzeczywistość obozowa nie była moim tematem, ale fantazje, imaginacje, odkrycia, sny uwięzionego. W wywiadach mówiłem o niewoli egzystencjalnej, o byciu aresztowanym, każdy człowiek jest więźniem: swego światopoglądu, swych popędów, swojego koloru skóry. Dzisiaj nie wypowiadam już tego w ten sposób.

Gdy Peter Huchel przybył na Zachód, spotkaliśmy się w Berlinie. Poparł mnie wtedy, gdy jeszcze nie miałem dwudziestu lat — publikacją mego wiersza w swoim czasopiśmie *Sinn und Form*. A teraz mówił do mnie: „Otrzymałem pański *Sennik* w Poczdamie, został do nas przeszmuglowany, i nawet nie potrafię panu opowiedzieć, jak byliśmy rozczarowani. Oto jeden z nas został Świadkiem, i co od niego otrzymaliśmy: metafory. A my chcieliśmy prawdy".

Jednak w jaki sposób opowiada się prawdę? Refleksje Brechta o trudnościach przy pisaniu prawdy na nic w tym czasie nie mogły mi się przydać, dzisiaj zaś wydają mi się być nieprzydatne.

W mojej pierwszej powieści *Cela*, która ukazała się w 1968 roku — moja własna cela oddaliła się już o dwanaście lat — główną postacią jest nauczyciel rysunków, 42 lata, pracuje w szkole dla dziewcząt. Ale rzecz jasna tej książki nie potrafiłbym napisać bez doświadczenia mego wielomiesięcznego uwięzienia w izolatce (gdy miałem 21 lat).

Czasami pytam się, czy tego nauczyciela rysunków (czy rzeczywiście miałem z nim coś wspólnego?) wymyśliłem sobie, aby w ten sposób oddalić się ode mnie samego, tak jak ten nauczyciel rysunków wymyślił wreszcie sobie w celi jednego współwięźnia, aby już nie wspominać o własnym Ja — aby zapomnieć o sobie samym, o swej teraźniejszości, swej przeszłości i przyszłości.

A w *Bakuninie, pewnej inwencji* jestem tym, który wstępuje tam w maskę starzejącego się, chorego na pęcherz, astmatycznego rewolucjonisty (w istocie więźnia wcześniejszych idei rewolucyjnych), a zarazem w maskę 22-letniego studenta

o anarchistycznych skłonnościach, a zarazem w maskę pisarza, który nie może i nie potrafi tej splątanej gry ani uchwycić i uporządkować, i który w szalenie anarchistycznym akcie neguje całą oryginalność współcześnie piszącego, a siebie osiąga już wyłącznie w literackim kolażu, bo czy ktoś biorąc od Becketta do Koeppena i Borgesa, Benjamina i Kaschnitz, jest w stanie wyrazić siebie?

W powieściach gliwickich, które opisują pewne dzieciństwo w czasie wojny, moje dzieciństwo, kryję się w rozlicznych figurach, przede wszystkim w podrostkach, których wciąż od nowa odkrywam dla siebie. Żebym nie musiał być sam? W nich wszystkich jest coś ze mnie. I w nich wszystkich niczego ze mnie nie ma. Oto jestem i uwalniam się. Portretuję innych a myślę o sobie. Pokazuję się innym i oto jestem (być może).

Gdy ukazała się *Pierwsza Polka*, zostałem zapytany przez Ekkeharda Rudolpha o „stosunek do postaci": kim pan właściwie jest, Joselem czy Andreasem? Odpowiedziałem: Żadnym z nich; jestem we wszystkich moich postaciach, także w Valesce, w Milce, w Wondraku, w Montagu, w Apitcie.

Flaubert, zapytany, kimże właściwie jest ta Madame Bovary, miał odpowiedzieć: *Je suis Madame Bovary*. Rousseau napisał kiedyś: *Nie jestem tym, kim jestem*. Hermann Kesten w późnym wieku nazwał demonstracyjnie jeden z tomików poetyckich: *Jestem, który jestem*. Proust stwierdził gdzieś: *W gruncie rzeczy piszę wciąż tylko o sobie samym, we wciąż odmiennych maskach*. Przecież on nawet ze swego ukochanego Alberta uczynił ukochaną Albertynę. Thomas Mann rzekł: *Zawsze jestem inny, i nigdy inny nie jestem*. Dopiero z jego dzienników dowiedzieliśmy się, że on to on. Aschenbach zatem to wcale nie jakaś sztuczna postać.

Ostatnio pisałem o *Doktorze Żywago* Borysa Pasternaka. Przeczytałem tę książkę po raz drugi, trzydzieści lat po jej pierwszej publikacji. W gruncie rzeczy czytałem tę książkę zupełnie na nowo. Powieść ta jest dziełem sztuki, wciąż jeszcze — przy czym muszę dodać, że czasami nachodziły mnie pewne wątpliwości, które łączą się ze szczególnie sensacyjną historią tej publikacji i pewnie też z bombastyczną wersją filmową Davida Leana. Ale wielkość i jakość dzieła ukazują się również m.in. w tym, że pojawia się to natarcie z trzeciego wymiaru trywializacji. Atoli wspomniałem *Doktora Żywago* dlatego, ponieważ jest to dobry i trafny przykład na

to, jak autor — w tym przypadku z przyczyn cenzuralnych — pisze w drugiej osobie, a pisze przecież wyłącznie o sobie samym. Jurij Żywago zatem jako lekarz dość daleko oddalił się od poety i tłumacza Pasternaka: pozwoliło mu to mówić prawdy o kraju, w jakim żył (w jakim żyli oboje), o reżimie, pod którym cierpi (pod którym cierpią oboje) — co autorowi pod rządami Stalina wielce prawdopodobnie przyniosłoby aresztowanie i obóz, jak Pilniakowi lub Bablowi czy Mandelsztamowi.

Ale rzecz jasna zawodowi szpiedzy i szpicle (w związku pisarzy) wyczuli tę duchową i polityczną identyczność Jurija Żywago z Borysem Pasternakiem. Jak wiemy, w tak zwanej epoce odwilży Chruszczowa również miał miejsce tak dalece posunięty terror duchowy wobec Pasternaka, iż poeta musiał odmówić przyjęcia nagrody Nobla. Zarzucano Pasternakowi antysowiecką nagonkę i myślenie antysocjalistyczne, ponieważ taką pasywną, mieszczańską, antyrewolucyjną figurę uczynił głównym bohaterem swego eposu. A Jurij Żywago (który zresztą pisał także wiersze) wprost został zidentyfikowany z autorem. Wściekłość funkcjonariuszy pochodziła stąd, iż żył tam ktoś, kto żył wśród nich a jednak nie przebywał między nimi. Wychwalał jedną rewolucję, lecz tę fałszywą, mianowicie tę nieudaną z 1905 roku. Ogląda ogromny przewrót społeczny, a obstaje przy stanowisku, że dusza ludzka nie ulega przemianom. Żywago umiera banalną śmiercią w jednym z moskiewskich tramwajów. Umiera poprzez tę śmierć zupełnie za samego siebie. Nie za Ideę, nie za Partię, nawet nie za lepszą Przyszłość. W tym mieści się najcięższy, najgwałtowniejszy atak przeciwko panującej ideologii. I celuje głęboko do wewnątrz. Z tego powodu pojawili się również ci, którzy uwierzyli, że muszą bronić tej ideologii, tak nią przeniknięci. Emigrantów w innych krajach można ignorować jako reakcjonistów, znieważać jako wrogów ludu, albo całkiem zatuszować jak Nabokowa. Nie Pasternaka. Ani Sołżenicyna. Czy Siniawskiego.

A teraz *Doktor Żywago* Pasternaka ma ukazać się nawet w Moskwie. To znaczy więcej niż tylko wymazanie trzydzieści lat trwającego zapisu na tę książkę. To otwiera pewien polityczny a także estetyczny wymiar. Na obecnym etapie wnet będą się pytali: kiedy Kafka ukaże się w Związku Sowieckim? Kiedy *Archipelag GUŁag* Aleksandra Sołżenicyna? Pierwsze książki przynajmniej będą tam mogły zostać opublikowane dopiero wtedy, kiedy całkiem poważnie dokona się wciąż na nowo obiecywanej krytycznej interpretacji ery stalinowskiej. Upustu krwi z powodu emigracji tak wielu uczonych i artystów w ostatnim dziesięcioleciu już nie daje się zakwestionować. List otwarty emigrantów na Zachodzie z krytycznymi pytaniami do Gorbaczowa, podpisany między innymi przez Bukowskiego, Orłowa, Lubimowa, został nawet przedrukowany w *Prawdzie*.

Emigrant, mówi się, jest kluczową figurą naszej epoki. „Oczywiście wypędzeni byli od dawna i zawsze", cytuję tutaj Hilde Spiel, samą kiedyś przebywającą na wygnaniu, „od Temistoklesa, który padł ofiarą sądu skorupkowego, i Owidiusza, poprzez Dantego i Leonarda, aż do wszystkich reformatorów i rewolucjonistów, od Kalwina do Marksa, od Kropotkina, Bakunina, Hercena, Trockiego i Lenina. Oni pojedynczo wybierali się na emigrację. Jednak znamy też wychodźstwo masowe, poczynając od klasycznego ludu rozproszenia — Żydów, którym cesarz Tytus odebrał w roku 70 po Chrystusie ową możliwość bycia w Świętej Ziemi. Wciąż na nowo pojawiali się kolektywnie wypędzani — z Hiszpanii, Anglii, Austrii, ostatnio zaś z okupowanej przez Hitlera Europy.

Jednak zmuszano też do wychodźstwa całe gromady Greków i Ormian, z Rosji i z Polski, z Hiszpanii i z kraju Basków, i za naszych dni zerwała się rzeka uciekinierów z Węgier, z Czechosłowacji, z Polski, Rosji i Afganistanu, ale także z afrykańskich i środkowoamerykańskich dyktatur. Przeżycie utraty Ojczyzny i cierpliwa egzystencja w obcym kraju jest bez wątpienia sytuacją modelową współczesności".

Dwa kraje, Niemcy i Związek Sowiecki, praktykowały w tym stuleciu duchowy ucisk, który nie ma żadnej historycznej paraleli. Nie, nie chciałbym tutaj dawać wcale komentarza do tak zwanego nowego sporu historyków, chociaż zrozumiałe samo przez się, że dotyka on naszego tematu, który porusza nas wszystkich.

Skoro raz to albo owo jest zbrodnią, skoro wielu ludzi zostało wypędzonych, przepędzonych, wygnanych, zakazanych, zamordowanych, nie muszę na to tutaj zbierać ani nowych i starych argumentów, czy ich komentować. Trzeba się tylko mocno trzymać tego, że duchowy ucisk w jednym z tych krajów skończył się po dwunastu latach, lepiej powiedziawszy: został zakończony przez zwycięzców nad faszyzmem. Atoli w drugim z tych krajów trwa aż do dzisiaj; zmodyfikowany.

I exodus nie ustaje. Rosjanie sami mówią o trzeciej emi-

gracji — i mają na myśli tę z ostatnich piętnastu lat, podczas których opuściło ten kraj więcej niż tysiące, jeśli nie setki tysięcy, przede wszystkim Żydów, w tym wielu artystów, pisarzy, intelektualistów. W zasadzie osiedlali się w Izraelu, Nowym Jorku, Paryżu, Monachium, Londynie. *New York Times* szacuje, że do amerykańskiej metropolii podając się za artystów przedostało się parę tysięcy emigrantów ze Związku Sowieckiego i Polski.

Jeśli przejrzeć spis niemiecko-związkowego PEN-u, to prawie piąta część pisarzy pochodzi z NRD. W 1977 roku Rolf Schneider pisał w *Spieglu*: Od czasu pozbawienia obywatelstwa Biermanna około sześćdziesięciu pisarzy opuściło NRD. Ze zdziwieniem zauważyło wiodące amerykańskie czasopismo artystyczne *american art*, w zeszycie kwietniowym z 1986 roku, że niemieccy malarze, którzy od pewnego czasu znajdują się na samym szczycie listy międzynarodowych zbieraczy, pochodzą prawie wyłącznie z NRD, od Graubnera do Richtera, od Baselitza do Pencka. Są oni dobrze opłacani na rynku sztuki. I nie mają żadnych problemów z obcym językiem jak pisarze.

Naturalnie, tysiące emigrantów żyje na Zachodzie w nędzy, nie znani, nie drukowani, nie kupowani, nie szanowani, nie wystawiani — tego nie ma w naszym na wysoki połysk magazynie. W Monachium na przykład żyje do trzech tysięcy pisarzy, dziennikarzy i naukowców piszących po niemiecku. Ale jest też w Monachium więcej niż pięciuset pisarzy i dziennikarzy, którzy piszą w innych językach. Każdy z państwa, którzy tutaj siedzicie i słuchacie mnie, zna pewnie jednego z wybitniejszych dziennikarzy, krytyka filmowego lub muzycznego. Na Joachima Keisera miłośnicy opery skręcają sobie karki. I na spotkaniach autorskich niektórzy z państwa widzieli może Wolfganga Koeppena, Hermanna Lenza czy Tankreda Dorsta.

Ale kto z państwa zna jeszcze też jednego z wielu pisarzy emigracyjnych, którzy znajdują się między nami? Aleksander Zinowiew, Władimir Wojnowicz, Włodzimierz Odojewski, Iwan Divis, Ota Filip, Tibor Tollas, Magdalena Constantinescu, Tadeusz Nowakowski, Boris Chasanow, Jurij Kublanowski, Eduard Kuzniecow, Julia Wossnesenskaja. To autorzy, którzy są tłumaczeni na wiele języków, niektórzy o światowej sławie.

Emigranci znajdują się wśród nas.

Zauważyli już państwo, że ciągle mówię tylko o emigracji i emigrantach. Rozumie się przez to owych ludzi, którzy z przyczyn umysłowego (często też religijnego) ucisku opuścili swój kraj lub musieli opuścić. Powołam się tutaj na Brechta, który powiedział w jednym z wierszy:

Wciąż znajdowałem fałszywe imię, które nam dano:
emigranci.
To jednak znaczy wychodźcy. Atoli
My przecież nie wyszliśmy, zgodnie z wolną decyzją
Wybierając inny kraj. Nie wychodzimy też
Przecież do tego kraju, by tam pozostać, może na
zawsze.
Lecz uciekliśmy. Jesteśmy wypędzonymi, zesłańcami.
I emigrant nie powinien mieć domu w kraju, który
nas przyjął.

Dzisiaj wszędzie zakładane są instytuty, organizuje się kongresy i sympozja, wydaje czasopisma i książki. Wydawane są miliony marek — na prace badawcze o emigracji lat trzydziestych. Tak, ja też jestem za tym. Tylko — kto pomyśli o tym, że nędza, jaka była tutaj znana, i tak wielu wpędziła wtedy w rozpacz, depresję i śmierć (jak choćby Maxa Hermanna Neisse, Josepha Rotha, Ernsta Tollera, Kurta Tucholsky'ego, Stefana Zweiga), że ona tak samo dotknęła nową emigrację.

Nie ma mniej pisarzy i artystów niż kiedyś, w latach trzydziestych, raczej więcej, i nędza nie jest mniejsza. Oni żyją pośród nas. Oni piszą po rosyjsku, piszą po czesku, piszą po węgiersku, piszą po bułgarsku, piszą po polsku, piszą po hiszpańsku, piszą po niemiecku. Przy tym stara emigracja też jeszcze nie dobiegła kresu. Hans Stahl, emigrował do USA (i stamtąd przysyłał nam cudowne tłumaczenia Thorntona Wildera, Tennessee Williamsa i Johna Osborne), pisał w jednym z wierszy:

Pytajcie nas. My jesteśmy kompetentni.
My niesiemy przed siebie
Kartoteki z listami gończymi
naszych przyjaciół jak ładunek okrętu.
Instytuty badawcze ubiegają się
o rachunki za pranie zaginionych.
Muzea zaś jak relikwie przechowują
pod szkłem znaki naszej agonii.
My którzy ze zrozumiałych powodów,
przegraliśmy nasz czas,
staliśmy się rupieciami niezrozumienia.

Jak wielu, tak musimy się dzisiaj zapytać, było wówczas tych, którzy nie byli w stanie opłacić swych rachunków za pranie, ani za mieszkanie czy rachunku za gaz? Ilu zabiło się?

Dzisiaj — niestety — nie jest inaczej. I dzieje się to w tym mieście, w którym mieszkamy, może nawet na tej samej ulicy. Współcześni emigranci żyją wśród nas. Czasami nie są w stanie opłacić swych rachunków za pranie, ani za mieszkanie czy ogrzewanie. Znam paru emigrantów, którzy wywędrowali z Republiki Federalnej do Francji, do Norwegii, do USA. Znam kilku, którzy się zabili. Nie mogli doczekać się, aż gdzieś VW albo Instytut Thyssena czy Niemiecka Wspólnota Badawcza nie odkryją (przeważnie) nie publikowanych świadectw, nie opublikują ich i nie skomentują. Wszystkie te instytucje miały być poświęcone nie tylko dziełom martwych poetów — jeśli to może też być zasługą — lecz także żywym.

Nie, my nie musimy poszukiwać emigracji w zakresie teorii literatury. My wszyscy zawiedliśmy. Chciałbym tutaj wymienić tylko parę znakomitych przykładów, żeby nie znaczyło to, że po prostu ciągle wnoszę ryczałtowe oskarżenia. Polak Jerzy Kosiński, który *Malowanym ptakiem* zdobył światową sławę, pierwsze dziesięć lat swej emigracji spędził tutaj, w Monachium, nie znany, nie zauważony. Potem udał się do Nowego Jorku, i tam doszedł do międzynarodowego uznania.

Efim Etkind, jeden z wybitniejszych rosyjskich germanistów, daremnie oczekiwał w Monachium na jakieś zatrudnienie. W końcu dostał powołanie do Nanterre i pojechał do Francji.

Leszek Kołakowski liczył na to, że zostanie następcą Juergena Habermasa na katedrze we Frankfurcie — jednorazowa szansa dla niemieckiej historii humanistyki. Ale studenci go nie chcieli. Tedy udał się zaproszony do przesławnego Oxfordu, chociaż wtedy mówił jednak lepiej po niemiecku niż angielsku.

Milan Kundera, pisarz czeski, wprost z Pragi wywędrował do Paryża. Jego książki były u nas tłumaczone, ale ledwo dostrzegane. Aż powieścią *Nieznośna lekkość bytu* zyskał swoje międzynarodowe przebicie — ponieważ Amerykanie uznali jego mieszaninę socjalizmu i seksualności za coś na wskroś niepospolitego, i *New Yorker* w ogóle odkrył w nim jednego z odnowicieli sztuki powieściowej. Teraz także i u nas jest uwielbiany. I czytany.

Naturalnie, że światowej sławie Kundery wychodzą naprzeciw setki innych, którzy żyją wśród nas i piszą, ale nie są publikowani, znowu inni są tłumaczeni i drukowani w naszych wydawnictwach, jednak przez krytykę ledwo zauważani, i dlatego nie ma dla nich nagród. Ponieważ nie piszą po niemiecku, a prawię wszystkie nagrody u nas są przeznaczone dla autorów piszących po niemiecku — obojętnie jak oni piszą. Natomiast emigrantom wolno starać się tylko o jedną nagrodę, o *Nagrodę Adalberta von Chamisso*, a zatem tylko w języku niemieckim, czy znają go oni czy nie.

Jednak pisarz rosyjski na emigracji nigdy nie wyjdzie ze swego języka — język niemiecki i język rosyjski, to są języki, których nie można tak łatwo porzucić, nie tracąc nic na literackiej substancji. Thomas Mann, który na amerykańskiej emigracji też kiedyś opracował jeden wykład po angielsku, swoją prozę zawsze pisał wyłącznie po niemiecku, i z niej stał się też znany.

Władimir Wojnowicz jest najlepszym satyrykiem od czasu Ilfa i Pietrowa, jednak swoje satyry może pisać jedynie po rosyjsku. A taki autor jak Aleksander Zinowiew, który krytykuje system sowiecki nie tylko politycznie, lecz także zaprojektował ze swoich wizji dość przykrą, lecz bardzo podniecającą filozofię, jest wprawdzie czytany, aliści nie tak dyskutowany, jak jego na zarobek opracowywane okolicznościowe tematy.

Hermann Kesten powiedział o swojej emigracji: „Pisałem i pisałem, abym nie musiał krzyczeć".

W *Jednym głosie w chórze* pisze Siniawski: „Najgorzej (dla rządzących) jest wtedy, gdy za słowami uwidacznia się także i jakaś treść. Słowa powinny milczeć. A nasze słowa są krzykiem".

A u wielkiego liryka Josifa Brodskiego znaczy to: „Każdy z naszych wierszy jest krzykiem. Dlatego dalej musimy pisać wiersze".

Nasza obojętność względem emigracji i emigrantów, jeśli potrwa dalej, nie jest niczym innym jak stopniowym zadławianiem się krzykiem.

Horst BIENEK
Tłumaczył Andrzej Pańta

Johannes BOBROWSKI

NIEWYPOWIEDZIANE

Ciężko
rosnę w dół,
korzenie
w głębie rozpościeram,
znajdują mnie
wody ziemi, podnoszą,
smakuję gorycz — ty
jesteś bez ziemi,
ptaku przestworzy, zawsze
lżejszy w świetle,
tylko mój lęk jeszcze
utrzymuje cię
w wietrze doczesnym.

Tłumaczył Leszek Szaruga

WĘDROWIEC

Wieczorem,
strumień rozbrzmiewa,
ciężki dech lasów,
niebo, oblatywane
przez rozkrzyczane ptactwo, wybrzeża
ciemności, stare,
ponad tym ogień gwiazd.

Żyłem po ludzku,
zapominałem liczyć bramy,
te otwarte. Kołatałem
do zamkniętych.

Otwarta jest każda brama.
Wołający stoi z rozwartymi
ramionami. Tak przystępuje do stołu.

Powiada: Brzmią lasy,
przez zdyszany strumień
przelatują ryby, niebo
drży od ognia.

Tłumaczył Leszek Szaruga

DŹWINA

Dźwino, wokół ciebie
zawsze wczesny poranek i wspaniały
wiatr równin. Stare
miasto spoczywa w dymie.

Na twoich brzegach chłód. Zarosła,
zielona smuga. Twoje jaskółki
wzlatują w światło
na polowanie.

Zmęczony
doszedłem koło
południa,
padam na piasek.

Chcę żyć oddechem
rzek, pić
ze Sprindlu, wypić coś ziemskiego,
noc, z tajemnicy głębi
pod trawą.

Żyć chciałbym w ogniu
dnia, płomienie dzielić,
ciebie widzieć: Idziesz
we wstępującym roku
ciężkich ust — mewy
pryskają i woda,
krzyczące przyjmuje cię morze —
wychodzisz mu naprzeciw.

W jego cieniu
od dna
wzdycha za tobą
ten stary gad.

Johannes BOBROWSKI
Tłumaczył Andrzej Pańta

NOTY BIOGRAFICZNE

Marion Gräfin Dönhoff, ur. 1909 r., we Friedrichstein koło Królewca. Publicystka, dziennikarka, współwydawczyni hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, autorka wielu książek o tematyce historycznej, politycznej oraz wspomnień; w języku polskim ukazała się autobiograficzna książka „Dzieciństwo w Prusach Wschodnich" (Wydawnictwo „Słowo", Berlin 1993).

Christian Graf von Krockow, ur. 1927 r., w Rumbske (Rumsko) na Pomorzu. Socjolog, politolog, publicysta; liczne publikacje o tematyce społeczno-politycznej. Autor powieści „Die Stunde der Frauen", której tłumaczenie na język polski („Czas kobiet") ukazało się w 1988 r. w podziemnym wydawnictwie CDN.

Leonie Ossowski, ur. 1925 na Dolnym Śląsku. Autorka powieści, sztuk teatralnych, scenariuszy filmowych.

Basil Kerski, ur. 1969 r. w Gdańsku, politolog, pracownik naukowy Aspen Institut w Berlinie.

Horst Bienek, ur. 1930 r. w Gliwicach. Zmarł w 1990 w Monachium. Prozaik, eseista, poeta. Jako jeniec wojenny przez 4 lata przebywał w obozie w Workucie. Autor wielu powieści, z których najgłośniejsza jest „Pierwsza polka". W swojej twórczości wiele miejsca poświęcił Śląskowi.

Michael Zeller, ur. 1944 we Wrocławiu. Prozaik, eseista i poeta, także badacz literatury współczesnej. „Café Europa" ukaże się w bieżącym roku nakładem „Ars Vivendi Verlag".

Kraj

Druga podróż do Polski: Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 maja 1994

W ramach przygotowań do podróży fragment rozmowy z Kołakowskim w *Rzeczpospolitej*: „Kiedy w panoramicznym skrócie oglądam sobie ostatnie pięć lat, to mimo wszystko co się tu dzieje — te nieprzyjemne kłótnie, korupcja i złodziejstwo, bieda i bezrobocie — raczej jestem zbudowany. Po pierwsze dlatego, że proces tego straszliwie trudnego przechodzenia do innego systemu obywa się bez skrajnych wstrząsów. Po drugie dlatego, że w końcu Polska nie dostała się pod władzę ciemnych chamów. Oczywiście, nie byłem szczęśliwy z powodu wyniku ostatnich wyborów. Niemniej, nie uważałem ich za katastrofę. Nie ma przecież szans ani woli na to, żeby komunizm przywrócić. Przecież ci ludzie, tzw. postkomunistyczna formacja, nie zamierzają nam zafundować komunizmu. Sami na pewno są zainteresowani w biznesie. Nie mają żadnej ideologii, która chociaż z daleka przypominałaby komunizm. Nie mogą wznowić leninowskiej ideologii, nie mogą i nie chcą jej odzyskać. Nie przypuszczam też żeby byli szaleńcami. Ich margines swobody nie jest wielki. Nie uważałem ich dojścia do władzy za katastrofę, chociaż oczywiście zachwycony tym nie byłem".

Beztroska diagnoza autora *Obecności mitu* nie powinna zanadto dziwić, jeśli się zważy, że najwybitniejsi nawet filozofowie lubią czasem, w przerwach między tytanicznymi zmaganiami z myślą, spojrzeć na „skrzeczącą" rzeczywistość z lotu ptaka, który łagodnymi zakolami szybuje nad światem.

Co dziwi, i wystawia nieoczekiwanie Kołakowskiemu świadectwo powierzchowności, to fakt, że autor znakomitej *Obecności mitu* nie dostrzegł nagłej nieobecności mitu, jego zawalenia się wraz z krachem komunizmu. Pewnie, było wpisane w historię szybkie rozsypanie się „Solidarności" (żaden ruch społeczny o takich rozmiarach nie jest w stanie przetrwać długo jako organizacja), ale wolno było liczyć że nie zginie natychmiast, nie zostanie wdeptany w ziemię mit „Solidarności". Istnienie takich mitów (przez lata w Polsce pod podwójną okupacją mit AK, we Francji mit antyhitlerowskiej *Résistance*, we Włoszech mit antyfaszystowskiej *Resistenza*), o czym Kołakowski wie, a w każdym razie powinien wiedzieć, jest podstawą odbudowy najpierw zniewolonych a potem wyzwolonych krajów. W Polsce „postkomunistycznej" dobroczynne działanie tego fundamentu skończyło się prawie natychmiast, po obraniu twórcy stanu wojennego pierwszym prezydentem RP. Czym jest „raczej zbudowany" Kołakowski, pozostanie jego słodką tajemnicą. Powstaniem, po upadku mitu „Solidarności", dziury w którą weszła PRL-owska koalicja? „Politycznymi" harcami i gierkami nad tą dziurą „biznesmenów" wszystkich maści, „lewicowych i prawicowych"? Praniem brudów (na wzór prania brudnych pieniędzy) poprzedniego systemu przez cudownie rozmnożone zastępy cudownie nawróconych Wallenrodów?

Na szczęście, prócz „zbudowanego raczej" Kołakowskiego są też i inni: Turowicz, Smolar, Borusewicz, a nade wszystko Jacek Żakowski, autor znakomitego tekstu *Coś w Polsce pękło, coś się skończyło*, najlepszego chyba tekstu publicystycznego w III Rzeczypospolitej. Nic to, że zakrzyczanego przez uroczystych i wysoko postawionych kauzyperdów w imię zasady „inaczej być nie mogło", jak „inaczej być nie mogło" przy Okrągłym Stole i w okolicach. Nic to, że przez sztukmistrzów paradoksu opatrzonego znakiem wysokiego napięcia z napisem: „Uwaga, pułapka etosu". Żakowski pisze: „Po latach komunizmu i bez „Solidarności" wylądowaliśmy wszyscy w wielkiej czarnej dziurze, którą mogła zapełnić jakakolwiek reguła: bezwstyd, naga siła, potęga pieniądza. I tak się w jakiejś mierze stało. Władza psuje ludzi, którzy ją sprawują, i trzeba wielkiej mocy, by temu nie ulec. Władza źle zamyślona psuje ich w dwójnasób. Władza pruderyjna i pozbawiona politycznej odwagi może zepsuć państwo, bo łączy rygoryzm słów z permisywizmem działań. Czy siekiera Wałęsy nie zginęła w Telegrafie, a pryncypialność Unii Demokratycznej w milczeniu na temat premii?"

W tę czarną dziurę wpływać będzie, wypływać z niej, i znowu w nią wpływać, bezkształtna magma raz takiego a raz innego koloru; bezkształtna i niezdolna do przybrania jakiegokolwiek kształtu. Wielki Magik i Elektryk oślepiać nas będzie codziennie nowymi genialnymi pomysłami, Wielki Generał i Wallenrodyczny Kabotyn wyprawiać się wciąż będzie *in partibus infidelium* w asyście cywilnego adiutanta czy giermka z „Solidarności", aby pogańskich niedowiarków przekonywać o swej śnieżnobiałej czystości Zbawcy Ojczyzny.

Niedawno przeczytałem w *Sole 24 Ore*, włoskim odpowiedniku *Financial Times*, bardzo inteligentną korespondencję z Warszawy o takiej mniej więcej konkluzji: Polska bezspornie robi postępy gospodarcze, być może nawet wybija się na pierwsze miejsce wśród byłych demokracji ludowych, lecz rozwojowi gospodarczemu towarzyszy polityczny bizantynizm. Co korespondent pisma rozumiał przez ów zagadkowy „bizantynizm"? Prawdopodobnie brak wyrazu, brak twarzy w kaście politycznych kapłanów, w „elicie" Czarnej Dziury.

Warszawa, 5–11 maja

Na lotnisku, ładnym teraz i funkcjonalnym, siostra z gronem przyjaciół: Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, Irena i Jerzy Morawscy, Michał Komar, Beata Chmiel, Alina Kowalczykowa, Piotr Brożyna, Czesław Apiecionek, Zdzisław Kudelski (jutro przyjedzie Włodzimierz Bolecki; on i Kudelski będą mi towarzyszyć w podróży po Polsce).

Tak, nawet podczas przejazdu samochodem z Okęcia do Bemowa (na powrót Boernerowa) widać gołym okiem zmiany na lepsze: ożywienie w budownictwie, dużo samochodów (*novum* długich zatorów), dużo szyldów firm i fabryczek prywatnych. W milczeniu słucham opowieści o odwrotnej stronie medalu: mafie, gangi, korupcja, przestępczość, kradzieże, „wszyscy biorą, tylko ryby nie biorą". Nie pada ani jedno słowo o polityce, jakby życie polityczne toczyło się na innej planecie, niech ONI się tym zajmują, jeśli koniecznie chcą, MY mamy inne ważniejsze sprawy na głowie. W pięć lat po odzyskaniu niepodległości...

Wieczorem dziennik telewizyjny jest pokazem nieprzejrzystości informacji politycznej. Nie próbuje się niczego wyjaśnić, serwuje się zbitkę różnych osobistych deklaracji (lekko podkadzonych), które służą do czegoś (do czego?) deklarującym, a dla słuchających są po prostu sieczką. Drobne

migawki „rodzajowe" uprzytamniają powrót nomenklatury, dygnitarskiej zachłanności, w oprawie pałacyków i domków jednorodzinnych na łonie natury. Jak niegdyś, ma to zapewne wzbudzać zaufanie rządzonych do rządzących; a wzbudza coś wręcz odwrotnego (sądząc z reakcji telewidzów). Głupota polityków jest nieuleczalna, niezależnie od panującego ustroju.

Na lotnisku jeden z dziennikarzy zapytał mnie co czytałem w samolocie z Rzymu, sądząc może że wymienię jakieś podniosłe dzieło literatury patriotyczno-nostalgiczne. A czytałem w *Corriere* artykuł o milczeniu Piusa XII, streszczenie programu telewizji francuskiej opartego na opowiadaniu Jana Karskiego. Bohaterski kurier długo zwlekał z tym wyznaniem, dobrze jednak że je w końcu wykrztusił. (A może przegapiłem je w *Story of A Secret State*?). Karski przywiózł był z getta warszawskiego list skierowany do Sikorskiego, który przesłał go papieżowi przez ambasadora Papée. Pius XII żachnął się gniewnie: widocznie wasz generał nie przestudiował uważnie mojego ostatniego przemówienia. Zawierało ono 15-sekundowe wtrącenie ogólnikowe o „cierpieniach ludzi", bez żadnych specyfikacji.

●

Druga podróż nie złagodziła bólu pierwszej w roku 1991, bólu nie odnajdywania się, zagubienia w mieście moich studiów uniwersyteckich. Tylko w niektórych, ocalałych lub wiernie odbudowanych, częściach miasta nie czuję wyobcowania. Tylko tam — na Starym Mieście, na Placu Zamkowym, na Krakowskim Przedmieściu, w okolicach Sejmu, w Łazienkach, do pewnego stopnia na Nowym Świecie i w Alejach — drży struna ewokacji, czasem silnie, czasem ledwie dosłyszalnie. Ulica Żelazna, gdzie mieszkałem, jest dla mnie wyłącznie tabliczką na murze. Trzy lata temu, na obiedzie u Bieleckich, podszedłem w pewnej chwili do okna: podwórko, autentyczne warszawskie podwórko, jakie na obczyźnie widywałem tylko niekiedy w starych monachijskich kamienicach, w uboższych dzielnicach miasta. Byłem tak wzruszony i pewnie blady, stojąc obok okna, że gospodarz zapytał z niepokojem, czy nie położyłbym się na chwilę (serce!). A reszta? Reszta, po wyminięciu nie istniejących rogatek miasta ocalałego lub wiernie odbudowanego, jest miastem stepowym. Szerokie drogi, rzadko pojawia się grupa przechodniów, w oddali budy czy baraki, wieczorem pustka doskonała, nie ma kogo zapytać gdzie odpowiedni zakręt, a i zapytać niebezpiecznie, bo

kto zaręczy czy cudem napotkany nie czeka właśnie na lekkomyślnych pytających. To się długo, bardzo długo nie zmieni, stepowość wejdzie w krew młodych, którzy żadnych w ogóle wspomnień z dawnej Warszawy nie mają. Trudno się chwilami nie zastanawiać, czy Warszawa dzisiejsza nadaje się w ogóle na stolicę, z tym swoim jądrem „elity", otoczonym Dzikimi Polami. Działanie stolicy na jej mieszkańców musi być w miarę sprawiedliwe i równo rozłożone. W przeciwnym razie rośnie, zamiast stolicy, administracyjna hybryda o cechach maszkary. No, ale nie o tym zamierzałem pisać. Chciałem najprościej jęknąć cicho w najsmutniejszym dla każdego b. emigranta momencie konfrontacji z utratą przeszłości.

●

Trzy imprezy pod rząd: podpisywanie książek w księgarni „Czytelnika" (prowadzonej przez Apiecionka), wieczór w PEN-Clubie, promocja w „Czytelniku" pierwszego tomu dziesięciotomowej edycji *Pism zebranych* i książki Boleckiego o *Innym świecie*.

Dobrze wróżyło podpisywanie książek, ciągnęło się od rana do przerwy obiadowej. (Wróżba sprawdziła się pod koniec pobytu, gdy Henryk Chłystowski oznajmił mi, że w ciągu dwóch tygodni wyczerpano początkowy nakład tomu, dziesięć tysięcy egzemplarzy).

W drugiej i trzeciej imprezie, po krótkiej lekturze *Łuku Sprawiedliwości*, pytania i odpowiedzi. Uderzyła mnie w nich potrzeba rozmawiania o rzeczach „drażliwych". Pytania były ostre, pobrzmiewało w nich przeważnie echo moich dzienników, odpowiedzi równie ostre. Skąd ta gwałtowna potrzeba rozdrapywania ledwie przyschniętych ran? Rozmawia się o tym z pewnością w gronie rodziny, wśród przyjaciół, prasa jest wolna, a jednak... Podejrzewam (ale to tylko hipoteza), że działa impuls *publicznego* rozładowania nastrojów w dialogu z kimś, do kogo ma się (pochlebiam sobie?) pewne zaufanie. Nie jest według mnie prawdą, że nowy układ polityczny po wyborach z 19 września nie był uważany za katastrofę. Był, jakkolwiek nie zaraz i nie dość jasno w pierwszych chwilach. Nasz wybitny filozof Jaruzelski wpoił narodowi „filozofię mniejszego zła". Formacje rodem z PRL wydały się naraz wielu ludziom mniejszym złem w porównaniu z czterema niezdarnymi rządami po upadku komunizmu. Potem nastąpiło otrzeźwienie, z towarzyszeniem uczucia że „już za

późno", oprzytomnienie poniewczasie. W zabawnej kartce przysłanej z audytorium Pawlak występuje w roli tępawego „ekonoma folwarku", a Kwaśniewski w roli „nowego dziedzica", trzęsącego portkami na myśl, że mu ekonom po chłopsku ucieknie pod kuratelę Kościoła. Wyraźny ślad pozostawiła moja diatryba w dzienniku w związku ze słynnym „przepraszam" Kwaśniewskiego. Z uwagą i zdaje się że z aprobatą słuchano moich wywodów o konieczności długiej cezury między komunistycznym ustrojem który upadł i jego demokratycznym następcą. Specyficznej jaskrawości nabrał ten argument na tle histerycznej kampanii *Gazety Wyborczej* przeciw „neofaszystowskiej" fali we Włoszech, kampanii zgranej z „postępowymi" kołami na Zachodzie, dla których w pełni *salonfähig* są autentyczni neokomuniści w cztery lata po upadku komunizmu, a nie są nimi rzekomi neofaszyści po półwiekowej kwarantannie politycznej.

(Dopisane później. Podobny charakter miały pytania i odpowiedzi w Lublinie, Wrocławiu, Gliwicach i Krakowie. W Lublinie, w największej auli UMCS, „czerwonego" niegdyś uniwersytetu, spodziewałem się kontestacji — prawdę mówiąc, chciałem jej nawet — a spotkałem się z przychylnym oddźwiękiem zarówno ze strony studentów, jak i ze strony wykładowców oraz słuchaczy ze środowisk pozaakademickich. Przewiduję więc najpierw dalszy wzrost obojętności politycznej — przypuszczalnie znaczny spadek frekwencji w wyborach samorządowych — potem zaś stopniową reorientację polityczną, która zmieni obraz obecnej peerelowskiej RP).

●

Artur Międzyrzecki, mój towarzysz broni z 2 Korpusu, postanowił PEN-Clubowy wieczór autorski przybysza z Neapolu połączyć z rocznicą 50-lecia bitwy pod Monte Cassino. Co skłoniło kilka osób do pytań o bitwę.

W ciągu półwiecza nie zmieniłem o niej zdania. Była, po Teheranie, politycznie bezużyteczna; żołnierze wiedzieli o tym lepiej od Andersa, który trzymał się kurczowo wizji trzeciej wojny światowej. Psychologicznie była nieunikniona, żołnierze pragnęli jej równie gorąco jak Anders, który ostatecznie mógł się z niej wycofać za wyrozumiałą zgodą swoich alianckich przełożonych. Przygotowywaliśmy się do niej przez lata na Bliskim Wschodzie, marzyliśmy o niej w namiotach na pustyni, pękłoby coś bardzo istotnego, gdyby została w ostatniej chwili odwołana. Była to bitwa wielka, ofiarna;

jestem szczęśliwy, że los pozwolił mi w niej uczestniczyć.

Spośród żołnierzy 2 Korpusu mieszkam chyba najbliżej pobojowiska i cmentarza, kiedyś (przed chorobą) wyprawiałem się tam często, sam lub z gośćmi z Kraju. Raz, przed laty, zdarzyło mi się zabrać na Monte Cassino Marię Dąbrowską i Annę Kowalską. „To jest ostatni cmentarz Rzeczypospolitej", powiedziałem do Dąbrowskiej. Przejęta, skinęła głową i szepnęła cicho: „Ma pan rację, absolutną rację".

W dwudziestopięciolecie bitwy, jeszcze za życia i w obecności Andersa, ostatni cmentarz Rzeczypospolitej uczciły odprawiane równocześnie między grobami nabożeństwa za dusze żołnierzy wszystkich wyznań. W czterdziestolecie bitwy poprzestano na mszy rzymskokatolickiej, celebrowanej przez kardynała Rubina. Homilię wygłosił prymas Glemp. Stał, nie wiedząc tego, na płycie grobowej Andersa, mówił na swój ulubiony temat „ani jednej kropli krwi polskiej" i dokonał cudu nie byle jakiego: zignorował nazwisko dowódcy. Dziesięć lat temu był to krasomówczy odpowiednik gestu Jaruzelskiego, odwracającego demonstracyjnie głowę od grobu Andersa, by ją pochylić w skupieniu nad sąsiednim grobem Ducha („dozwolonego"). Afront wyrządzony uczestnikom bitwy przez prymasa Glempa naprawił Jan Paweł II w polskim tekście na łamach *Osservatore Romano*.

Moja wypowiedź na wieczorze PEN wywołała poruszenie. Urzędnik MSZ zaalarmował swego zwierzchnika, Stefan Frankiewicz zatelefonował do Nuncjusza. Ale wydawał się mało realny powrót w ciągu tygodnia zaledwie do starej tradycji nabożeństw wszystkich wyznań.

(Dopisane później. Zdołano jednak sklecić naprędce kadłubowe nabożeństwo ekumeniczne. Jedyny to jasny punkt — mam zatem prawo do dumy! — skandalicznych, błazeńskich wręcz, obchodów urządzonych przez najwyższe władze RP).

●

Na tytułowej stronie *Życia Warszawy* Jerzy Giedroyc wyjaśnił, dlaczego odmówił przyjęcia Orderu Orła Białego. Rzecz jasna, ktoś mnie o oświadczenie Giedroycia zapytał (zdaje się, że na promocji w „Czytelniku"). Oczywiście odmówiłem wyjaśnień do wyjaśnień. Zarazem jednak, przy bardzo żywej reakcji sali, przyjrzałem się krytycznym nieco okiem liście Kawalerów Orła Białego. Na dwóch kolumnach spoczywał opór Polaków pod okupacją niemiecką: na Kościele i na Armii Krajowej; pod okupacją sowiecką sytuacja

zmieniła się o tyle, że z Armii Krajowej pozostała w końcu jedynie legenda, wiadomo o jak ogromnym znaczeniu, jak zaciekle zwalczana przez komunistów, jak przez nich zohydzana i ścigana. Słusznie, że pośmiertnym kawalerem Orła Białego został prymas Stefan Wyszyński. Czy jego naturalnym towarzyszem nie powinien być generał Grot-Rowecki? Miałem satysfakcję, patrząc na twarze słuchających. Miałbym zapewne innego rodzaju satysfakcję, gdybym mógł zobaczyć twarze wszechwiedzących doradców Prezydenta.

●

Od Jerzego Morawskiego z *Życia Warszawy* dowiedziałem się, że w Krakowie odnaleziono pękaty zbiór dokumentów „poufnych", „tajnych", „tajnych specjalnego przeznaczenia" z lat 1980-1982, które cudem albo przez przeoczenie oszczędził szał partyjnych piromanów. W wydaniu książkowym byłyby to trzy grube tomy (do przedsięwzięcia przymierza się już „Czytelnik"). Tymczasem do rogu sekretnej obfitości sięgać będą dziennikarze *Życia*, z Morawskim na czele.

Dokumenty pochodzą głównie z archiwów Rady Ocalenia Narodowego, z MON i z MSW. Wynika z nich bezspornie, że zaczęto przygotowywać „siłową" rozprawę z „Solidarnością" od sierpnia 1980. Czyli, jak zawsze sądziłem nie mając na to dowodów, projekt „przywrócenia zagrożonego porządku" nie powstał pięć minut przed dwunastą wobec przytkniętego do generalskiej skroni pistoletu sowieckiego, lecz nazajutrz po podpisaniu umów gdańskich; chodziło nie o uratowanie kraju poprzez aplikację „mniejszego zła", lecz o próbę ocalenia władzy komunistycznej i władców komunistycznych. Określenie „stan wojenny" pojawiło się już jesienią 1980. Odnalezione dokumenty potwierdzają w pełni wywiad z Kuklińskim w *Kulturze*. Tym bardziej należy go trzymać z dala od kraju, gdzie odbywa się właśnie rehabilitacja Jaruzelskiego i Kiszczaka w sondażach opinii publicznej, oraz w prawnej „wiatrologii". Łgarstwa i krętactwa są „wallenrodycznie" nobilitowane, przy wtórze publicystycznej paplaniny.

Znamienne, że krakowskie dokumenty ani grzeją ani ziębią przeciętnych czytelników. Znowu bierze górę obojętność w obliczu „politycznych łamańców", zastrzeżonych wyłącznie dla politycznej „elity". „Niech się bawią, jeżeli im to sprawia przyjemność". A potem ci sami ludzie, *na pozór* obojętni i osowiali, rozpalają się w dyskusjach publicznych, gdy prelegent dotyka czułej struny.

„Elita" wykorzystuje tę pozorną obojętność. Widziałem w telewizji „okrągły stół" na temat lustracji. Sami przemądrzali luminarze o głośnych nazwiskach, a z ekranu lały się strugi bełkotu... O czym? Nie o państwie prawa; o jeszcze jednej „rozróbie" politycznej.

Pozory mylą, bardzo mylą. Jestem zdania, że złe, tchórzliwe, zakłamane, w najlepszym razie wymijające postawienie sprawy rozrachunku z poprzednim ustrojem pęcznieje gdzieś głęboko jak ropiejący wrzód. Który kiedyś pęknie. Chyba że — czego nie wolno wykluczać — Polacy wymykają się cichaczem, gestykulując po drodze dla fasonu, z „pułapki etosu".

Lublin, 12–15 maja

Do Lublina z Włodkiem Boleckim i Jankiem Lebensteinem. W Lublinie u miłych i gościnnych Kudelskich.

Wieczorem do Starego Miasta, starego jakich już dziś mało, z „kocimi łbami". Następnego dnia rano Górny Lublin, Zamek, Kaplica Świętej Trójcy, Muzeum (Makowski, Gierymski, Boznańska). Kaplica podoba mi się bardziej jeszcze, niż przed trzema laty: sakralność przyziemna, dziwnie lekka przy swojej plastycznej ciężkości. Lublin jest dla mnie zachwycającym miastem, żyje na swoją miarę, czego dziś nie można powiedzieć o wielu miastach. Spokojny, równy rytm, wschodnie podglebie, naznaczone religijną i narodową tolerancją; idealne miejsce dla takich przedsięwzięć jak *Kresy* czy działalność Jerzego Kłoczowskiego. Im więcej poznaję ludzi (redaktorzy *Kresów*, aktorzy, dziennikarze, młodzi uczeni lubelscy), tym wyraźniej czuję odruch przywiązania, skurcz gardła podobny do zakochania się w Krakowie (od pierwszego wejrzenia w czasie pierwszej podróży). Niezapomniany spacer w południe, w większym gronie, między starymi lubelskimi kościołami aż do urwiska, z którego roztacza się pusty widok: *widok* nie istniejącej dzielnicy żydowskiej.

W przepełnionym po brzegi teatrze im. Osterwy miałem formalnie zamknąć lubelską sesję poświęconą *Kulturze*. Zrobiłem to (o czym dalej), ale wieczór zamienił się w obchód „z okazji moich 75 urodzin", urządzony staraniem lubelskiego oddziału ZASP. Dostałem „honorowy medal 75-lecia naszego

Stowarzyszenia" (jesteśmy zatem rówieśnikami) z pięknym dyplomem, w którym zacytowano z mojego dziennika tak dla mnie ważny fragment listu Czechowa: „Artysta nie powinien wznosić się na wyżyny sędziego swoich postaci i tego co mówią, powinien być tylko bezstronnym świadkiem. Ci co piszą, szczególnie jeśli są artystami, muszą w końcu wyznać, że ten świat jest niepojęty. Ludziom wydaje się, że wszystko wiedzą. Im są głupsi, tym szerszy jest ich horyzont. Lecz jeśli artysta, któremu ludzie wierzą, odważy się przyznać że nic a nic nie rozumie z tego co widzi, będzie to wielki krok naprzód".

Jeden z lubelskich aktorów czyta codziennie (i świetnie!) w radio mój *Portret wenecki.*

Zamykając lubelską sesję poświęconą *Kulturze*, chciałem odbiec od zwyczajowych kadzidlanych hołdów („Wszyscy wychowaliśmy się na *Kulturze*, od Michnika do Wałęsy" — z lichymi, prawdę powiedziawszy, rezultatami). Ograniczyłem się do paru słów o Jerzym Giedroyciu, Wielkim Ogrodniku Literatury Polskiej. Podałem przykład jego wydanej świeżo korespondencji z Gombrowiczem. Tylko Wielki Ogrodnik mógł się dwadzieścia lat zajmować z anielską cierpliwością podlewaniem, przycinaniem, okopywaniem, szczepieniem *takiego* krzewu: potwora egocentryzmu, irytującego i antypatycznego megalomana, w którego zachcianka losu lub Boga tchnęła ducha i dar Artysty.

Rektor UMCS musiał w ostatniej chwili wybraną średnią aulę zamienić na największą, taki był natłok słuchaczy. Nigdy w życiu nie stałem przed audytorium przekraczającym chyba tysiąc osób (przeważnie młodych). Pytania były jaśniej i ostrzej jeszcze sformułowane niż na poprzednich spotkaniach, jakby w ciągu kilku dni dojrzały zawarte w nich problemy; i jakby pytający postanowili naraz, korzystając ze sposobności, wypełnić pewne luki, uniki, zaniedbania czy przeoczenia w wolnej przecież prasie. Wymiana pytań i odpowiedzi zgęstniała, nabierając chwilami trochę dramatycznego tonu. Trochę dramatyczne, na przykład, było pytanie skierowane do mnie nie po raz pierwszy, powtarzające się od początku mojej podróży: „Czuję się oszukany jako czytelnik pana książek; oszukany poparciem, jakie pan dał Unii Pracy". Moja powielana niemal odpowiedź: „Popełniłem błąd, którego nie powtórzę. Myślałem, że Unia Pracy będzie przyzwoitą, umiarkowaną i niezależną partią socjaldemokratyczną, która nie dopuszcza nawet myśli o zbliżeniu do ex-komunistów i ich koalicyjnych wspólników, aby korzenie zapuścić w historii, tradycji i postawie PPS. Taka partia jest Polsce potrzebna. Unia Pracy okazała się niezdolna do odegrania podobnej roli, zabawiła się natomiast w komedyjkę na nutę „i chciałabym i boję się", godząc się na prywatny (?!) udział ministra Pola w rządzie". (Dopisane po 19 czerwca. Porażka UP w wyborach samorządowych dowodzi, że jedna trzecia głosujących też miewa coś do powiedzenia).

Powrót do Warszawy z Jankiem Lebensteinem i Włodkiem Boleckim. Las, las, tyle lasu nie widuje się we Włoszech. Wtem pociemniało, spadła gwałtowna ulewa, a raczej oberwała się chmura. Jechaliśmy wolno szosą-rzeką. Warszawa ciągle dla mnie mało uchwytna, ale przynajmniej obmyta, ładna, świeża.

Warszawa, 16-17 maja

Wczorajszy poranny ból serca był znakiem ostrzegawczym. Zapomniałem w rozpędzie o chorobie. Dwa dni odsapki.

W domu list od Józefa Oleksego, Marszałka Sejmu: „Pana twórczość pisarska i publicystyczna, mimo barier, z uwagą była śledzona w Ojczyźnie i odcisnęła piętno na jej życiu kulturalnym. Oddalenie często ułatwia głębszą i szerszą ocenę zakoli historii". Odpoczywając w fotelu, zastanawiałem się co by o tym powiedział Sławek Mrożek. Prawdopodobnie ułożyłby króciutką bajeczkę: „Krasnoludki ustawiły nocą bariery, po czym nasikały do mleka, żeby prędzej skwaśniało".

Wrocław, 18-21 maja

Samolotem do Wrocławia z Boleckim i Kudelskim. Na lotnisku Olgierd Zdrojewski, prezydent miasta, dwie poetki Urszula Kozioł i Wisława Szymborska, Karol Modzelewski, redaktor *Odry* Mieczysław Orski.

Prezydent Zdrojewski jest wybornym, zdumiewającym znawcą Wrocławia, nawet szybki objazd w jego towarzystwie i z jego objaśnieniami pozwala od razu wiele zobaczyć. Miasto dziwne i w osobliwy sposób pociągające, z innego kręgu cywilizacyjnego, nie tyle „odzyskane" co dzień po dniu „zdobywane", także w sensie architektonicznym. Na każdym kroku reminiscencje Monachium, w jednej dzielnicy odżył po prostu Schwabing (łącznie z moimi tam nocnymi włóczęgami). W

ładny, słoneczny dzień napierają ze wszystkich stron dwa żywioły: zieleń i młodzież.

Zamieszkaliśmy w przyjemnym hoteliku o miłej dla mojego ucha nazwie *Zaułek*. Związany z Uniwersytetem i przeznaczony dla jego gości, głównie cudzoziemców.

Wieczorem na kolacji u Urszuli Kozioł i jej męża Feliksa Przybylaka (germanisty), w mieszkaniu zawalonym na podłodze książkami, jakby należało do pary wiecznych studentów. Jest też Wisława Szymborska, która do Wrocławia przyjechała z Krakowa na kilka dni. Te dwie wybitne i urocze poetki, nie pozbawione przy tym ducha opiekuńczego, będą patronowały naszemu pobytowi w Wrocławiu.

Nazajutrz rano, w deszczową pogodę, dyrektor Adolf Juzwenko zabrał nas do Ossolineum. Oczywiście ogląda się z radością skarby biblioteki: rękopis *Pana Tadeusza*, rękopisy Sienkiewicza i Żeromskiego, a nade wszystko cudowny, po mistrzowsku skomponowany zielnik Orzeszkowej (tak, zielnik może być dziełem sztuki). Ale, bez żadnej przesady, prawdziwym skarbem Ossolineum jest jego klimat: ofiarnej, pełnej zapału i oddania, źle płatnej pracy; klimat dawno minionej epoki. Dlaczego — pyta dyrektor Juzwenko — Lwów nie chce nam oddać kompletów międzywojennych gazet i czasopism polskich? Istotnie, dlaczego?

Podpisywanie książek w księgarni Wydawnictwa Dolnośląskiego, potem obiad u wojewody. Jakieś pięć lat temu widziałem w telewizji włoskiej reportaż z Wrocławia, dość niepokojący, żeby nie powiedzieć więcej; starsi mieszkańcy miasta nie ukrywali swych obaw po tylu latach: a może nas któregoś dnia stąd wyrzucą? Wojewoda zapewnił, że lęki przesiedleńców należą już do przeszłości; młodsi i zupełnie młodzi wrastają w miasto, nawet im do głów takie myśli nie przychodzą. Mój sąsiad z prawej Karol Modzelewski przytakiwał energicznie.

Wieczorem na Uniwersytecie, w pięknej *Aula Leopoldina*, tradycyjne już spotkanie z czytelnikami. Znowu pełno i znowu przewaga młodych twarzy. Miałem wrażenie, a może złudzenie, że jeszcze bardziej wzrosła temperatura pytań, jak gdybyśmy wchodzili w nowy wymiar niczym nieograniczonej otwartości. Złudzenie, z pewnością złudzenie, ale przyznaję że sprawiło mi przyjemność.

●

20 maja 1991, w 72 rocznicę moich urodzin, odebrałem

doktorat *honoris causa* na UAM w Poznaniu. Dokładnie trzy lata później, 20 maja 1994, w „okrągłą" 75 rocznicę urodzin, w Sali Senatu na Uniwersytecie Wrocławskim wręczono mi nagrodę *Odry* i złoty medal Uniwersytetu. Przemówili Redaktor Orski i Rektor Wrzesiński; „laudację" wygłosił Bolecki.

W podziękowaniu powiedziałem o szczególnej satysfakcji, jaką dała mi nagroda właśnie *Odry*. Nawet w najgorszych latach miesięcznik wrocławski potrafił zachować atmosferę względnej (o innej nie mogło być mowy) niezależności i czystości. Czyżby działał wrocławski *humus* kulturalny? Bo tutaj przecież wychodziły, krótko co prawda, *Zeszyty Wrocławskie* pod redakcją Anny Kowalskiej i Tadeusza Mikulskiego. W powojennym Londynie wyławiałem je zawsze jako pierwsze z paczki czasopism, przysyłanych mi do przeglądu prasy krajowej przez Grydzewskiego. A ponieważ był to okres zwątpienia czy na obczyźnie pisarze zdołają długo kultywować język ojczysty, mam wobec *Zeszytów Wrocławskich* pewien dług osobisty: tam mianowicie przeczytałem tekst o tym, jak Conrad z bezbłędną intuicją sugerował Leonowi Piwińskiemu poprawki w tłumaczeniu polskim noweli (neapolitańskiej zresztą!) *Il Conte...*

Na obiedzie wydanym przez Jana Stolarczyka, dyrektora Wydawnictwa Dolnośląskiego, siedziałem między Wisławą Szymborską i wrocławskim polonistą Czesławem Hernasem. Poznałem go wtedy, choć — jak się okazało z rozmowy — łączyły nas pewne potajemne związki w latach wszechwładzy „ludowych" cenzorów.

Następnego dnia, spełniając prośbę dyrektora Janusza Hermansdorfera, pojechałem do Muzeum Narodowego, gdzie w małej sali Lebensteina przeczytałem zwięzły o nim tekst *Wieczne pogranicze Jana Lebensteina*. (Po tygodniu przeczytałem go również w warszawskiej galerii *Kordegarda*, jako wprowadzenie do dialogu z siedzącym obok mnie malarzem i przyjacielem, z okazji promocji jego teki gwaszów).

Gliwice, 22 maja

Do Gliwic zabrał nas z Wrocławia długoletni przemytnik książek emigracyjnych do Polski. Jan Mazurkiewicz założył na centralnym placyku gliwickim dużą kawiarnię piwniczną; kiedy się nadarza sposobność, urządza w niej poranki czy wieczory literackie przyjezdnych pisarzy.

Mój brulion dziennika staje się odtąd dość skąpy. Lako-

niczne zdania w rodzaju „dobre spotkanie z plus minus dwiema setkami czytelników", „późne popołudnie na rynku w Gliwicach, słoneczne, łagodne", wreszcie oderwane słowo „amnezja". Zdaje się, że rozmawialiśmy między innymi o amnezji, a ja pamiętałem fragment czytanej właśnie wieczorami książki Jerzego Jedlickiego *Źle urodzeni*. Uderzył mnie w niej fragment: „Nie wydaje mi się godny propagowania, na użytek niewinnej młodzieży, ideał historycznej amnezji. Dzieje ludzkie są straszliwym pasmem kolektywnych, *instytucjonalnych* zbrodni i może nie trzeba zbyt łatwo udzielać zbiorowej absolucji... Lekkość historii zdaje mi się nie mniej nieznośna, niż jej upiorny czasem ciężar". Być może mówiłem o „ciężarze historii", dziś ochoczo rozmienianym na lekką drobnicę za zgodą wykołowanego społeczeństwa, które mruczy pod nosem tresowane przez nowych władców z „demokratycznej lewicy": „Odpowiedzialni pomarli, nie ma ich wśród nas, więc niech już będzie między nami tak, jak gdyby nic się nigdy nie stało" (to też Jedlicki, który jest bardzo uwrażliwiony na robienie z historii narodowego kosza na odpadki).

Kraków, 23–26 maja

Z Gliwic jechaliśmy do Krakowa przez Zabrze, Chorzów, Katowice. Zadziwiająco dużo lasów. Wjechaliśmy do Krakowa przed zmierzchem, wciąż jeszcze grzało mocno słońce. Jaki piękny jest Kraków, z daleka korona Wawelu, w dole niebieska żyła Wisły, przyjazne ulice, kamienice naładowane ludzkim zadomowieniem (dziwne jak to widać po oknach).

Na Dietla, do Żuka Opalskiego, jego siostry Aleksandry i pani Marii. Ich mieszkanie — połączenie muzycznego pokoju Żuka ze swoistym gabinetem starożytności całej reszty — przypadło mi do smaku przed trzema laty, a teraz, może pod wpływem zmęczenia, podbiło mnie całkowicie. Tak mieszkać w Krakowie! W mieście drgającym wszystkimi fibrami historycznymi w życiu codziennym, wibrującym swoją nieustanną obecnością w powietrzu i w starych murach, a równocześnie sprzyjającym odosobnieniu, gdy przychodzi na nie ochota, albo gdy się odczuwa jego potrzebę, po nasyceniu. (Wtrącenie późniejsze. W czerwcu źródłem analogicznych wzruszeń była dla mnie Lucca).

Z tych trzech dni przedpołudnia poświęciłem na spacery.

Łażenie na luzie, zaglądanie do kościołów, przysiadywanie na skwerach, wpatrywanie się z góry w rzekę. Przejrzysta, harmonijna delektacja.

Szara, ciężka pogoda wypadła w dniu przeznaczonym na Kazimierz. I było to jakoś w zgodzie z atmosferą dawnej dzielnicy żydowskiej, którą Fundacja Nissenbaumów dopiero odbudowuje z nadzwyczajną szybkością i starannością. Zachwyca szczególnie synagoga-muzeum.

●

Publiczne spotkanie dyskusyjne w jednej z licznych piwnic krakowskich pod batutą Elżbiety Koniecznej, udane jak sądzę i ciekawe. I sporo zetknięć prywatnych. Wizyta w pracowni bardzo interesującego malarza Stanisława Rodzińskiego. Przyjacielska pogawędka z Tadeuszem Chrzanowskim. Kawa z redaktorami *Arki*. Obiad z kielecką polonistką Ireną Furnal (za tydzień trzydniowa sesja naukowa w Kielcach i Opatowie na temat „Życia i twórczości Witolda Gombrowicza" oraz „pisarstwa G.H.G.", pokrewieństwo wyłącznie geograficzne). Wizyta w *Tygodniku Powszechnym* i kolacja u państwa Okońskich.

W *Tygodniku* (Turowicz, Fiałkowski, Szczepański, Chrzanowski, Skwarnicki, Mamoń, Romanowski) siedziałem naprzeciwko ściennego portretu Franciszka Józefa i mogłem w skrzyżowaniu opinii śledzić, jak nadal przeplata się tu śmiałość (rosnąca ostatnio, zwłaszcza w artykułach Turowicza i w wywiadach Okońskiego) z ostrożnością (często doprawdy przesadną). Na tygodnikowej pustyni (tylko *Politykę* wolno zestawiać z pismem redagowanym przez Turowicza) *Tygodnik Powszechny*, uniezależniony o ile wiem finansowo, nadawałby się do odegrania w peerelowskiej RP większej roli, niż ta jaką od lat w Polsce, z pochwałami i należnymi hołdami, odgrywa. Ale prócz składników, o których z podziwem wspomniałem wyżej, krakowskie powietrze ma znaczną domieszkę słabości do galicyjskiego „jakkolwiek, tym niemniej".

Na kolacji u państwa Okońskich (rodziców mojego ulubionego reportera i „wywiadowcy" Michała) brylował senator Krzysztof Kozłowski, najwyraźniej gustujący w swoim senatorskim stolcu. Dowcipny, elokwentny, stawał się „milczanowski" ilekroć biesiadnicy z nadmiernym wścibstwem dopytywali się o jego b. ministerstwo. Zgorzkniałym prozaikom polskim, od pięciu lat odwróconym programowo plecami od

tego co się w ich kraju dzieje, podsuwam bezpłatnie pomysł: powieść polityczną o następcach Kiszczaka, zafascynowanych nim i jego twierdzą ministerialną, pod nader skromnym tytułem *MSW i okolice*; coś w rodzaju współczesnego *Generała Barcza*.

Warszawa, 27 maja–4 czerwca

Życzenia od ministra kultury i sztuki w ciepłym, serdecznym tonie. Taki był ton moich rozmów z Kazimierzem Dejmkiem w Neapolu, wkrótce po październiku 1956. W ciągu tygodnia widywaliśmy się codziennie, zgadzaliśmy się w większości pilnych wówczas kwestii, posunęliśmy się nawet do szkicowania wspólnych projektów inscenizacyjnych.

Zaszokowała mnie jego pierwsza ministerialna enuncjacja o „kabotyństwie" aktorskiego bojkotu po ogłoszeniu stanu wojennego. Jeżeli już koniecznie chcemy mówić o kabotyństwie, to kabotyński jest raczej oskarżyciel niż oskarżeni. Jak Wielkim Wallenrodycznym Kabotynem był (i jest nadal) ukochany przez Dejmka Generał.

Zaszokowała mnie również hojna subwencja ministra (milion dolarów) dla nowo założonego tygodnika *Wiadomości Kulturalne*, gdy robią bokami i potrzebują pomocy istniejące pisma literackie. Ma to być, jak rozumiem, ministerialny „organ" (ministrowie lubią własne „organy"). Pojawił się najpierw na murach w formie plakatu, obok głupich, smarkaczowskich plakatów *Gazety Wyborczej*. Pierwszy numer jest beztreściwą szmatką, na którą wystarcza kwadrans lektury. Z artykułem wstępnym redaktora, bezczelnym i bezwstydnym dla pamiętających jego felietonową przeszłość.

Prasa daje pojęcie o stanie politycznym „elity". Obok fajerwerkowej (często w najgorszym stylu) *Gazety Wyborczej* poważny dziennik oficjalny (lub pół) *Rzeczpospolita*, do którego przenika już dzień po dniu „mowa rządowa". Nie drętwa, jak za dawnych czasów, lecz nadęta, tak strasznie nadęta, że Pawlak i jego ministrowie robią wrażenie chorych na chroniczne zatwardzenie. Czas zająć się na serio nowym językiem nowej władzy, by potwierdzić słuszność uwagi Orwella: język, którym władza porozumiewa się z podwładnymi, psuje się nieuchronnie, kiedy rządzący albo nie mają nic istotnego do powiedzenia rządzonym, albo starają się ukryć to co myślą naprawdę. W naszym rodzimym wypadku jedno i drugie razem, ślepy trzyma się niewidomego, jak w słynnym obrazie Breughla.

Po przeciwnej, prawej stronie konfiguracji politycznej jeszcze gorzej, walka nastroszonych kogutów o utraconą niespodzianie grzędę, która pozwalała głośniej gdakać i jeżyć zwycięsko grzebień. Unia Wolności (okropna nazwa, podobno wymyślił ją Balcerowicz, bieglejszy w ekonomii niż w języku) rozbiegnie się niebawem po całym kurniku, liberałowie wrócą do zapładniania kur złotymi jajkami, najgłośniej i bez żadnych widomych rezultatów piać będzie dalej na wszelkie możliwe nuty Kaczyński, szkoda tylko Olszewskiego, z którego bieg wypadków zrobił przysłowiową śliwkę w przysłowiowym...

Czesław Bielecki przeniósł się z rodziną do Bartoszówki pod Warszawą, zbudował tam pomysłowy i wygodny dom, kupił kawał ziemi, codziennie dojeżdża ze wsi do swego biura architektonicznego w Warszawie. Jedziemy do niego na obiad z Boleckim. Umysł ma jak dawniej sprawny (szkoła „z celi do celi" nie poszła na marne), nie przestaje przy kierownicy perorować, ale każda jego celna uwaga upewnia mnie, że nie pasuje do niemrawego, leniwego sposobu uprawiania polityki w Polsce.

Na poobiednią kawę siostra Marii Bieleckiej, żony Czesława, przywiozła z Warszawy stryja, księdza Jana Twardowskiego. Ten niezwykły poeta i aforysta, łączący znakomicie ironiczny uśmiech z pogodą głębokiej wiary, był podczas mojego poprzedniego pobytu w Warszawie obłożnie chory, musiałem więc z prawdziwym żalem zrezygnować z odnowienia naszej przedwojennej znajomości. Odnowienia znajomości to za dużo, bo znałem go tylko z czytania. W piśmie młodzieży szkolnej *Kuźnia Młodych* prowadził już jako student stały poradnik literacki, uchodził bowiem na szczeblu młodzieżowym za wielkiego i dojrzałego konesera. Miałem chyba piętnaście lat, kiedy zdecydowałem się posłać do poradnika Jana Twardowskiego moją pierwszą w życiu nowelkę. Odpowiedź pamiętam do dziś, takich rzeczy się nie zapomina: „Kompozycja bez zarzutu, ale treść słaba i banalna". Ksiądz Twardowski z dobrotliwym uśmiechem pocieszał mnie po sześćdziesięciu latach, że odpowiedź była jak szklanka, dla niego do połowy pełna, dla mnie w połowie pusta. W rewanżu za dwa ostatnie tomiki z dedykacjami wpisałem mu dedykację: „Księdzu Janowi Twardowskiemu, który wprowadził mnie do literatury".

●

Początek czerwca, ostatnie dni w Warszawie.

Dość dobrze pamiętam nie istniejącą już kamienicę na Królewskiej. Wchodziło się na drugie lub trzecie piętro, mosiężna tabliczka na drzwiach, cisza za drzwiami. W solidnym mieszczańskim mieszkaniu państwa Liberów wynajmował mały pokoik na końcu amfilady Ludwik Fryde, nasz mistrz i nauczyciel. Przychodziliśmy do niego często — Król, Andrzejewski, Lichański, Sobierajski, ja — zażenowani, gdy wypadało przejść przez stołowy z rodziną przy kolacji. Łagodził nasze zakłopotanie Zdzisław Libera, magister polonistyki, kolega uniwersytecki Ludwika.

Zdzisław jest dziś emerytowanym profesorem polonistyki UW i prezesem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Z jego rąk otrzymałem, na uroczystości w Pałacu Staszica, dyplom honorowego członka Towarzystwa. O kamienicy na Królewskiej, o Ludwiku zamordowanym przez Niemców, myślałem słuchając bardzo wnikliwej i wyczerpującej prelekcji Profesora o moim pisarstwie. Odpowiedziałem garścią uniwersyteckich wspomnień polonistycznych. Przy długim stole siedzieli purpuraci warszawskiej polonistyki. Wiek wiekiem, a odruchy odruchami: trudno mi było chwilami nie widzieć w nich gremium egzaminacyjnego, tyle że z wyrazem przyjaznej życzliwości na twarzach, zamiast zwykłej surowości.

Z Pałacu Staszica przeszliśmy do pobliskiej siedziby KIK na Kopernika, gdzie Paweł Kądziela urządził promocję drugiego wydania mojego tomu *Wyjścia z milczenia* (Biblioteka *Więzi*). Promocja odbyła się szybko, liczni słuchacze chcieli rozmowy z autorem. Udało mi się więc wdrożyć już zamiłowanie do publicznego dialogu. Co więcej — niemal pewny byłem na podstawie pytań i sposobu ich stawiania, że uczestnicy zebrania w KIK wiedzieli sporo o moich poprzednich spotkaniach i dialog posunęli naprzód, do punktu w którym staje się on czymś więcej, niż tylko wymianą zdań.

W dwa dni później, spędziłem całe przedpołudnie na rozmowie z zespołem redakcyjnym *Więzi*. Doświadczenie niezwykłe, budujące w pełnym tego słowa znaczeniu. Redaktor *Więzi* Stefan Frankiewicz, mój przyjaciel od czasów gdy pracował w polskiej edycji *Osservatore Romano* w Rzymie, ma prawo być dumny ze swego inteligentnego i rozumnego zespołu. Miesięcznik, kiedyś zacny lecz nudnawy, należy dziś do czołówki polskich periodyków.

Po rozmowie z redakcją *Więzi* zjadłem na Krakowskim obiad z Marysią Ofierską i Włodkiem Boleckim. Mądra i szlachetna Marysia powiedziała w pewnej chwili: „Jaka krucho‑ść i dwuznaczność tego, co się dziś w Polsce robi". Wiedziałem, że zapamiętam to zdanie.

●

W przeddzień odlotu otworzyłem wieczorem telewizję. Trafiłem akurat na rozmowę z Prezydentem RP. Wałęsa zapowiedział, że zamierza zgłosić po raz drugi swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich i z samozadowolonym uśmiechem dorzucił: „Oczywiście wygram, bo zawsze wygrywałem, ale pod warunkiem, że politycy będą mi posłuszni". Ta przykra (i lekko komiczna zarazem) wysypka pychy budziła więcej politowania, niż jakichś realnych obaw; przypominała pogróżkę szefa bandy podwórkowej, który od swoich chłopców wymaga ślepego posłuszeństwa (polityka „podwórkowa" zresztą góruje w książce Torańskiej *My*). Wracałem z pociechą i nadzieją w sercu, że Wałęsa pozostanie taki do końca swojej kariery politycznej.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Zastój i żywioł

1.

Środek lata, polityka na wakacjach. Dzieje się tak mało, że jest czas pomyśleć. Najpierw o języku.

Opisy sytuacji w Polsce obfitują w słowa „reformy", „reformować", reformatorski", „proces reform". Mnogość takich terminów sprawia, że bezrefleksyjnie przyjmuje się obraz kraju, w którym wszystko jest w toku zmian. Wszędzie rusztowania, budowa wre, a nasi rządzący nic tylko pokrzykują jeden do drugiego „podaj cegłę". I podają.

Jest to obraz fałszywy; co więcej, jest on tendencyjnie sfałszowany. Polska nie tylko nie jest krajem w budowie, ale wprost przeciwnie, jest pod wieloma względami krajem w zastoju. To, oczywiście, wymaga sprecyzowania.

Otwarcie nowej epoki historycznej w Polsce w latach

1988-1989-1990 nastąpiło, jak wiadomo, przez odsunięcie barier. Zwolniona z ograniczeń wasalnej zależności została państwowość polska. Zwolniona z zasady, że rządzić muszą i tak komuniści, została polska wola polityczna... Wkrótce zresztą okazało się, że bariery są nie tylko odsunięte ale strzaskane: przestał istnieć ZSSR, przestała istnieć partia komunistyczna. Na tym nie koniec zwolnień. Uwolnione zostały ceny, uwolniona działalność gospodarcza i zarobkowa, ruch ludności w kraju i za granicę (liberalizacja przepisów meldunkowych, zniesienie wiz, paszport dla każdego). Uwolnione zostały gazety, wydawnictwa i nawet obyczaje. Wyliczać można by dłużej i coraz bardziej szczegółowo, ale już i tak widać o co chodzi. Kiedy zamiast stale mówić i pisać o „wolności" używamy słów „zwolnić", „uwolnić", „odsunąć bariery", pojmujemy natychmiast, że należy od razu pytać o infrastrukturę dla tych wszystkich nowych możliwości ruchu. Trochę tak jak przy otwarciu nowej drogi: przecięliśmy wstęgę, odsunęli zaporę, ruszają ludzie i pojazdy, ale czy tam dalej jest aby droga — i jaka? Innymi słowy, opiewanie wolności nie zastąpi troski o warunki korzystania z niej.

W Polsce mamy niebywały urodzaj na moralistów. Zamiast jednak nieustannego ględzenia o tym, że z wolności należy „korzystać odpowiedzialnie", potrzebne są infrastruktury dla tych wszystkich nowych swobód. Z tym zaś — jak po grudzie.

Fakt, że w pięć lat po przełomie kraj jest nadal bez konstytucji — i wygląda dziś na to, że długo tak jeszcze będzie! — sam w sobie ważny, można też uznać za symboliczny. Nie mamy konstytucji, ale nie mamy również nowych kodeksów, nowych uporządkowań systemów ubezpieczeń i opieki społecznej, zdrowia, oświaty. Nie wiemy, co robić z mecenatem państwowym, a co ze sponsoringiem prywatnym, czego oczekujemy od urzędników, a czego od samorządowców. I tak dalej. Wprawdzie izby ustawodawcze tłuką ustawę za ustawą, ale jest to z reguły prowizorka. I nie w tym rzecz, że teksty są pełne przeoczeń i niedoróbek. To jest w pośpiechu nieuchronne. Rzecz w tym, że znakomitą większość tych ustaw produkuje się zakładając milcząco ich tymczasowość, ponieważ ustawodawca nie ma żadnej wyraźnej wizji sytuacji, w których ustawy te będą stosowane. Na przykład wiadomo wprawdzie, że za jakiś czas (kiedy?) Polska będzie należeć do struktur zachodnich, zwłaszcza do Unii Europejskiej, gdyż to jest kierunek akceptowany, przynajmniej w ogólnym zarysie, przez wszystkie liczące się siły i obozy — ale ta wiedza czy też to pragnienie nie tylko tymczasowości nie łagodzi, lecz, wprost przeciwnie, potęguje ją i usprawiedliwia. Jest właściwie zdumiewające, że mimo coraz lepszej znajomości warunków zachodnioeuropejskich, stałych kontaktów na różnych poziomach i rosnącej liczby dobrze zorientowanych w sprawie fachowców, polska klasa polityczna nadal ma tak rozmazany, nieklarowny obraz przyszłej Polski zintegrowanej z Zachodem. Sam proces integracji zdaje się ona pojmować jako proces upodabniania, ale pytanie, do kogo raczej będziemy się upodabniać — do Wielkiej Brytanii czy do Francji, do Niemiec czy do Włoch, do Szwecji czy do Grecji — jest poza horyzontem polskiej myśli politycznej.

Mogłoby się zdawać, że przynajmniej prawicy uwaga ta nie dotyczy. Na wzór Henryka Goryszewskiego jej politycy już to zaklinają się na gaullistowską Europę ojczyzn, już to na brytyjskie koncepcje Europy zredukowanej do rozszerzonej strefy wolnego handlu, ale nietrudno dostrzec, że nie chodzi w ich ujęciu o koherentne idee, lecz o źle skoordynowane lęki. Toteż zwolennicy de Gaulle'a chcą się jednak jak najściślej zintegrować z NATO, ci zaś, którzy by ponoć chętnie ograniczyli unię do strefy wolnego handlu, niczego się tak nie boją jak właśnie wolnego handlu. Prawica rzeczywiście lęka się o tożsamość narodową Polaków, kiedy już nastąpi integracja z Zachodem, zeświecczonym i libertyńskim.

Wcale jednak nie przetwarza tych lęków na bardziej aktywny stosunek do przyszłej integracji, od której się przecież odżegnać nie chce. Henryk Goryszewski naprawdę nie jest ani de Gaullem ani nawet panią Thatcher, a polska prawica pozostaje wobec problematyki integracji z Zachodem równie pasywna jak pozostałe kierunki polityczne.

Zachowania klasy politycznej rzutują na tymczasowość całej właściwie sfery publicznej w Polsce. Znamy nieustanne od lat sukcesy w sondażach czterech instytucji publicznych: Kościoła, wojska, policji i... telewizji. Taki zestaw zdaje się świadczyć o zbiorowym obłędzie respondentów, ale myślę, że tłumaczy się dość prosto. Tylko te cztery instytucje życia publicznego reprezentują w oczach Polaków ciągłość i trwałość* i

* Może to dziwić w przypadku telewizji. Jeśli jednak za podstawowy element TV uznać prezentera dziennika i bohaterów serialu, rzecz się tłumaczy... Wszyscy oni odwiedzają nas codziennie o ściśle określonej porze i zawsze są dokładnie tacy sami jak wczoraj. Wnosi to w naszą codzienność kojące poczucie pewności i bezpieczeństwa.

wobec tego one właśnie zasługują na zaufanie w morzu tymczasowości.

Zastój zatem, o którym mowa na wstępie, odpowiada paradoksowi polityki, w której konserwatyści niczego nie konserwują, bo nic z przeszłości poza Matką Boską nie zasługuje w ich oczach na zachowanie; reformatorzy zaś niczego nie reformują, bo wszystko robi się i zrobi samo. Polska jest w tym znaczeniu krajem żywiołowego, konserwatywnego liberalizmu.

2.

Czytelnik, być może, pamięta, że obiecywałem (*Kultura*, 6/1994) napisać o tym, jak ze swego obowiązku uruchomienia polskiej wyobraźni wywiązuje się lewica, ta rządowa i ta opozycyjna. Poprzednim razem (*Kultura*, 7–8/1994) było o strategii dla Polski Grzegorza Kołodki.

Anglosasi nazywają ekonomię *the dismal science*, nauką ponurą i wredną. Jest ona przecież wiedzą o braku środków, których jest zawsze mniej niż potrzeb. Wicepremier Kołodko jest z pewnością ekonomistą całą gębą, nawet uśmiecha się jakoś krzywo. Podobno przedstawiciele MFW są nim zachwyceni. Lewicowość tego ekonomisty wyraża się rehabilitacją, przynajmniej w zapowiedziach, postulatu wzrostu gospodarczego. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, lub może raczej nauczony ich doświadczeniami Kołodko nie liczy na to, by można było nadal różnicować położenie materialne grup społecznych i poziom szans indywidualnych bez zahamowania (przynajmniej!) bezwzględnego spadku na dole skali. Wicepremier zamierza więc wykorzystać trochę z oczekiwanych nadwyżek na wspomożenie najmniej zarabiających — ale jednak zarabiających, ponieważ tym, których proces ekonomiczny (i własna niezaradność, dodaje się od razu) wyrzuca na dobre na margines, „Strategia dla Polski" nie ma nic do zaproponowania. Lewicowość Grzegorza Kołodki jest więc z tych najbardziej umiarkowanych, choć niewykluczone, że mimo marsowych min i zdecydowanych zapowiedzi będzie on w niejednym ulegał naciskom koalicyjnych grup interesów. Inaczej niż w czasach solidarnościowych ministrów finansów, zwłaszcza Balcerowicza, którzy musieli stawiać czoła co najwyżej „porywom serca" kolegów, nie dość cynicznych lub nie dość doktrynerskich by tak na zimno niszczyć własny elektorat, Kołodko napotka lepiej zorganizowane i nieraz bezwzględne *lobbies*. A opłacając się jednym, będzie też zmuszony świadczyć i drugim, w tym również związkom zawodowym... Ale to już temat na przyszłość.

Lewica opozycyjna obejmuje, z grubsza licząc, Unię Pracy i część dawnego ROAD-u zmajoryzowaną, ale nie roztopioną jeszcze w Unii Wolności*.

Mimo pewnej bliskości emocjonalnej — podobnej wrażliwości socjalnej — obie te formacje różnią się znacznie. Najlepiej uprzytomnimy sobie owe różnice sięgając znowu do osobliwości języka politycznego. Są dwa słowa bardzo na ogół niechętnie używane dziś w Polsce przez polityków i ich komentatorów, mianowicie: kapitalizm i reprezentacja interesów. W dziewięciu wypadkach na dziesięć, tam, gdzie wypadałoby powiedzieć lub napisać „kapitalizm", mówi się i pisze „gospodarka wolnorynkowa", natomiast „reprezentację interesów" zastępuje „demokracja". W ten sposób mamy w Polsce wolny rynek i demokrację jako zdobycze najzupełniej nieproblematyczne. Nie chodzi wszakże przy tych podstawieniach li tylko o unikanie ujemnych skojarzeń (np. prawie trzykrotnie więcej Polaków akceptuje wolny rynek niż kapitalizm). Sprawa polega przede wszystkim na rozmazywaniu znaczeń.

Mimo wskazanego zastoju w konstruowaniu infrastruktur społecznych uwolnione strumienie ludzkich inicjatyw i mechanizmy akumulacji stwarzają oczywiście coraz więcej faktów nieodwracalnych. Kapitalizm „buduje się" sam i sam wybiera sobie swój „dziki" model, jako najbardziej entropiczny. Otóż ta część lewicy opozycyjnej, której przewodzi Unia Pracy nie lubi mówić o kapitalizmie po prostu. Unia z lubością posługuje się argumentem, że są różne kapitalizmy; ona opowiada się za „kapitalizmem socjaldemokratycznym". Publikacje (nieliczne) tej partii obfitują w opisy tego modelu czy też jego fragmentów w różnych krajach. Brak, niestety, refleksji nad tym, jak od polskiej rzeczywistości przejść do konstruowania takiego modelu u nas i brak zwłaszcza zrozumienia, że każdy mijający rok z w ę ż a nasze możliwości wyboru i sprawia, iż po dojściu do władzy lewica autentyczna będzie zmuszona, chcąc realizować swój program, dokonać już nie korekty lecz przełomu. Im później, tym głębszego. Ale w takim razie, czy może ona w ogóle dojść do władzy w przewidywalnym terminie, jeśli mimo swego umiarkowania będzie coraz częściej uznawana za proponentkę rewolucji?

---

* Pomijam PPS-y, zarówno ten Mulaka i Osóbki-Morawskiego doczepiony do SLD jako *quantité négligeable*, jak PPS Ikonowicza, którego szans w związkach zawodowych nie potrafię jeszcze ocenić.

Ex-ROAD, zwłaszcza zaś jego najgłośniejszy przedstawiciel, Jacek Kuroń, nie ma takich jak Unia Pracy zahamowań w mówieniu o kapitalizmie. Jest on od dawna oswojony z „efektami obcości" w argumentach, zwłaszcza zaś z upodobaniem opisuje swym zwolennikom wszystkie „obiektywne trudności", ufny, zdaje się, że w ten sposób najlepiej ich zmobilizuje (tych, których trudności odstraszą, zapewne mobilizować nie warto). Natomiast całkiem niejasno wygląda u Kuronia kwestia reprezentacji interesów, z czym Unia Pracy nie ma trudności, deklarując wprost wolę reprezentowania w płaszczyźnie politycznej interesów „ludzi pracy najemnej". Kuroń chciałby, żeby ludzie „na dole" sami się organizowali po to, by „reformy" (czyli kapitalizm w budowie) im także przynosiły korzyść. Można nawet podejrzewać, że Kuroń w ogóle wątpi w cnoty demokracji przedstawicielskiej nie wspartej na „ruchu społecznym" czyli demokracji oddolnej i poniekąd bezpośredniej. Co, oczywiście, spotyka się z dwojaką krytyką. Najpierw ze strony liberalnych przyjaciół Jacka Kuronia, którzy podejrzewają, że cała ta koncepcja sprowadzi się ostatecznie do korporacyjnej rekonstrukcji państwa. Pamiętają oni, że to Kuroń właśnie wymyślił pakty społeczne, z których narodziły się komisje trójstronne, którym teraz konstytucja zaprojektowana przez NSZZ Solidarność i przyjaciół ze skrajnej prawicy chce przyznać kompetencje naruszające zakres władzy parlamentu.

Krytycy z lewa mają jeszcze głębsze wątpliwości. Kuroń bardzo wyraźnie unika wszelkiej klasowości. Ludzie dzielą się u niego nie według miejsc na skalach siły, majątku i prestiżu ale według tego, czy i jak radzą sobie w warunkach kapitalizmu w budowie i czy wobec tego dają posłuch raczej „przyjaciołom rynku" czy raczej „przyjaciołom ludu". Robi to wrażenie, że Kuroń uważa te warunki za być może niewesołe, ale nieuchronne, że zatem nie zamierza szukać żadnego innego modelu kapitalizmu poza tym, który robi się „sam z siebie". Zwraca uwagę, że najnowsze badania* ukazują wyraźny powrót klasowości w odczuwaniu i myśleniu Polaków (m.in. coraz silniejszy wpływ dochodów na poglądy ludzi, co akcentuje Kolarska-Bobińska). Pomysły Kuronia na pewno zmierzają do zahamowania tego procesu poprzez zabiegi,

* np. referowane przez Juliusza Gardawskiego w „Ewolucji świadomości robotników" (*Przegląd Społeczny* nr 18–19), czy Lenę Kolarską-Bobińską („Wy na górze, my na dole", *Gazeta Wyborcza* z 30–31.VII.94).

które krytycy z lewej uważają za socjotechniczne raczej niż polityczne. Na jakiej zasadzie i właściwie w imię czego ludzie mieliby samoorganizować się i wytwarzać ów ruch społeczny i uczestniczyć w nim? Żeby lepiej sobie radzić... każdy w pojedynkę, bo tak właśnie i tylko tak można radzić sobie w Polsce AD 1994. Czy aby nie jest to pomysł ze Szwejkowej anegdoty, jak dwaj faceci uczyli kota żreć musztardę: jeden pacnął go nią w pysk i został okrutnie podrapany, drugi zaś zaszedł kota od tyłu, zadarł mu ogon i chlapnął musztardą w tyłek. Kota zapiekło i sam sobie wylizał... Na takie podejrzenia i domysły krytyków z lewa Kuroń mógłby odpowiedzieć, że nigdzie przecież nie twierdzi, iżby trzeba akceptować aktualny stan rzeczy, owo „każdy w pojedynkę". Wprawdzie samoorganizacja, którą Kuroń propaguje od czterech lat z wielkim poświęceniem (Fundacja SOS), nie wychodzi dotąd poza działalność charytatywną i takie pokazowe i rozgłośne akcje jak konwoje „Equilibre" do Sarajewa i Kazachstanu, ale nie jest z góry wykluczone, że samoorganizacja i ruch społeczny mogą przekroczyć ten poziom i oddziałać na kształt ustroju, wybór modelu. Ostatecznie, realny socjalizm z Komitetem Samoobrony Społecznej KOR nie był już tym samym co bez niego. Czy dziki kapitalizm można korygować tym trybem równie skutecznie jak socjalizm sklerotyczny?

W nadchodzących miesiącach oba odłamy lewicy opozycyjnej będą musiały odpowiedzieć na zreferowane tu wątpliwości i zorientować się w toku tej pracy, czy skłonne są do współdziałania i w końcu do trwalszego aliansu.

3.

Jacka Kuronia z Unią Pracy łączy jeszcze jedno podobieństwo. Unia Pracy w badaniach sympatii zajmuje wśród polskich partii politycznych drugie miejsce tuż za PSL i jest zdecydowanie na pierwszym w ankiecie Gallupa, pytającej, która z partii powinna mieć większy wpływ na sprawowanie władzy (35 % wskazań wobec 26,1 % na drugi z kolei SLD). W tejże ankiecie na podobne pytanie o rolę polityków Kuroń jest drugi (33,9 % wskazań, dość daleko za prof. Zielińskim, rzecznikiem praw obywatelskich — 44,6 %). Kuroń jest też nieodmiennie we wszystkich sondażach politykiem bardzo lub najbardziej lubianym i, o dziwo, wyborcy prawicy niewiele się w tym względzie różnią od innych. Kuroń jest w mniejszości we własnej partii i przegrawszy kolejne spory wewnątrzunijne zdystansował się od nowych władz stronnictwa i ulokował na marginesie. Unia Pracy nie potrafiła

skapitalizować dobrej opinii i sympatii, jakimi się cieszy, i w wyborach samorządowych była prawie nieobecna: nie umiała ani wystawić kandydatów, ani przeprowadzić kampanii...

Istnieje więc w obu wypadkach, polityka i stronnictwa, podobny kapitał szans i podobne ich niewykorzystanie. W Warszawie, kiedy z niej wyjeżdżałem na wakacje, jednym z najlepiej przez wyjadaczy politycznych obgadanych projektów był „Kuroń na prezydenta". Kiedy jakiś pomysł wisi w powietrzu, trudno jest wskazać autora. W każdym razie, Adam Michnik i Karol Modzelewski byli, niezależnie od siebie, w pierwszej piątce. Otwarcie poparli tę ideę: Zofia Kuratowska z b. frakcji społeczno-liberalnej w UD, Władysław Frasyniuk i Barbara Labuda z UW i Zbyszek Bujak z Unii Pracy. Prasa traktuje otwarcie Jacka Kuronia jako prawdopodobnego kandydata Unii Wolności, co zresztą wydaje się zupełnie niemożliwe, jeśli brać na serio, co sam zainteresowany pisze teraz tydzień po tygodniu na łamach *Gazety Wyborczej*: lewicujący Jacek Kuroń nie może być kandydatem ani liberałów z b. KLD ani grupy Rokity-Suchockiej, ani Tadeusza Mazowieckiego i jego przyjaciół. Łączenie jego ewentualnej kandydatury na prezydenta z Unią Wolności jest innym sposobem zapowiedzi, że partia ta się rozsypie.

Sam Kuroń parokrotnie deklarował publicznie, że nie jest kandydatem, ale nikt tego nie potraktował poważnie. Natomiast z licznych wypowiedzi o potrzebie oddolnego „ruchu społecznego", wyjadacze wnioskują, że Kuroń na pewno nie zamierza być kandydatem żadnej partii, ani własnej ani np. Unii Pracy. Jeśli w ogóle, to będzie to kandydatura „otwarta"... Kandydatem „otwartym" będzie też Lech Wałęsa.

Gdyby dzisiejsza lewica opozycyjna dogadała się w wymienionych tutaj kwestiach i postanowiła wykorzystać okazję wyborów prezydenckich w 1995, lansując kandydata tak zarazem popularnego i nietuzinkowego jak Kuroń, miałaby realne szanse wejścia do drugiej tury. Wtedy mogłaby zaś uzyskać niespodziewane wsparcie. Albo elektoratu prawicy kościelnonarodowej, gdyby kontrkandydatem był Kwaśniewski lub ktoś inny z SLD, albo elektoratu SLD, gdyby do drugiej tury wszedł np. Wałęsa. Nie byłyby te głosy darem bezpiecznym. Może nawet okazałyby się koszulą Dejaniry. Ale niekoniecznie...

Warszawa, 1 sierpnia 1994

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

To już pięć lat! Pięć lat, przepraszam za słowa, wolności i demokracji.

Biorę udział w programie telewizyjnym — „Solidarność", po pięciu latach, co zostało? Poczucie, że nie można tu nic mądrego powiedzieć, bo coraz mniej widać czy cokolwiek jeszcze zostało. Kilku biorących udział w programie mówi, że nie zostało nic.

Dwa złudzenia — wtedy, że było tak podniośle, czysto, pięknie. Dzisiaj — że jest tak obrzydliwie. Ani wtedy nie było tak pięknie, ani dzisiaj nie jest tak obrzydliwie.

Bronię już tylko jednego — wtedy było wiele ruchów moralnych, odruch prawdy, odruchowe czucie, że dalej w takim kłamstwie nie da się żyć. Sierpień roku 80 — prosta kobieta w kolejce elektrycznej, którą dojeżdżałem do strajkującej stoczni, mówi mi — „może być głód, bieda i brud, byle już dłużej nie żyć w tym kłamstwie". Mijaliśmy właśnie mury stoczni, gdzie stały i siedziały pikiety strajkujących, a malowane hasła na murach mówiły najbardziej banalnymi słowy o wolności i prawdzie, ale ani jedna z pokracznie pisanych liter nie była banalna, bo mur zdawał się zrobiony z żywego mięsa.

Czy dzisiaj rozmnożyły się odruchy niemoralne, np. odruch mieć, za wszelką cenę, nawet za cenę prawdy wtedy tak cennej, dzisiaj tak łatwej, więc bez ceny. Ale czy ten właśnie odruch nie jest źródłem sukcesu kapitalizmu, a namiętności posiadania czy nie są jedyną szansą by wydzielić taką ilość adrenaliny w naszym zbiorowym organizmie, żeby wypchnąć Polskę z odchodów komunizmu i ruin historii na nową drogę? Ale kiedy już na niej staniemy, jaki obraz własny ujrzymy w lustrze? Czy będziemy mieć ochotę by malować tej gębie usta i golić zarost?

Tygodnik *Wiadomości Kulturalne* reklamuje się na wszystkich możliwych słupach ogłoszeniowych Warszawy, a i na trasach dojazdowych również (te trasy dojazdowe to dzisiaj jakieś przedziwne połączenie resztek socjalizmu z gwałtownym nowotworem kapitalizmu, skrzyżowanie Europy i Azji, a i skrawek XIX wieku się zdarzy). Na stworzenie *Wiadomości* przeznaczono kilkadziesiąt miliardów złotych z państwowej kasy, a więc z naszej kieszeni, a sięgnął do niej

pewną ręką minister kultury Kazimierz Dejmek. Ministrowi sprawia sadystyczną przyjemność pokazywanie języka środowiskom, którym jako minister ma służyć.

Wiadomości spowodowały wielką konfuzję środowisk artystycznych. Nie dosyć, że sztuka została przez wolność położona na łopatki, chwytem prostym i zdecydowanym, to jeszcze otwiera się pismo, jak oazę pełną jadła i wody na pustyni. A tam gościnnym gospodarzem jest nie kto inny jak K.T. Toeplitz, piewca oświeconego sowieckiego socjalizmu. Polubiłem go od pierwszego wejrzenia gdy lat temu kilka miałem przyjemność go poznać. Jego felietony dzisiaj są zwykle, choć nie zawsze, bliskie drgnieniom mojej duszy. Też jestem liberałem, z lekkim zabarwieniem socjaldemokratycznym, nie ciągnę jednak za sobą konformistycznego ogona. Moją bazą był bunt przeciw komunizmowi, strasznej chorobie XX wieku. A „postępowi" zwolennicy komunizmu, wydawali mi się wyjątkowo niebezpieczni, bo legitymowali swoim „liberalizmem" również ciemną stronę systemu. Z felietonów KTT pisanych przez lat kilkadziesiąt można zrobić naszyjnik, który nosić mógłby światły opozycjonista, ale równie dobrze sowiecki namiestnik nadwiślańskiej prowincji.

Jest w Polsce — mimo dramatycznych braków kadrowych — kilkanaście osób, które mogłyby prowadzić taki tygodnik nie gorzej niż Toeplitz. Widać to szczególnie wyraźnie teraz, gdy ukazało się już kilka martwych numerów. Bo zrobienie dzisiaj takiego pisma do czytania jest prawie niemożliwe nawet w warunkach ogólnej życzliwości artystycznych środowisk, bo nawet gdy życzliwych to jakże chudych, zaś w sytuacji bojkotu nawet cząstkowego jest to niemożliwe. Z kija nie chce nic kapać i koniec.

Tradycja bojkotu wkracza na teren już wolnej Polski. Bojkotowano w różnych czasach różne pisma literackie. I te bojkoty były całkiem szczelne. Ale to tyczyło jedynie niewielkiej grupki światłych intelektualistów. Bojkot uzyskał nowy powszechny wymiar i zszedł do mas w czasach stanu wojennego. Były miasteczka gdzie za namową podziemnych pism ludzie wychodzili na demonstracyjne spacery podczas dzienników telewizyjnych. Czy nie jest to wzruszające — demonstracyjny spacer, z żoną pod rękę i to oglądanie się wzajemne, kiedy z góry patrzy łaskawe oko Wielkiej Sprawy. Aktorowi Mikulskiemu do dziś łka coś w ściśniętym gardle gdy wspomina co czuł kiedy publiczność wyklaskiwała go w czasie spektakli. Aktor ze swej istoty cały jest zrobiony z akceptacji publiczności, więc aż dziw, że wtedy nikt na scenie od tego nie umarł. Listy kolaborantów były początkiem zwyrodnienia bojkotu, bo moralność zawsze gnije kiedy robi się z niej instytucję. A zbyt długo nie zmieniana podszewka piewców wolności nasiąka poczuciem lepszości, a sądy moralne zaczynają być nagle używane bardziej by siebie wywyższyć, niż egzekwować sprawiedliwość.

Słabość naszej literatury, obnażona przez pięć lat wolności. A młodzi? Ich talent rzadko ma długie nogi, a bioderka są z reguły za wąskie. Tworzą dzisiaj czasami nowe pisma, nawet ciekawe, ale wyraźnie niedojrzałe. Pytali mnie kiedyś o zdanie dając do lektury swe nowe pismo. Z trudem powiedziałem o tym swoim wrażeniu chaosu i niedojrzałości. W czasach mojej młodości to ostatnie byłoby straszną obelgą, patrzę, a oni są właściwie zadowoleni. Przyznają, że są trochę niedojrzali i właściwie cenią sobie tę własną niedojrzałość. Ciekawe, że podobnie wypada cała młodzież w różnych badaniach — nie chcą być dorośli, a zarazem w wielu sprawach są o tyleż bardziej dorośli niż my przed laty. Kiedy mój syn oświadcza mi, że wybiera kierunek studiów z powodów praktycznych, to próbuję się nie zdziwić, a już na schodach, gadam do siebie... to pewnie on jest mądry a ja byłem głupi, przez tyle lat zajmowałem się szaloną ideą i mrzonką o wolnej Polsce, zamiast na przykład zbierać pieniądze na porządne mieszkanie. A mój mały synek, 1 metr 86 centymetrów, idzie na prawo z powodów praktycznych. Zabrał się do walki o te studia niezwykle poważnie jakby szedł na wojnę i wygrał. Ta młodzież to wielcy olewacze, nie ma dla nich żadnych autorytetów, ale i łatwej pogardy też nie ma, jest za to jakiś ukryty strumień powagi o bardzo praktycznych brzegach.

W Muzeum Narodowym otwarto wystawę prac malarstwa współczesnego, to prezentacja zbiorów zgromadzonych w magazynach Muzeum.

Za każdym razem dziwi mnie idiotyzm otwierania imprez. Zdziwienie jednak przykrywa szczelnie uczucie ulgi, że to już nie ja muszę wystawę otwierać. Wernisaże mają to do siebie, że ogląda się tam przede wszystkim twarze i plecy, najmniej dzieła sztuki, bo nie ma na to miejsca i czasu. Rzeźbiarka Basia Zbrożyna cała strapiona, że jej gipsowe anioły przypominające połacie białego mięsa powieszono za nisko. Zgadzam się, że anioł szczególnie mięsny nie może wisieć nisko. Zbrożyna, tyle wspomnień z okresu karnawału

„Solidarności" kiedy pracowaliśmy razem w Regionie Mazowsze, i nareszcie, ktoś nieustannie bardziej strapiony ode mnie. Poprzez plecy i twarze, ileż zmienionych, oglądam wystawę, która jest siekaną sałatką, gdzie skrawki pomidora przekomarzają się z oliwkami, a wszystko polano farbami. Straszny chaos, wiele prac średnich, na dodatek źle wyeksponowanych. I uderzające, jak marnie starzeje się malarstwo awangardowe.

Będąc niedawno gościem poetyckiego festiwalu w Malmö, szedłem wybrzeżem patrząc w dal na samoloty, które jak owady lecą w tarczę zachodzącego słońca po drugiej stronie cieśniny nad kopenhaskim lotniskiem Kastrup. Na płaskich łąkach schodzących jak łagodny baranek o zielonej sierści do morza trwa idylliczny festyn, w kramach siedzą higieniczni sprzedawcy, higieniczne małe gimnastyczki kręcą w powietrzu salta na tle błękitnej wody, a dorodna, jasnowłosa i wymyta młodzież gra w baseball i piłkę nożną. Zbyt wiele czasu spędziłem w tym kraju zaglądając również na jego zaplecze, gdzieś w okolice potylicy, abym uwierzył, że to cała prawda o Szwecji.

I oto ujrzałem na brzegu przepiękną dużą rzeźbę, otoczoną gronem rzeźb mniejszych a mniej interesujących. Rzeźba miała kształt wielkiego głazu, w pierwszej chwili nawet myślałem, że to głaz prawdziwy. Powłoka była jednak metalowa, odpowiednio formowana i zabarwiona, a całość spięta wspaniałą pointą w postaci zwykłej kłódki. Czyli rzeźba kamienia zamkniętego na kłódkę. Wielkie dzieło!

Co za szok przeżyłem gdy okazało się, że to zwykły obiekt wojskowy, czyli brunatny bunkier, a powłoka metalowa udająca kamień jest dla zmylenia oka wroga.

Plastyka nowoczesna zacierając granicę między sztuką a rzeczywistością, bardzo wiele ryzykuje poddając samą siebie w wielką wątpliwość, skazując na fatalne starzenie się. Ale zarazem ma za obronę uwrażliwienie właśnie na chaos rzeczywistości, z którego nauczone oko wyłowi skrawki sztuki. Tak ja wyłowiłem kamienny bunkier, który zapewne nie poruszyłby mnie swym kształtem, gdybym nie był uprzednio brany na tortury nowoczesnej plastyki.

Nuda naszej polityki, czy wskazuje to na znormalnienie naszego życia? Raczej myślę, że nasze życie polityczne ma psychozę maniakalno-depresyjną. Teraz jest faza depresji, dlatego jest nudno, ale czy normalnie?

Faktem jest zła kondycja partii politycznych, czyli początki rozkładu KPNu, lekkie odchylenia psychiczne Unii Pracy, koprofagia PSLu. A Unia Wolności, czyli małżeństwo

„Unii" z liberałami? Są już od wielu miesięcy w jednym łóżku, a jak się zdaje wynika z tego przede wszystkim bezsenność, bóle głowy, i wewnętrzne spory. Zaś prawica próbuje się do siebie tulić, ale zawsze im coś ostrego z kieszeni wystaje — często szuka się skomplikowanych tłumaczeń, a one są pod bokiem. Nasza prawica jest chyba po prostu niemądra, a cała reszta jest tego pochodną.

A ludzi to już nic nie obchodzi, mnie też prawie nic. Emocje tak zaklęsły, że nie było nawet sensacji gdy parlament obalił w głosowaniu ustawę antyaborcyjną. Tylko księża z ambon mówią o sztylecie, który nasz parlament wbija w serce Chrystusa. Spisek postkomunistów materializuje się na ambonach naszych kościołów a potem następuje atak na antykoncepcję.

W niedzielę rano dzwoni do mnie znajoma, załamana po ostatniej mszy, bo w dziedzinie antykoncepcji grzeszy śmiertelnie stosując pigułkę, oraz miewając kontakty erotyczne bez sakramentu.

Z punktu widzenia mojego liberalizmu to doprawdy okropne, że Kościół rusza do krucjaty właśnie na te rejony, które są oazami zdrowego rozsądku na wrzodowatym tyłku postkomunistów.

„Kościół chce pokoju, ale Kościół nie boi się również wojny", oświadcza Prymas, po blokowaniu przez Sejm prac nad konkordatem. Nie mam zdania na ten właśnie temat, jestem natomiast zmęczony życiem w strachu, że zajdę w ciążę. Zarazem jednak myślę, że aborcja nie powinna być środkiem antykoncepcyjnym, co w Polsce jest nadal powszechne, również dzięki wytrwałej walce Kościoła ze środkami antykoncepcyjnymi i podręcznikami uświadamiającymi w szkołach. W komunikacie ostatniej Konferencji Episkopatu Polski oświadczono: „Ze szczególnym niepokojem Pasterze Kościoła obserwują tendencyjne działania, które z pominięciem wielowiekowej narodowej tradycji usiłują programy wychowania do życia w rodzinie zastąpić tzw. edukacją seksualną".

Fakt jednak, że nikogo to wszystko już zbytnio nie ekscytuje. Tak złe jak i dobre ekscytacje pochowały się jakby po kątach.

Biskup Życiński, po Konferencji Episkopatu Polski, mówi, że zaskoczeniem dla niego jest „bierność społeczeństwa, brak optymizmu i wiary w sens działania". Zaś arcybiskup Muszyński, że wręcz odkryciem dlań jest „jak głęboko sięgają rany zadane świadomości czy sumieniu chrześcijańskiemu przez system totalitarny".

Rany są głębokie, to prawda, ale mylą się one często naszym Pasterzom ze zmianami cywilizacyjnymi i obyczajowymi, które są nieuchronne.

Brak energii do wspólnego działania jest wszędzie. Nawet nasi homoseksualiści, co tak rześko na progu wolności zabrali się do samoorganizacji, oklapli dzisiaj zupełnie i, jak kiedyś, wolą raczej się nie ujawniać. Działają jednak w Warszawie i w kilku innych miastach bary dla gejów i lesbijek, jeszcze nieśmiałe i nieliczne. I chociaż łatwo dostać w głowę jak się stamtąd wychodzi, to nie ma przeciw nim jakiejś krucjaty.

Miałem ostatnio sporo kontaktów z homoseksualistami, (nie mylić z kontaktami homoseksualnymi), bo pomyślałem, że warto ten temat poruszyć w prasie, jak się porusza kolejne zastygłe bajoro. Na wstępie moich kontaktów zostałem obsztorcowany, że należy mówić nie *homo* a *gej*, bo to ostatnie słowo jako u nas nowe nie jest nasiąknięte negatywną tradycją. Słusznie.

Przeprowadziłem ankietę wśród uczniów liceów w Warszawie i w Toruniu, oraz w szkole zawodowej, na temat stosunku do homoseksualistów. Bardzo mnie porusza taki sposób badania czucia naszej młodzieży. Co byłoby niemożliwe z dorosłym, jest możliwe z młodzieżą. Mniej mają póz i narośli, silne poczucie, że na zadane pytanie się odpowiada, zaś anonimowość ankiety i nieocenianie tych prac wyzwala coś w rodzaju bezładnego strumienia świadomości.

Kiedy przeglądam te wyrwane z zeszytu kartki zapisane przez dziewczęta pismem kształtnym i równym, przez chłopców bardziej chropowatym i niecierpliwym, to mam wrażenie, że dotykam skrawków surowego mięsa. Bardzo to serdeczne mięso.

Uczniowie liceów z Warszawy i Torunia mówią jednym głosem, jakby wychodził on z tego samego ciała. Ten niemal jednogłośny chór zaniepokoił mnie, bo jak to możliwe? Więc z ulgą przyjąłem odpowiedzi uczniów warszawskiej szkoły zawodowej, już bardziej ciemne. To dwa różne światy. A przecież nie uwierzyłbym w jednorodną Polskę, bo już wiemy, że ona bardziej podzielona i różna niż nam się zdaje.

Pytałem uczniów czy mogliby zaprzyjaźnić się z *homo*, pytałem czy są za małżeństwami i adopcją dzieci przez gejów, i w końcu jak widzą polskie społeczeństwo?

Ponad 90 % pytanych uczniów liceum w Warszawie i w

Toruniu uważa, że mogłoby zawrzeć związek koleżeński czy przyjacielski z homoseksualistą. Czasami mają problemy, ale dzielnie walczą o swoją tolerancję. O wiele więcej niż połowa jest za prawem do małżeństw. Ogólny ton tych prac z pewnością nie odbiegałby od ankiety przeprowadzonej w San Francisco czy w Danii. Obszerne motywacje swoich poglądów ujawniają szeroki czysty strumień dobrych intencji i doprawdy otwarte głowy.

Uderza natomiast postrzeganie polskiego społeczeństwa jako bardzo nietolerancyjnego. Tu zgodność jest niebywała, nawet obarczeni uprzedzeniami to przyznają. Często zdarzają się nawet tak surowe oceny: „Nietolerancja jest największą cechą Polaków". Uczennica pisze: „Polacy nie są tolerancyjni, i to nie tylko wobec homoseksualistów, z objawami niechęci, czy nawet agresji spotykają się wszyscy różniący się ludzie, Murzyni, Żydzi, a nawet sąsiad który kupił sobie nowy samochód". Inny głos: „Polacy nie są tolerancyjni. A przecież to kraj chrześcijański i naprawdę nie wiem skąd w ludziach tyle zła, nienawiści i wrogości do drugiej osoby?". I tak dalej i tak dalej... niesamowite!

Oczywiście brak głosu małego miasteczka i wsi, nie pozwala na wnioski ostateczne. Wydaje się jednak, że mamy do czynienia z wielką zmianą generacyjną w kierunku liberalnym. Dlatego straszenie polskim ciemnogrodem jest raczej nieporozumieniem, a groźba, że nas miastowych zje prowincja, też chyba nierealna. Natomiast faktem będzie pogłębiający się rozziew między liberalizmem młodzieży i części inteligencji, a konserwatyzmem Kościoła i prawicową ksenofobiczną frustracją, która w antyliberalnym usztywnieniu znajdzie lekarstwo na zlepienie popękanego kręgosłupa.

Wybory samorządowe w Polsce budzą nieco emocji na prowincji, bo tam są konkretne sprawy pod bokiem do załatwienia, a w miastach obojętność czy nawet irytacja. Gdy kandydaci na radnych zachwalają swe programy, budzi to przede wszystkim złość, co słyszałem w sklepach, gdzie bywa otwarte radio. Ludzie dogadują, „a rury ciekną, a brudne są podwórka", jakiś rzemieślnik stojący obok mnie przy ladzie psioczy — „gadają, gadają, a rzemiosło podatkami mordują". O tak, nie ma odruchu brania spraw we własne ręce. Ludzie chcą żeby pracowały jakieś idealne ręce sterowane przez ich własne pragnienia i uczucia. Każdy przyzna, że nie jest u nas lekko, bo „przecie wiadomo jakie jest nasze społeczeństwo". Sam mówiący te słowa stawia się jakby ponad chorym, spar-

szywiałym społeczeństwem. I tak wszyscy biją się w cudze piersi.

Jeśli to jest bitwa o decentralizację władzy w Polsce, jak się to czasami nazywało... to jest to najnudniejsza i najmniej emocjonująca bitwa z możliwych do wyobrażenia. Sam zmuszam się do ruszenia na wybory, ale nadal nic nie wiem o kandydatach. Pytam syna na kogo mam głosować, do czego to doszło, i z wielkim trudem zmuszam się, by pójść do przedszkola, gdzie tradycyjnie w moim rejonie mieści się punkt wyborczy. Przedszkole — bardzo odpowiednie miejsce na wybory w Polsce. Kiedy dostałem kolorowe karteczki do głosowania poczułem, że pot rzęsisty rzucił mi się na czoło. Miłe panie nieświadome mej męki uśmiechają się zza wyborczego stołu, może jak w szkole przyznać się do nie odrobionej lekcji, ale wygrzebałem z pamięci rady syna i podkreśliłem to i owo. Spełniwszy ten obywatelski obowiązek oddaliłem się z wyraźną ulgą. Z kim potem nie rozmawiałem, każdy miał podobny ambaras. Wyniki nie są zaskakujące — postkomuniści nieco stracili, ale niestety niewiele, najwięcej zyskała prawica zjednoczona chyba z konieczności, a posiniaczona przez porażki, przez co jakby nieco bardziej trzeźwa, ale zapewne do pierwszego kieliszka sukcesu.

Jestem w warszawskich sądach. Jezus Maria, ale budynek! Winien tam u bramy wisieć napis — „ci co wchodzą niech w szatni zostawią wszelkie nadzieje". Te labirynty obrzydliwych korytarzy pachnących lizolem, te brunatne korytarze były metaforą dawnej Polski, ale nowa je odziedziczyła.

Moja sprawa, wstyd powiedzieć jaka, zaczęła się jednak śmiertelnie punktualnie. Pani sędzina miała do pomocy dziewczę praktykujące. Ilekroć coś ważnego załatwiam w RP, to trafiam na praktykantów co się uczą. Cała Polska tak się uczy. Dziewczę było coraz bliżej granicy płaczu i nerwowego załamania, zaś oszalałe spojrzenia rzucane w kierunku drzwi wskazywały gdzie widziało dla siebie ratunek. Więc pani sędzina dodawała jej otuchy, a na nas spoglądała znacząco — takie czasy. Na koniec dała do zrozumienia, że do następnej sprawy nie wiadomo czy będzie jeszcze jakiś sędzia w Wielkim Urzędzie, bo ludzie uciekają od tego niewdzięcznego zawodu — takie czasy.

Remont mieszkania kosztował mnie sporo, również zdrowia. Niebacznie uwierzyłem, że teraz wszystko idzie sprawniej. Gdzie tam. Wszyscy znajomi co remontują, rwą

włosy z rozpaczy. Jest w tym jakieś szaleństwo i jest historyczne niechlujstwo. W Polsce były rwane wszystkie tradycje, oprócz jednej, tradycji niechlujstwa.

Ci majstrowie nawet są łebscy, ale nie mogą dojść do ładu z czasem. Gdyby pracowali poza nim, wszystko byłoby w porządku. Nigdy nie potrafią oszacować swych sił i terminów. Biorą kilka robót naraz, szczerze przekonani, że dadzą radę, a nie dają. Pracując w zespole włażą na siebie, to coś pogwarzą, to zagryzą. Nagle znikną na kilka dni, a pojawią się z powrotem jakby nigdy nic. Całkowita nieodpowiedzialność. Przy tym nawet im przez myśl nie przejdzie, że termin to też część dzieła, więc za opóźnienia winni być karani.

Ale przy tym partactwie, ci ludzie ujawniają też różne talenty, zwykle nie spożytkowane. I żadnego zmysłu pracy zespołowej. W tej totalnej nawalance nie ma złej woli, ale jest jakaś niemożność. Obserwując taką dzielną brygadę, zagadka polskiego zaniedbania wykracza poza socjalizm i staje się dosyć oczywista.

W trakcie tego nieszczęsnego remontu byłem na planie z telewizyjną ekipą. I tam działo się dokładnie to samo. Wyjechaliśmy z Warszawy z godzinnym opóźnieniem, wróciliśmy z kilkugodzinnym, na które pracowały dziesiątki rozmaitych niesolidności kolejnych ogniw.

Ekipa telewizyjna opowiada mi, że w telewizji coraz większy bałagan, bo nowi szefowie nie mając pojęcia o tej wielkiej machinie mają różne pomysły, czasami daj im Panie Boże szlachetne, ale nie wiedząc jak mechanizmy funkcjonują, niszczą różne tryby. I tak jest we wszystkich wielkich urzędach.

Mój fryzjer, który wielekroć zaskakiwał mnie trafnymi diagnozami politycznymi, oraz sceptycyzmem z bardzo polskim gorzko kwaśnym zabarwieniem, ma zarazem na sobie kołtun ksenofobii, co też niestety powszechne. Zdumiewające jest w tym kraju przemieszanie racjonalnego sceptycyzmu, z nagłym zawijasem głupoty i spiskowego myślenia. Ten racjonalny bagaż na szczęście krępuje ręce spiskowemu myśleniu, więc z reguły jest tylko gadaniem a nie działaniem.

Oto jest właśnie strzyżona moja głowa. Mało jest sytuacji, gdy człek jest zmuszony by tak bezlitośnie sam sobie patrzeć w gębę. Moja nie moja, nie mogę się przyzwyczaić, a myślałem, że mnie czas nie dotknie. I w trakcie rzezi włosów, gdy próbowałem dojść do ładu z własnym obliczem, jak triumfalny okręt żaglowy kanałem radiowym napłynęła infor-

macja o aresztowaniu w Szwajcarii słynnego Bogusława Bagsika, jednego z twórców słynnej afery z Art B. Nadal nie ma w naszym kraju zgody, czy to byli najgenialniejsi w Polsce ludzie interesu, którzy wykorzystywali pewien ukryty mechanizm bankowy, czy okrutni aferzyści. Bagsik i Gąsiorowski uciekli z Polski i są obywatelami Izraela. Teraz mówi się o ekstradycji Bagsika do Polski, gdzie zresztą od miesięcy trwa proces wokół spółki Art B.

Na wiadomość o tym zatrzymaniu fryzjer aż podskoczył ze szczękającymi nożyczkami. Po czym odbył z drugim fryzjerem polityczną naradę — wnioski — jeśli wywiozą tego Bagsika ze Szwajcarii do Polski, a nie przypadkiem był przedtem w Izraelu, i jeśli zrobią mu proces, to jest rzeczą oczywistą, że wszyscy nasi wierzyciele, którzy są powiązani wiadomo z kim... od razu każą nam płacić wszystkie długi bez zwłoki, a tego polska gospodarka nie wytrzyma.

Moje pytanie do psychoterapeuty lub psychiatry — do czego tylu Polakom potrzebna jest wiara, że nasz los nie jest w naszych rękach?

Jestem świadkiem dyskusji redaktorów naczelnych kilku czołowych polskich dzienników. W sali tak gęsto od papierosowego dymu, że można powiesić w powietrzu długopis i nie spadnie. W jakimś sensie oddaje to atmosferę, w której żyje nasza prasa. Poczucie, że redaktorzy właściwie nie wiedzą dla kogo pismo robią i nawet ich to za bardzo nie interesuje. Mają solidarne poczucie (bardzo osobliwe w świecie, gdzie żywy jest slogan, że kto ma *mass media* posiada władzę), że wpływ tego co piszą jest minimalny na świadomość. Czołowe dzienniki *Gazeta, Rzeczpospolita, Życie Warszawy* są silnie antykomunistyczne, ale spora część ich czytelników głosuje na postkomunistów. Czyli poczucie, że świadomość społeczna jest na ruchomych piaskach. Powodem jest chyba nie tylko zagubienie ludzi, bo jeśli zagubieni to winni szukać pomocnej dłoni, istotne jest chyba zniecierpliwienie walką o przetrwanie, któremu towarzyszy przekonanie „ja wiem lepiej". Zakorzeniły się u nas w głowach rozmaite niespójne rośliny i rosną, a liberalnymi dziennikami podlewa się te krzewy, które powinny na zdrowy rozum od razu zmarnieć od takiego płynu, a one się krzewią. Bardzo to osobliwe.

Uderza też wielka niechęć wzajemna, głównie tytułów postsolidarnościowych, niby Wersal, ale każdy na każdego okiem czujnie łypie i pilnuje miękkich części organizmu.

Krótka burza w szklance Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ta szklanka ma brzegi nadal obrosłe błotem dawnych czasów, a ów nagły kontratak starej nomenklatury ujawnia jak żywotna jest ta gadzina. Dawna nomenklatura w ramach sejmowej komisji spłodziła raport z aneksem, który ma charakter donosu. Oto fragment o nowej dyplomacji.

„Są to jednak w większości krajowi „frustraci" wszelkiej maści, ludzie z silnym, negatywnym stosunkiem do lewicy...". Prawdziwą radość przyniósł mi zwrot „wszelkiej maści", ulubiony zwrot komunistycznej propagandy.

W raporcie uderzają szczególnie słowa: „pseudodyplomaci i Polacy", a więc można rozumieć „pseudo-Polacy". Wyjaśnienie w raporcie: „Chodzi o przedstawicieli rodzin arystokratycznych oraz nośnych w naszych warunkach nazwisk jak np. Szapiro". Tu już mamy do czynienia z parawisk jak np. Szapiro". Tu już mamy do czynienia z paranoją. Kompleks antyinteligencki znamy z czasów komunistycznych, tyle lat minęło, takie zmiany, a ten kompleks ocalał. A te „nośne nazwiska w polskich warunkach", to nagły smrodek antysemityzmu, jak zwykle lekko owiniętego w jakąś szmatkę.

Nazwisko Szapiro kojarzy mi się dyplomatycznie z Włochami. Kiedy na terenie Watykanu nie patrząc na wielkie oko Pana Boga okradziono mi samochód wybijając mu przy okazji boczne „zęby", Pani konsul Szapiro wielce dzielnie mi pomagała na rzymskiej policyjnej komendzie, gdzie policjanci tak byli zajęci adorowaniem jej kobiecości, że sprawa szła do przodu twardo, ale wolnym kroczkiem. I tylko tu można mówić o pewnej nośności. Brak w aneksie wzmianek o masonach preferowanych na polskich dyplomatów, wynika wyłącznie z niedoinformowania szanownej komisji, mówię zupełnie poważnie. A szkoda, bo byłoby pełniej i barwniej.

To jedna strona. Teraz strona monety druga, te fatalne nowe nominacje, które są i były czasami takimi rzeczywiście. Cały dawny zespół polskiej dyplomacji był całkowicie zaubeczony lub skompromitowany, brano więc ludzi o dobrych nazwiskach i biografiach. Tak odruchowo otwarto jeden opozycyjny notes. Prawie każdy się godził na zmianę życiowej roli, bo kto w Polsce był zadowolony ze swojej aktualnej?

Nie wszyscy pisarze, dziennikarze, uczeni weszli w nowe buty, również dlatego, że rola dyplomaty jest rolą półkretyna. Kto zaznał idiotyzmu nieustannych dyplomatycznych spotkań, wie o co mi chodzi. Więc ci co nie poświęcili się dla ojczyzny rezygnując ze znacznej części swojej inteligencji, okazali się złymi dyplomatami. Mamy też przypadki różnych

zajobów, ale także niebywałych wzdęć godnościowych, zauroczenia służbowym samochodem i posiadaniem dyplomatycznych przywilejów. Przecież ci nowi, to często były zupełne golce, a tu nagle takie apanaże. Wczoraj brani za tyłek z byle powodu, dzisiaj z dyplomatycznym immunitetem. Nic dziwnego, że nie każdy to wytrzymał.

I chociaż to wszystko jest pestka, gdy się porówna co działo się na placówkach wcześniej, ale trochę smutno. Obawiam się, że tego problemu nie dało się przeskoczyć — gdyż ludzka infrastruktura jest w Polsce niebywale zniszczona, co dotyczy tak ludu jak i inteligencji. Gdyby był nie ten notes, byłby inny, a konkursy nie wyławiały pereł. Po prostu w głowach mamy wszyscy pobabrane, a mieszała historia.

Celebracje 50 rocznicy Powstania Warszawskiego. Na wielką skalę i z Prezydentem Niemiec, który przeprasza. Kiedy widzę w tym celebracyjnym kotle sukienkę naszego Prymasa, jak zwykle spłoszonego Premiera, jak zawsze wzdętego Prezydenta, a obok zawsze naburmuszonego adiutanta Wachowskiego, który w oczach puchnie, to ta cała polityczna oprawa wolnej Polski mnie jednak nieco mierzi. Gdy samo Powstanie nadal porusza do trzewi.

Jan Kurdwanowski z USA, jak się okazuje czytelnik moich tekstów w *Kulturze*, przesłał mi jakiś czas temu swoją książkę o Powstaniu „Mrówka na szachownicy". Odłożyłem ją na bok z myślą, za gruba, mam dosyć martyrologii. Jaki to byłby grzech gdybym jej nie przeczytał. Bo gdy jednak zabrałem się do lektury, odkryłem, że to bardzo poruszające wspomnienie, z silnym znakiem antyheroicznym. Autor opisuje wzajemne kradzieże broni, zawiści, własne przerażenia, głupoty dowódców, ale to tylko rozjarza tło heroizmu.

Kiedy jadę tramwajem, stoją obok mnie starsi ludzie, patrzą na domy, okna, podwórka, pokazują palcami, to tu, to tam... a ja widzę jak w ich oczach wybuchają granaty pamięci. Sam chodzę teraz po tym mieście, które nagle obnażyło swoje wnętrze, ścięgna i mięśnie przeszłości, nawet dla mnie, który nie mogę tego pamiętać. Ja pamiętam tylko słodki zapach ruin i domy rozpłatane jak bok wołu.

Kombatanci przybyli z całego świata, ci co ocaleli w Powstaniu, którzy nie zginęli na wojnie, którą toczy z nami czas. To następny nasz dramat, emigracja, skoro ta XIX-wieczna nazywała się wielką, jak nazwać tę z połowy naszego wieku?

Jest doprawdy coś niezwykłego w tym zrywie Powstania.

I chce się wierzyć, że nadal jest w naszym społeczeństwie jakaś wielka ukryta siła, która wtedy potrafiła tego dokonać. I przecież tradycja Powstania ożyła tak niedawno. Byliśmy zapewne naiwni porównując stan wojenny do wojny, ale było wtedy dojmujące poczucie ciągłości i że ruszamy tą samą drogą, w poczuciu, „to nie ma sensu", w poczuciu „trzeba iść, już czas".

W sklepie spożywczym gdzie nadal delektuję się wielością produktów i początkiem jakiejś estetyki, podsłuchuję sklepową filozofię społeczną pań sklepowych. Ta od wędlin mówi do tej od nabiału.

— Co za czasy nastały, jak to się dzisiaj traktuje człowieka, a starych traktuje się najgorzej. Jestem wierząca, ale coraz mniej rozumiem dlaczego Bóg pozwala na tyle niesprawiedliwości.

Od nabiału odpowiada: — Ci nowi Panowie są jeszcze gorsi od tych starych. Czasami człowiek zastanawia się po co żyje. Starych najgorzej się traktuje.

Wtrąca się kobieta z magazynu: — A młodych to lepiej! Dzisiaj to każdego się popchnie i podepce, takie czasy.

Jestem pod prysznicem spłukując przekleństwa po nieudanych smeczach i po niepewnym pierwszym serwisie. Klub ekskluzywny, chociaż nieco spsiały w ostatnim roku. Nie przypadkiem jednak obok prysznicuje swoje obrzydłe męskie nagości dwóch fabrykantów współczesnych. To są rekiny naszego pięcioletniego kapitalizmu, drapieżne, chociaż z miękkim brzuchem. Tryska z nich jad pogardy dla robotnika, mówią o hucie Lucchini (dawna huta Warszawa), która jest w rękach drapieżnych Włochów, gdzie trwa strajk i głodówka zrozpaczonych robotników. Może nie wszystko jest rozsądne co czynią zdesperowani pracownicy tego zakładu, ale zagląda im w oczy bieda i bezrobocie. Ci ludzie są ofiarami socjalizmu i nieudolnego wychodzenia z niego. Dwóch nowych kapitalistów mówi o nich gorzej niż o wściekłych zwierzętach, komentując głodówkę robotników mówią: „najlepiej niech wszyscy zaczną głodować i zdechną, hołota jedna".

Czuję nagle jak robię się czerwony. Czyżbym był pod tym prysznicem u źródeł ruchu socjalistycznego?

Kobieta co sprząta mi mieszkanie, ciągnąc za sobą szmatę i swój los. A jej los jakże typowy dla milionów ludzi

w dzisiejszej Polsce. Co czuję jest nudne, ale tłumaczy więcej niż analizy naszych jajogłowych.

Była zatrudniona przez wiele lat w fabryce, ale teraz nie ma dla niej pracy. Mąż też stracił pracę. Z renty, którą mają, nie da się wyżyć. Mąż załamał się psychicznie, nawet psa nie chce na dwór wyprowadzić. Ten pies jednak jest znakiem, że byli na progu pewnego miejskiego dostatku. Pies ostał się, a dostatek szlag trafił. Córka wyjechała do Niemiec, sprząta tam, a niedawno napisała, że zapoznała, Jezus Maria co za nieszczęście — Turka! Kobieta sprząta mi mieszkanie w tajemnicy przed mężem, ten nigdy by się nie zgodził, żeby jego żona wykonywała takie haniebne zajęcie. Pieniądze oczywiście potajemnie przeznacza na dom, nie na siebie.

Kiedy patrzy wstecz, dziwi się jak kiedyś było dobrze żyć, jak strasznie i bez nadziei jest teraz. Kiedyś starczało do końca miesiąca i nawet można było coś odłożyć. Pracy było pod dostatkiem, dało się nawet wybierać, a nikt się nie martwił co będzie jutro.

Pytam jej czy nie czuje jaką wartość ma wolność i demokracja? Ale nagle widzę, że mój znak zapytania jest groteskową pokraczną figurą, jakbym chłopa pytał o refleksję nad Proustem. Ona teraz nie czuje tych pojęć. Kiedyś owszem głosowała na Wałęsę, ale ten tyle naobiecywał a nie dał nic. W przyszłość zupełnie nie wierzy, nawet jej dzieciom nie będzie lepiej. Nie ma żadnej nadziei.

A przecież jest ona tą samą kobietą, która patrząc przez okno pędzącej elektrycznej kolejki na strajkujące pikiety, którymi jeżyła się stocznia sierpnia roku 80, mówiła do mnie — „może być głód, bieda i brud, byle już dłużej nie żyć w tym kłamstwie".

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

W telewizji odbyła się dyskusja polityków różnych orientacji o samorządzie lokalnym. Przedstawiciel prawicy był zadowolony ze stanu rzeczy. Mówił, że jest lepiej niż do niedawna, ponieważ „scena polityczna w radach gminnych

została uporządkowana". Na co Donald Tusk, polityk inteligentny (i może dlatego mało słuchany), powiedział, że mieszkaniec gminy mniej wymaga od wójta uporządkowania sceny politycznej, a więcej dbałości o kanalizację, zatrudnienie, mieszkania i nawierzchnię ulic.

„Uporządkowanie sceny politycznej" we władzach terenowych ma również i tę niedogodność, że praktycznie uniemożliwia wybór przewodniczących, ponieważ żadna partia nie chce dopuścić nie swojego kandydata. Przy głosowaniu radni po prostu wychodzą z sali, żeby nie było *quorum*.

W gruncie rzeczy, nie ma co się dziwić takiej sytuacji, gdyż skoro nie udaje nam się wybrać kilkuset sensownych posłów, to dlaczego umielibyśmy raptem dobrze wybrać wielotysięczną rzeszę przedstawicieli władz lokalnych.

Nie dorośliśmy do samorządu i każdy już wie, że obudzenie się w innej Polsce z chwilą wolnych wyborów było marzycielskim snem. Po prostu, do tych spraw trzeba dojrzewać powoli, jak owoc — tylko pytanie, czy mamy taką szansę, skoro obrany kierunek dojrzewania jest kierunkiem „po linii partyjnej", a przecież tak naprawdę, partyjność wyklucza się z samorządem.

W PRL-u przynależność partyjna była drogą obowiązującą we wszystkich dziedzinach. Ale i wtedy zdarzały się odstępstwa. Ten i ów przytomny partyjny dyrektor fundował sobie bezpartyjnego zastępcę fachowca. Nawet prasie udawało się od czasu do czasu zagęgać na ten temat (np. szeroko dyskutowany artykuł pt. „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny").

Dziś, choć tyle gada się o kompetentności, nawet zastępca zastępcy musi być partyjny, to jest, bez reszty oddany panującej władzy. PSL pod wodzą Pawlaka pilnuje tego ze zdumiewającą konsekwencją. I nie dziwmy się, chodzi bowiem nie o co innego, jak o to, żeby ludzi „naszej partii" było jak najwięcej, bo tylko w ten sposób możemy wygrać w demokratycznych wyborach!

A *meritum* sprawy, a interes Polski — a niech to szlag trafi!

Gdy piszę te słowa, 18 lipca 1994 roku, premier Pawlak zdjął ze stanowiska prezesa PAP-u, Ignacego Rutkiewicza, dziennikarza i fachowca, żeby posadę obsadzić człowiekiem sobie bliższym, jak się wyraził. Również w tym samym dniu rada miejska nie dokonała wyboru prezydenta Warszawy, żeby przypadkiem nie został nim „nie swój człowiek", czyli nie kandydat „mojej partii".

Kwalifikacji merytorycznych w ogóle nie brano pod uwagę. Nowy szef PAP-u jest informatykiem z, delikatnie mówiąc, nie najwyżej notowanej uczelni w Radomiu, a o prezydenta stolicy, czyli „swojego człowieka", biją się ludzie różnych partii, więc nie ma go wcale. Ostatecznie zostanie nim pewnie ktoś z przypadku albo zarządzona komisarycznie przez premiera jakaś, bliska jego sercu, zaufana osoba.

W ten oto sposób polityka sprzęga się u nas z tym, co od polityki powinno być definitywnie oddzielone.

Polityka nie jest wszakże jedynym czynnikiem, który hamuje rozwój prawidłowego samorządu. Jest nim również nasza bezprzykładna bierność społeczna. Aktywność w tej dziedzinie została z nas wypleniona daleko gruntowniej niż w innych sferach życia. Ludzie chcą zajmować stanowiska, żeby panować, ale nie żeby zmieniać zastaną rzeczywistość. Nikt palcem nie ruszy, żeby nawet „koło domu" było lepiej. Otwiera to pole wyżywania się maniakom i oportunistom, którzy traktują działalność we wszelkich władzach jako trampolinę do karier.

Niedaleko Wall Street w Nowym Jorku, w nowo powstałym luksusowym kondominium, pewnego dnia właściciele mieszkań znaleźli pod wycieraczką zawiadomienie o zebraniu lokatorów. Chodziło o to, że administracja osiedla źle pracuje. Stawili się wszyscy, choć byli to ludzie niesłychanie zajęci, przeważnie, pracujący na Giełdzie. Trzeba było wydatkować mnóstwo prywatnego czasu i trudu, żeby sytuację uzdrowić. Wszystko to zrobiono w sposób tak naturalny jak codzienne mycie zębów. To właśnie jest dojrzałość społeczna.

U nas skończyłoby się na wspólnym utyskiwaniu, równie czasochłonnym, jak czynne załatwienie sprawy, ale o ileż mniej fatygującym, a przez to przyjemniejszym!

Jesteśmy społeczeństwem nieprawdopodobnie rozleniwionym w tym, co nazywa się obywatelskością.

Ale nie tylko w tym. Za komunizmu zamykano urzędy i sklepy bez żenady o każdej porze; panował wszak rynek producenta. Dobrze, jeżeli obok kłódki na witrynie przyklejony był napis: „urlop; na chorobie; wyszłam do Dyrekcji", itp. Dziś, kiedy to wszystko przeszło w ręce prywatne, dzieje się podobnie, może bez napisów. Jedyny na moim osiedlu kiosk z gazetami, jedyny na osiedlu sklep spożywczy, jedyna okoliczna piekarnia — zamknięte wakacyjnie. Gdzieżby na coś podobnego pozwolili sobie kupcy w bogatych kapitalistycznych krajach! A tu sobie pozwalają.

Za dobrze im.

Pamiętam incydent w czasie wielkiego „narodowego oczyszczenia", z jesieni 80-tego roku, kiedy to na klęczkach niemal pielgrzymowałam do siedziby Solidarności na Grunwaldzką we Wrzeszczu. Reprezentacja działaczy szykowała się do pierwszego meldowania się u Ojca Świętego w Rzymie. Chodziłam po sklepach z delegatkami, które w nielicznych jeszcze wówczas butikach obkupywały się na tę okazję w stroje. I wówczas po raz pierwszy naszła mnie grzeszna myśl: z czego to jest płacone? Łatwo było zgadnąć. Do Solidarności płynęły pieniądze z całego świata różnymi kanałami — ale czy na ten cel? Odrzuciłam tę wątpliwość pospiesznie jako zdrożną, obrazoburczą. Pisałam teksty wiernopoddańcze, czyniąc tym krzywdę bohaterom. Ale tak bardzo chciałam zachować idealny obraz tego, co już w zarodku się psuło. Bo ci najgłośniejsi przedstawiciele Solidarności, ci inteligentni robotnicy i dziewczyny, którzy wskakiwali na paki i wygłaszali płomienne przemówienia, a nawet czasem migali w telewizorze wąsatą gębą i zabójczą ripostą, ci właśnie, psuli się najszybciej. Przejawy bezinteresowności można było spotkać na cichym dole, głośna góra demoralizowała się na całego.

I tak już zostało.

Za komuny mówiło się na czasy, na ludzi, na nas samych wreszcie autoszyderczo - „renegactwo"; dziś, spoglądając na to, co się naokół dzieje, można powiedzieć - „hołoctwo".

Ewa BERBERYUSZ

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Dwa miesiące temu opisywałem na tym miejscu powrót Aleksandra Sołżenicyna do Rosji. Po dwumiesięcznej podróży rozpoczętej na Kołymie autor „Archipelagu GUŁag" 21 lipca przybył do Moskwy. Na dworcu oczekiwało go kilka tysięcy ludzi. Jak zwykle, kiedy ludzi się nie spędza, przybyli i zwolennicy, i przeciwnicy. Ci ostatni krzyczeli: „To Ty rozbiłeś Związek Sowiecki!"

Aleksander Sołżenicyn powiedział kilka słów na dworcu, a później dwukrotnie wystąpił w telewizji. Przyznał, że spotkał wielu wybitnych ludzi, którzy „nie wiedzą ani co robić ani z kim się zjednoczyć". Udzielił im abstrakcyjnej rady: twórzcie małe terenowe organizacje, związki zawodowe albo spółdzielnie o dowolnym programie — byle zjednoczyć wysiłki wokół jakiegoś małego, odległego albo bliskiego, krótko- albo długoterminowego celu. Wyobrażam sobie, że takich rad rodacy Sołżenicyna dziś już nie potrzebują, zaś zadań o szerszym rozmachu autor „Czerwonego koła" na razie nie zaproponował.

Znacznie ciekawsze są rozważania Sołżenicyna o rosyjskiej historii, przede wszystkim o imperium. Z jego punktu widzenia carowie popełnili błąd, ruszając na Zakaukazie i odbierając Gruzję i Armenię ich sąsiadom. Sołżenicyn twierdzi kategorycznie: „Zakaukazie musimy bezapelacyjnie opuścić". Dalej: „Z Azji Środkowej (w którą nie wliczam Kazachstanu) także powinniśmy wyjść. I naszych Rosjan stamtąd zabrać".

Poza granicami Rosji żyje — jest to liczba zaokrąglona — 25 milionów Rosjan. Czy można ich „zabrać"? Dokąd? Za co? Bogata Francja po utracie Algierii z niemałym trudem

wchłonęła swoich uchodźców. Francja liczyła ok. 50 milionów mieszkańców, uchodźców z Algierii było milion. Dzisiejsza Rosja liczy mniej więcej trzy razy więcej mieszkańców niż Francja, zaś „zabrać" — jeśliby usłuchała Sołżenicyna — powinna 25 razy więcej uchodźców.

Przyjazd Sołżenicyna do Moskwy ponownie ożywił spory na temat jego roli i możliwości, a także o to, kto będzie starał się pozyskać go dla swojego obozu itd. W rosyjskim języku nie ma słowa „wieszcz", którego Polacy używają dla Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. W XIX-wiecznej Rosji wielkich pisarzy nazywano władcami dusz. Autora „Jednego dnia w życiu Iwana Denisowicza" nikt dziś tak nie nazywa. Redakcja *Argumentów i Faktów*, pisma o najwyższym nakładzie w Rosji, zatytułowała artykuł o swym byłym przyjacielu „Ajatolla Sołżenicyn" (Nr 30, 24-31.8.94). Po raz pierwszy nazwał go tak Efim Etkind, szukając w swoim czasie jak najobelżywszego miana dla swego byłego przyjaciela. Chomejni właśnie wtedy doszedł do władzy w Iranie i budował zręby swego fanatycznego islamskiego reżymu. *Argumenty i Fakty* nie darzą Sołżenicyna sympatią, ale też nie chcą otwarcie występować przeciw niemu. Gdzie jest jego miejsce w obecnej Rosji, zastanawiają się. Zdaniem gazety Aleksander Sołżenicyn „zanurzył się w głęboką prowincję naszego kraju" i trafnie ocenił „kluczowy dla swojej taktyki politycznej problem. Problemem tym jest bieda, życie prostego człowieka, jego troski, jego marne zarobki, jego złe wyżywienie i zatruta przyroda".

Jeśli wierzyć czasopismu, wszyscy pobiegną teraz płakać w objęciach Sołżenicyna. Innymi słowy, wszyscy wpadną w jego sieci. Państwo nie ma pieniędzy na to, żeby słuchać jego rad, a Sołżenicyna nikt nie prosi o pieniądze. Sołżenicyn nie musi się do nikogo wdzięczyć, bo nikogo nie musi się bać. Cieszy się autorytetem na całym świecie. Nad sobą nie ma i nie będzie miał nikogo. „Jest mało prawdopodobne — snuje rozważania autor artykułu — by Aleksander Sołżenicyn chciał ubiegać się o fotel prezydenta. Ósmy krzyżyk to nie żarty. Ale miejsce rosyjskiego wszechmocnego Deng Xiaopinga albo, jeśli kto woli, ajatolli Chomejniego ma zagwarantowane". Gazeta kończy jadowicie: „Pozycja ze wszech miar wygodna — być na widoku, za nic nie odpowiadać, kalkulować".

Nie warto dowodzić, bo jest oczywiste, że status Sołżenicyna w niczym nie przypomina statusu chińskiego przywódcy ani irańskiego ajatolli, którzy dysponują materialną siłą. Ale skrywana wrogość *Argumentów i Faktów* odzwier-

ciedla obawy rozmaitych grup rosyjskiego establishmentu, chociaż pogląd Aleksandra Sołżenicyna na zagadnienie, które uważa za kluczowe — co zrobić z byłym imperium i pozostawioną tam ludnością rosyjską — jest dokładnie przeciwny obecnej polityce rosyjskiej.

Główną tendencją ostatniego okresu jest coraz szybszy ruch dośrodkowy na terenach byłego ZSSR. Integracja postępuje. Dowodzą tego wybory na Ukrainie i na Białorusi, rosyjscy żołnierze wojujący w Tadżykistanie i strzegący gruzińskiej granicy z Abchazją, aktywne próby uregulowania konfliktu ormiańsko-azerbejdżańskiego, wydarzenia w Czeczenii. Każdy przypadek jest inny, ale ogólna tendencja ta sama.

Wystarczy chyba zacytować po jednym przykładzie. Leonid Kuczma, w swoim czasie główny dyrektor „Jużmasza", największej na świecie fabryki rakiet, przemawiał niedawno z okazji pięćdziesięciolecia tego przedsiębiorstwa i powiedział: „W Ameryce mówi się, że co jest dobre dla General Motors, jest dobre dla Ameryki. Ja zaś myślę: co jest dobre dla 'Jużmasza', jest dobre dla Ukrainy". Nowy prezydent Ukrainy, piszą gazety, „zdecydowanie zabiega o zwiększenie jej udziału w światowym rynku broni". Można to zrozumieć. Jedna trzecia przemysłu wojskowego ZSSR znajdowała się na Ukrainie. Przemysł zbrojeniowy zatrudniał dwa miliony ludzi. Rzecz tylko w tym, że rozwój ukraińskiego przemysłu zbrojeniowego wymaga bliskiej współpracy ekonomicznej z Rosją.

Rosyjskie gazety z zadowoleniem odnotowują, że kandydat Łukaszenko zmienił się, ledwie został prezydentem Łukaszenką. Sojusznik opozycji rosyjskiej stał się wyznawcą pragmatyków w rządzie Rosji. Łukaszenko powiada „bez Rosji nie wyżyjemy" i planuje podpisanie — w ramach wielkiego traktatu o przyjaźni i współpracy — umowy, która przedłuży okres stacjonowania wojsk rosyjskich na terenie Białorusi.

Inaczej ma się rzecz z Tadżykistanem. Wspólne „oddziały pokojowe" starają się — bezskutecznie — powstrzymać wojnę domową w republice. Słowo „wspólne" oznacza w rzeczywistości rosyjskie. 201-sza dywizja armii rosyjskiej popiera prezydenta parlamentu Emomaliego Rachmonowa, który 25 września zostanie wybrany prezydentem. Jego oddanie Rosji nie budzi ponoć najmniejszych wątpliwości.

Ale wielu polityków rosyjskich (i gazet) zapytuje: co ma Rosja do roboty w Tadżykistanie? Odpowiedzi na to pytanie nie znajdują.

W toku ostatnich ponad dwóch lat Azerbejdżanem rządziło trzech prezydentów. Najpierw prorosyjski Ajaz Mutalibow, potem antyrosyjski Elczibej, a dziś Gajdar Alijew, który manewruje w rozmaitych kierunkach. Coraz częściej mówi się o możliwym powrocie do Baku Ajaza Mutalibowa, który mieszka w Moskwie i podobno jest bezpośrednio związany z armią i wywiadem rosyjskim. Niedawno udzielił wywiadu *Moskowskim nowostiam* (24–31 lipca 1994). Stwierdził w nim, że „szukają z nim kontaktu" i uprzedził wszystkich w Azerbejdżanie: jestem orientacji prorosyjskiej, ale nie wrócę do Baku na rosyjskich czołgach. Na czym wróci, nie powiedział.

Dróg powrotu nie ma wiele. Świadczy o tym Czeczenia. W odróżnieniu od wyżej wymienionych, niegdyś sowieckich, a obecnie suwerennych republik, Czeczenia należy do Federacji Rosyjskiej. Trzy lata temu — we wrześniu 1991 roku — były generał lotnictwa Armii Czerwonej, Dżochar Dudajew, rozpędził parlament czeczeński i inne organy władzy i został w październiku prezydentem Czeczenii. Nie podporządkowuje się decyzjom Moskwy, stara się prowadzić samodzielną politykę, ale nadal otrzymuje pieniądze z budżetu Rosji. Zrodził się mit wszechmocnej mafii czeczeńskiej, w którym jest niemałe ziarno prawdy. Pomijając jednak sytuację w Czeczenii, zauważmy, że 2 sierpnia premier Wiktor Czernomyrdin oświadczył: „Rosja doszła w stosunkach z Czeczenią do etapu konkretnych posunięć". Mimo że na całym Kaukazie sytuacja jest bardzo skomplikowana, przyznał premier, „główną bolączką Rosji jest Czeczenia".

Wydarzenia w Czeczenii przypadkiem zbiegły się z oświadczeniem Wiktora Czernomyrdina. Pierwszego sierpnia Tymczasowa Rada Republiki Czeczeńskiej oświadczyła, że „dyktatura Dudajewa została obalona". Dwaj byli współpracownicy Dudajewa, Rusłan Łabazanow i Umar Awturchanow, postanowili obalić prezydenta. 2-go sierpnia *Krasnaja zwiezda* ogłosiła na pierwszej stronie: „Sytuacja w Czeczenii wymknęła się spod kontroli. Rosja zamierza bronić Rosjan". Na granicy czeczeńskiej rośnie kontyngent wojsk rosyjskich. Możliwość pertraktacji jeszcze istnieje. Rosja, to widać, chciałaby znormalizować stosunki z niepokorną Czeczenią. Wbrew zdaniu Sołżenicyna, Rosja nie chce bowiem zrezygnować z Kaukazu.

Na horyzoncie pojawił się pośrednik: były członek Rady Najwyższej Rusłan Chasbułatow, Czeczeniec, zaproponował, że obejmie stanowisko prezydenta republiki. Widocznie myślał, że skoro Gruzini w ciężkiej godzinie wezwali Szewardnadze, to może Czeczeńcy wezmą jego. Propozycja nie wzbudziła na razie zainteresowania ani w Groznym, ani w Moskwie.

Wydarzenia, o których piszę, zwracały uwagę różnych grup ludności i wzbudzały mniej lub bardziej ostre reakcje. Jedno zdarzenie zwróciło uwagę wszystkich i podniosło temperaturę uczuć do wrzenia. Mam na myśli sprawę MMM. Tajemnicze trzy litery różnie się odczytuje, ale oznaczają one bank inwestycyjny Siergieja Mawrodiego.

Bank MMM istnieje już od jakiegoś czasu. Za czyje pieniądze został założony, nie bardzo wiadomo (złośliwi twierdzą, że za pieniądze KPZS). Mniej więcej pół roku temu, w wyniku najgorętszej w dziejach demokratycznej Rosji kampanii reklamowej, zwabił ogromne rzesze udziałowców (różnie mówią: od dwóch do dziesięciu milionów). Udziałowców nietrudno zrozumieć. Bank obiecywał im 15 albo i więcej procent zysków tygodniowo, czyli, jak obliczyli specjaliści, 250 tysięcy procent rocznie. Rosyjski człowiek, któremu zarzucano, że nie lubi kapitalizmu, powiedział MMM-owskiemu kapitalizmowi: tak! Skoro można, nie kiwając palcem w bucie, zostać bogaczem, obywatele zaczęli składać pensje i emerytury w banku hojnego pana Mawrodiego.

Z końcem lipca dywidendy MMM zaczęły maleć. Eksperci tłumaczyli, że Mawrodi stworzył znaną od stuleci „piramidę": starym udziałowcom płacił z wkładów nowych. Nie byłoby w tym niczego dziwnego: wszystkie kraje świata znają takie machinacje, wszystkie narody chciałyby wzbogacić się już, natychmiast. W 1637 roku Holandię ogarnął szał tulipanów: za bulwę tulipana płacono jak za sztabkę złota. W 1716 roku Szkot John Law otworzył w Paryżu prywatny bank, wkrótce uznany przez państwo. Jego akcje przynosiły (przez krótki czas) niespotykane przedtem dochody. Przykłady można mnożyć. Sprawa MMM daleka jest od zakończenia: akcjonariuszom przestano płacić, naczelnika banku aresztowała milicja, ale co począć z rozjuszonymi akcjonariuszami, którzy nadal wierzą w swojego bankiera — nie wiadomo. Siergiej Mawrodi zapewnia, że stoją za nim miliony udziałowców (i ich rodzin), że zorganizuje referendum, zmieni konstytucję i rząd. Ze wszystkich zrobi bogaczy. Nastał w Rosji kapitalizm...

W oparach walk wokół MMM obchody 50-lecia Powstania Warszawskiego przeszły niemal niezauważenie. Gazety pokrótce streściły krótkie posłanie Borysa Jelcyna do Polaków. Wywiad, którego szef kancelarii prezydenckiej Siergiej Fiłatow udzielił w Warszawie (jako osobisty wysłannik Jelcyna) korespondentowi agencji TASS-ITAR, jest dwuznaczny. „Jest bardzo ważne — oświadczył Fiłatow — by znaleźć w sobie siły na dokonanie uczciwej, czystej analizy tego, co się wydarzyło. Wszystko, co wymaga rewizji, powinno zostać zrewidowane". Ta pytyjska formuła, która przypomina mądre rady typu „gotowane mleko jest pożywniejsze od źródlanej wody", pozostałaby przykładem talentów oratorskich pana Fiłatowa, gdyby nie dorzucił: „...Rejwach, który się podniósł wokół Rosji i jej udziału w obchodach, przyniósł najwięcej szkody samym Polakom. Gdyby ton i podejście sił politycznych, które się tym zajmowały, były inne, inny byłby i stosunek, i udział strony rosyjskiej". Słowem — Borys Jelcyn się obraził.

Przeczytałem niedawno nową powieść angielskiego pisarza. Opisuje on trudne stosunki między kobietami i mężczyznami i zauważa, że kobiety zachowują się jak Rosjanie: jeśli zawsze robisz to, czego chcą, jesteś człowiekiem realistycznym, konstruktywnym i miłującym pokój. Jeśli jednak się sprzeciwisz, będziesz zimnowojennym draniem i imperialistą ingerującym w wewnętrzne sprawy innych państw. Nie wiem, czy można tę zasadę zastosować do Rosjan, ale do kobiet — na pewno.

9.8.1994

Adam KRUCZEK

Ukraina: od Leonida Pierwszego do Leonida Drugiego

Ukraina ma nowego prezydenta. 10 lipca wyborcy cofnęli Leonidowi Krawczukowi votum zaufania i obrali jego następcą Leonida Kuczmę. W ujęciu historycznym punkt ciężkości przesunął się z prawobrzeżnej Ukrainy na lewobrzeżną. Urodzony na Wołyniu, działający potem w Czer-

niowcach, ale naprawdę ukształtowany na działacza politycznego w Kijowie, pierwszy prezydent współczesnej Ukrainy był w sensie wciąż jeszcze żywych regionalizmów człowiekiem Zachodu, jak zresztą większość Ukraińców żyjących na tych ziemiach. Ale jako Wołyniak i prawosławny, Krawczuk był jednocześnie figurą polityczną integrującą wschód i zachód, czym by nie mógł być nigdy polityk z Galicji i na dodatek grekokatolik. Nie zapominajmy, że na Krawczuka w grudniu 1991 roku głosował cały wschód Ukrainy włącznie z Rosjanami, poparło go południe wraz z dążącym dziś do secesji Krymem. Natomiast odwróciły się od niego wówczas zachodnie połacie państwa.

W obecnych wyborach fortuna geograficznie odwróciła się gruntownie. Zachód poparł Krawczuka a wschód i południe poszły za Kuczmą. Innymi słowy, Leonid Pierwszy utracił w międzyczasie dawną moc integracyjną, a jego następca Leonid Drugi jej nie zdobył w pełni, bo zwyciężył nieznaczną przewagą głosów. Linia podziału pokrywa się mniej więcej z historycznym limesem pomiędzy lewobrzeżem i prawobrzeżem. Nie jest jednak dziś żywą granicą cywilizacyjną, gdyż czasy sowieckie gruntownie zniszczyły stare struktury i dawną kulturę polityczną. Widać to zwłaszcza na przykładzie Galicji, Bukowiny i Wołynia, gdzie przecież za Austrii i Polski rozwinął się dość wydatnie pluralizm polityczny wraz z wielopartyjnością i niezależnym ruchem spółdzielczym. Nic z tego się nie uratowało, chociaż w imię sprawiedliwości historycznej trzeba stwierdzić, że dzieła zniszczenia dokonali nie tylko komuniści, ale i nacjonaliści.

Obecne podziały mają głównie podłoże ekonomiczne. Zachód jest gospodarczo bardziej rolniczy, wschód i południe uprzemysłowione. Również demograficznie sytuacja ukształtowała się w ten sposób, że główna masa ludności zamieszkuje wschodnie i południowe dzielnice, a na zachodzie istnieją bardziej luźne skupiska. Do tego obrazu dochodzi jeszcze odmienna struktura językowa, na wschodzie bowiem większość posługuje się językiem rosyjskim lub tzw. *surżykiem* czyli mieszaniną rosyjsko-ukraińską, a na zachodzie prawie wyłącznie ukraińskim.

Ale kwestia językowa nie figurowała na pierwszym miejscu w katalogu spraw spornych czy nie uregulowanych. Używanie rosyjskiego czy też rumuńskiego lub polskiego nie jest ograniczane żadnymi barierami, a prawodawstwo narodowościowe, najwyżej rozwinięte w całej Europie, gwarantuje każdej mniejszości swobodny rozwój języka i kultury. Ukraiński parlament jest dwujęzyczny, a na wschodzie prawie cała prasa ukazuje się po rosyjsku. Nawet w Kijowie wychodzi tuzin gazet i pism w języku rosyjskim. Tylko we Lwowie dla nielicznej mniejszości rosyjskiej ukazuje się rosyjskojęzyczny tygodnik przy ukraińskiej gazecie *Wysokyj Zamok*.

Kością niezgody i przyczyną zwycięstwa Kuczmy była sprawa katastrofy gospodarczej, w której tonie niepodległa Ukraina. Ale nie było to tylko winą rządów Krawczuka, choć nie można ich zupełnie wybielić od zarzutu nieudolności i gnuśności. Rzecz leży głębiej. Okręgi przemysłowe Ukrainy to węgiel, żelazo i stal. Przemysły, w które Związek Sowiecki nic nie inwestował lecz pozostawiał wszystko na przedpotopowym poziomie. W dodatku Ukraina była kuźnią przemysłu zbrojeniowego imperium. 700 wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, czyli jedna trzecia całego ukraińskiego potencjału industrialnego produkowało rakiety, tanki i inną broń. Wszystko to było powiązane z Rosją i innymi republikami i z państwami satelickimi, głównie z NRD. Upadek imperium i zjednoczenie Niemiec uderzyły w struktury gospodarcze Ukrainy mocniej niż gdzie indziej. Nawet handlu bronią nie można było solidnie rozwinąć, gdyż według dawnej przezorności Moskwy, żadna republika oprócz Rosji nie śmiała wyrabiać produktów finalnych. I dzisiaj nie można z fabryki charkowskiej rzucić na rynek najlepszego czołgu na świecie, gdyż działa do niego wyrabia tylko Rosja. Podobnie rzecz ma się z olbrzymim lotniskowcem „Wariah" w stoczni w Mikołajewie. Niepodobna go spuścić na wodę, bo nie ma pieniędzy na zakup elektroniki. To samo dotyczy samolotów bojowych i transportowych w kijowskich zakładach Antonowa.

Kryzys strukturalny i technologiczny rozgrywa się najdotkliwiej w ukraińskich okręgach przemysłowych, a więc w Donbasie, Krywbasie (Zagłębie Krzyworoskie) i w Zagłębiu Naddnieprzańskim (Dniepropietrowsk), wreszcie w Charkowie i Zaporożu. Sanacja i modernizacja tych przestarzałych struktur to przedsięwzięcie o wiele większe w zasięgu i kosztach niż to swego czasu było w niemieckim Zagłębiu Ruhry.

Leonid Pierwszy nie dał sobie z tym rady, bo i nie mógł tego dokonać. Zresztą jego siły pochłonęły inne pierwszoplanowe zadania: najpierw trzeba było w wielowiekowej rosyjskiej kolonii, a następnie sowieckiej prowincji imperium, zorganizować własne państwo. A co to znaczy po wiekach niewoli można się dowiedzieć z politycznej kroniki polskiej po roku 1918. Należało na miejsce ongiś wszechpotężnej, ale

do tego zadania niezdatnej, komunistycznej partii powołać administrację państwową, zreorganizować gospodarkę, która dotychczas podlegała centralnym organom w Moskwie, podporządkować władzy ukraińskiej ogromną armię stojącą na terytorium nowego państwa. Trzeba było też znaleźć rozwiązanie dla spraw narodowościowych z uwagi na wielomilionową mniejszość rosyjską i dość duże odłamy obywateli narodowości węgierskiej, żydowskiej, polskiej, bułgarskiej i rumuńskiej. Wreszcie należało po raz pierwszy od czasów Petlury i Skoropadskiego rozpocząć własną politykę zagraniczną.

Nie wszystko poszło gładko, ale w sumie Krawczuk jako odnowiciel i budowniczy pierwszego, po krótkotrwałej próbie lat 1917-1920, niepodległego państwa ukraińskiego spisał się nie najgorzej. Do bezsprzecznie historycznych zasług eksprezydenta należy zaliczyć wprowadzenie liberalnej polityki narodowościowej, nawiązanie serdecznych stosunków z Polską, Węgrami, Turcją i Izraelem. Szczególnie ostatni aspekt posiada dla Ukrainy olbrzymie znaczenie, bo w ten sposób zdjęto z niej brzemię oskarżeń o antysemityzm. Pierwszy prezydent prowadził też na trudnym polu normalizacji stosunków z Rosją politykę pełną umiaru i elastyczności, a jednocześnie pozbawioną jakichkolwiek cech uwłaczających godności narodowej, wiernopoddaństwa lub szukania kompromisów za każdą cenę. Wziąwszy to wszystko razem, można stwierdzić, że polityka Krawczuka zapewniła społeczeństwu, w porównaniu z innymi byłymi koloniami imperium, okres wewnętrznego i zewnętrznego pokoju, wprowadziła Ukrainę stosunkowo szybko na parkiet międzynarodowy. Nie uchroniło to państwa i społeczeństwa od dotkliwego kryzysu gospodarczego, gwałtownego obniżenia produkcji, galopującej inflacji i powszechnego zubożenia. Na minusowym koncie Leonida Krawczuka znajduje się też niestety wina za pasywny stosunek wobec powszechnej korupcji i masowego złodziejstwa, które pod koniec jego kadencji zaczęły pożerać wszystkie zdrowe tkanki organizmu państwowego.

Właśnie te negatywne aspekty rządów Krawczuka przesądziły o jego klęsce. W wewnętrznej polityce było też zbyt wiele charakterystycznego dlań kunktatorstwa, stałego odkładania decyzji na wieczne ukraińskie „jutro", otaczania się pochlebcami i zausznikami. Elementarnym błędem była naiwna wiara w nieprzemijający charyzmat własnej osobowości, w przyciągającą masy atrakcyjność talentu oratorskiego i brak oparcia politycznego wobec nie istniejącej partii. Jego

doradcy zorganizowali mu nieudolnie kampanię wyborczą, zupełnie według starych wzorców sowieckich, bez zastosowania nowoczesnych środków propagandy i psychologii społecznej. W końcu przyczynili się do porażki dawni kamraci-komuniści, którzy zmobilizowali swoich zwolenników na rzecz zemsty wobec najwybitniejszego „zdrajcy".

Leonid Krawczuk do ostatniej chwili wierzył w swe zwycięstwo. Przegranie największej partii swego życia dla zawodowego szachisty, który tysiąc razy przy pomocy komputera wypróbował na szachownicy wszelkie możliwe warianty — wciąż z pozytywnym wynikiem dla siebie — jest tragicznym przeżyciem. W wywiadach po klęsce zachowuje fason, chociaż raz się przyznał, że porażki nie leżą w jego charakterze. Indagowany przez dziennikarzy, gdzie widzi główne przyczyny przegranej, odrzekł, że we własnym zadufaniu, zbyt jednostronnym wykorzystywaniu urzędowych środków informacji zamiast niezależnych oraz w zasadniczej pomyłce oceny nastroju ludności, która po prostu pragnęła zmiany. A za swą historyczną zasługę eks-prezydent uważa „bezkrwawy demontaż sowieckiego imperium". Partii własnej nie będzie tworzył, ale pragnie zorganizować ruch na rzecz utwierdzenia państwowości i niezależnie od tego fundację rozwoju kultury.

Patrząc na tok wydarzeń w ostatnich miesiącach można śmiało stwierdzić, że Ukraińcy są potulnym narodem. Co kilka tygodni władze pędzą ich do głosowania, a oni, jak barany, idą do urn wyborczych. Gdyby od razu po uchwaleniu prześladującej ich ustawicznie ordynacji zaprotestowali i trwali w tym oporze, to by wszystko potoczyło się inaczej. Winne są oczywiście przede wszystkim opozycyjne partie, które nie zauważyły groźby i dostały za to takie cięgi, że wciąż jeszcze nie mogą się pozbierać do kupy.

A wyborcy co kilka tygodni maszerują do urn. Do tej chwili — początek sierpnia — już chodzili siedem razy. Parlament zaś wciąż jeszcze nie jest w komplecie, bo zamiast 450-ciu posłów liczy obecnie 393, a więc chodzenie do wyborów potrwa chyba do końca roku. Optymistyczne przewidywania liberała Łanowego, wyrażone na wiosnę w wywiadzie dla *Kultury*, że w dodatkowych wyborach struktura Rady Najwyższej zmieni się na niekorzyść komuno-socjalistycznej lewicy, jak dotąd jeszcze się nie sprawdziły, chociaż ostatnio kandydaci lewaków przegrywali.

Krawczuk jeszcze przed fatalnym 10 lipca powołał nowego premiera. Został nim dawny komunista, Witalij Masoł. Urodzony w 1928 roku, tak samo jak Kuczma na Czer-

nihowszczyźnie, z wykształcenia również inżynier a potem dyrektor zakładów metalurgicznych w Nowokramatorsku, już raz był premierem od 1987 do 1990 i został obalony przez protestujących studentów stolicy. Złośliwi twierdzą, że Krawczuk dokonał tej nominacji na „wszelki wypadek", bo wiadomo, że Kuczma i Masoł są sobie antypatyczni. Drugim pociągnięciem podobnego typu było wywindowanie szefa bezpieczeństwa Jewhena Marczuka na wicepremiera, co miało może wywołać wrażenie, że Krawczuk grozi mafii.

Leonid Kuczma, dyrektor największej na świecie fabryki rakiet, Masoła nie traktuje jako głównego rywala w nowym układzie sił. Jest nim bowiem przewodniczący parlamentu i szef partii socjalistów, Ołeksandr Moroz. Początkowo cichy i umiarkowany lewicowiec, po wyborach prezydenckich, w których podczas pierwszej fazy zdobył tylko 13 % głosów, stanął od razu do pojedynku. Ku zdumieniu wielu obserwatorów rozwinął błyskawiczną akcję na wielu frontach, aby z miejsca Kuczmę zneutralizować i przemienić w figuranta. Jeszcze przed decydującym rozstrzygnięciem pojechał na konferencję KBWE do Wiednia, gdzie zaczął zdradzać chorobliwe zgoła ambicje na polu polityki zagranicznej. W kilka zaś dni po wyborze nowego prezydenta — nie czekając na pierwsze kontakty Kuczmy z Jelcynem — pojechał do Moskwy uzurpując sobie pierwsze skrzypce w przygotowaniu nowego traktatu między Rosją i Ukrainą. W istocie ten układ już dawno wytargowany został przez Krawczuka, a Rosja zamroziła go jedynie, czekając na wyniki wyborów prezydenckich w Kijowie.

W polityce wewnętrznej tenże Moroz wymusił na Kuczmie i premierze Masole podpisanie umowy o triumwiracie, zgodnie z którą wszyscy trzej panowie zobowiązali się do koordynowania swoich kroków. Kuczma uważa obecnie, że ten świstek papieru do niczego go nie zobowiązuje, ale Moroz traktuje swój cyrograf jako podstawowy dokument państwowy na przyszłość. Ze swej strony jednak poczynił już konkretne manipulacje w parlamencie, aby pokrzyżować reformatorskie zapędy prezydenta-elekta. Za jego i komunistów sprawą parlament zastopował akcję prywatyzacji, czekając na sporządzenie spisu tych przedsiębiorstw państwowych, które nie śmią przejść w prywatne ręce. Drugim manewrem jest próba rozszerzenia pełnomocnictw systemu lokalnych rad i wyłączenia spod kontroli prezydenta.

Po takiej uwerturze do gier jesiennych pan Moroz a z nim i parlament udali się na urlop. Wykorzystał to od razu

Leonid Kuczma i przystąpił ze swej strony do błyskawicznych kontrakcji. Najpierw nie omieszkał zapowiedzieć, że nie ścierpi podwójnej władzy i że egzekutywa państwowa i administracyjna skupiona jest w rękach prezydenta, a nie parlamentu. Zganił Radę Najwyższą za fałszywą decyzję w sprawie prywatyzacji. Wnet po tym przystąpił do rządzenia przy pomocy dekretów. Pierwszym zarządzeniem było podjęcie nieubłaganej walki z mafią i przestępcami gospodarczymi na wszystkich szczeblach. Nowy prezydent zwołał też natychmiast naradę naczelników policji, bezpieczeństwa, prokuratorów i sędziów i polecił im rozpocząć walkę przeciwko „piątej władzy" przestępców gospodarczych.

W kilka dni później wydał dwa edykty, w których ignorując poprzednie zapędy ukraińskiego marszałka parlamentu, Moroza, podporządkował sobie administrację w 25-ciu prowincjach tak jak to było za czasów Krawczuka, ale w innej formie niż mianowania namiestników. Mało kto oczekiwał tak rychłego unieważnienia umowy o triumwiracie i tak oczywistego rzucenia rękawicy parlamentowi. Po tej przygrywce podczas upalnego lata, obserwatorzy oczekują gorącej jesieni. W Kijowie panuje przekonanie, że Ołeksandr Moroz zbierze we wrześniu swoje szyki i ruszy do ofensywy przeciwko Kuczmie. Ukraińska „wojna na górze" może usunąć w cień niedawne pierwowzory polskie.

11 sierpnia 1994

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

Przyroda, podróże, ekologia, historia

JOHANN FORSTER

Przeszło dwieście lat temu, w styczniu 1794 roku zmarł w Paryżu Johann Georg Forster. Umierał w nędzy i zapomnieniu, zagrożony aresztowaniem i zgilotynowaniem. Pozbawiony możliwości pracy, zbiorów i książek ciągle podobno marzył o egzotycznych podróżach i odkrywczych wyprawach.

Historia oddała sprawiedliwość jednemu z największych przyrodników i podróżników. Jego życie stało się tematem kilku powieści przygodowych, a wydanie, staraniem córki w 1849 roku, dzieł wszystkich Forstera ugruntowało jego literacką i przyrodniczą sławę. Jego nazwisko pojawia się często także w związku z wyprawami kapitana Cooka i odkryciem Australii. Nie zapominają o Forsterze również biografowie Aleksandra von Humboldta, dla którego był on nauczycielem i towarzyszem geograficzno-przyrodniczych badań doliny Renu. Kilka publikacji poświęcono też emigracyjnej działalności Forstera w rewolucyjnym Paryżu. Nazwisko wielkiego przyrodnika trwa wreszcie także w dziesiątkach nazw zwierząt i roślin, które opisał lub które mu poświęcono. Do najbardziej znanych należą z pewnością australijska foka lub raczej otari Forstera czy też opisana przez wielkiego przyrodnika ryba dwudyszna, rogoząb (*Cerastodus forsteri*). Forster był pierwszym zoologiem, który opisał ryby dwudyszne. Odkrycie, którego znaczenia dla biologii ewolucyjnej nie sposób przecenić.

Rocznica śmierci Forstera została w Polsce praktycznie nie zauważona, pomimo licznych jakże silnych związków przyrodnika z Polską, a zwłaszcza z Litwą. Wielka to szkoda, Forster jest z pewnością najwybitniejszym podróżnikiem i jednym z najważniejszych przyrodników związanych z Katedrą Historii

Naturalnej Uniwersytetu Stefana Batorego. Jest to także z pewnością jedna z najciekawszych postaci polsko-niemieckiego pogranicza kulturowego. O jego przynależność narodową toczyli spory historycy kilku krajów. Forster był typowym, jakże nie lubianym przez nacjonalistów, liberalnym intelektualistą Oświecenia. Urodzony w Mokrym Dworze pod Gdańskiem, w rodzinie pastora i także znanego przyrodnika Jana Forstera, Johann wychowywany był w kulturze języka niemieckiego. Rodzina Forsterów wywodziła się ze szkockich imigrantów. W swoim burzliwym życiu pracował on dla carycy rosyjskiej, angielskiego króla, Komisji Edukacji Narodowej, Collegium Carolinum w Kassel. W Moguncji zabiegał o połączenie Nadrenii z Republiką Francuską.

Do Wilna dotarł Forster poprzez Grodno, gdzie spotkał się ze Stanisławem Augustem Poniatowskim, w listopadzie 1784 roku. Przez okres trzech lat kierował katedrą Historii Naturalnej Uniwersytetu Wileńskiego, którą objął po Jean Emmanuelu Gilibercie. Ściągnięcie Forstera do Wilna było przedsięwzięciem kosztownym. Z jednej strony Komisja Edukacji Narodowej zmuszona była opłacić złotem zwolnienie przyrodnika z jego zobowiązań w Kassel. Forster, sławny dzięki wydaniu przyrodniczego opisu podróży dookoła świata wraz Cookiem „A Voyage Round the World" (Londyn 1777), zdawał sobie sprawę ze swojej wartości. Z wydaniem tego dzieła związana jest zresztą interesująca historia. Admiralicja angielska nie pozwoliła na wydanie Janowi Forsterowi opisu podróży. Jedyny, nigdy nie wydany egzemplarz tej pracy znajduje się w kolekcji Rosyjskiej Akademii Nauk. Nie mogąc wywiązać się z finansowych zobowiązań Forster ojciec trafił do więzienia za długi. Johann, nie związany zobowiązaniami wobec brytyjskiej administracji wydał swój i ojca opis wyprawy. Dzieło odniosło ogromny sukces, wkrótce przetłumaczono je na niemiecki i inne języki obce. Niezależne od admiralicji wydanie opisu podróży wywołało w Anglii szereg krytyk pod adresem Forstera. William Wales, astronom wyprawy stawiał zarzuty braku zawodowej etyki, szczęśliwie dla Forsterów historia skończyła się prasową dyskusją bez konsekwencji administracyjnych.

W litewskim okresie Forster uzyskał tytuł doktora medycyny Uniwersytetu w Halle na podstawie pracy o florze południowego Pacyfiku i ożenił się z Teresą Heyne, córką znanego uczonego z Getyngi. Pobyt i prace wileńskie Forstera wywoływały wiele kontrowersji. Jędrzej Śniadecki, niechętny cudzoziemcom, miał o Forsterze bardzo złą opinię. Zarzucał mu nieznajomość nauk przyrodniczych i zaniedbywanie obowiązków wykładowcy na rzecz pisania i tłumaczenia książek. Jundziłł, który był słuchaczem wykładów Forstera, wyrażał się o nich bardzo pochlebnie. Trudno zgodzić się ze zdaniem Śniadeckiego. Przyjeżdżając do Wilna Forster był już przecież przyrodnikiem o

światowej sławie, autorem wielu cenionych w całej Europie prac. Pomimo krótkiego okresu podkreślić należy zasługi niemieckiego przyrodnika dla wileńskiej wszechnicy i nauki polskiej. Reorganizująca się uczelnia uzyskała uczonego światowej sławy, zapewne jedynego w owym czasie w Środkowo-Wschodniej Europie znawcę przyrody krajów egzotycznych. W programie jego wykładów znalazły się także, po raz pierwszy w historii Rzeczypospolitej studia paleontologiczne form kopalnych. Nauczane w wileńskiej wszechnicy elementy antropologii kulturowej zapoczątkowały narodziny tej nauki w tej części Europy. Forster był zwolennikiem koncepcji ciągłości czasowej form żywych, co czyni z niego wraz z przedstawicielami osiemnastowiecznej francuskiej szkoły naturalistycznej jednego z pionierów myśli ewolucyjnej, a Uniwersytet Wileński jedną z pierwszych europejskich uczelni, na której taką koncepcję przyrody wykładano. Uczony ten wzbogacił także zarówno bibliotekę jak i gabinet przyrodniczy. Pozostawił także, znajdujące się dziś w bibliotece uniwersytetu w Getyndze rękopisy, *Hortus botanicus Vilnensis* i *Diarium Faunae Florae que Vilnensis*. Obok Giliberta i Jundziłła należał on również do pionierów, w tej części Europy, zastosowania systemu Linneusza do klasyfikacji roślin. Zamiłowanie do przygody i podróży nie pozwalało Forsterowi na zbyt długie pozostawanie w jednym miejscu. W 1787 roku przyjął on propozycję Katarzyny wzięcia udziału w wyprawie na Pacyfik. Wskutek wojny rosyjsko-szwedzkiej wyprawa nie doszła do skutku i po raz kolejny wielkiemu przyrodnikowi groziła nędza. Po krótkim pobycie w Getyndze, gdzie Forster wydał kolejne prace na temat przyrody Azji Południowo-Wschodniej i Australii, uzyskał on posadę bibliotekarza w Moguncji. W 1790 roku wydał, jedną z najważniejszych swoich prac, opis wspólnej z Humboldtem wyprawy *Ansichten vom Niederrhein, Brabant, Flandern...* W 1789 roku z entuzjazmem powitał Rewolucję Francuską. Po zajęciu Moguncji przez wojska francuskie Forster był jednym z inicjatorów Republiki Niemiecko-Nadreńskiej i członkiem jej Konwencji. W 1792 wyjechał do Paryża w celu podpisania dokumentu przyłączającego Nadrenię do Francji. Zajęcie Moguncji przez wojska koalicji zmusiło go do pozostania w Paryżu. Coraz bardziej rozczarowany do rewolucyjnych metod, rozgoryczony postawą swoich niemieckich przyjaciół, którzy uznali go za zdrajcę, zagrożony represjami, zmarł po długiej chorobie.

Wspominając Johanna Forstera należy pamiętać o jego pracy translatorskiej, był tłumaczem m.in. prac Bougainville'a i Łomonosowa. Uchodzi on także za twórcę nowego rodzaju, kontynuowanego później przez Humboldta, literackiego opisu podróży przyrodoznawczych. Jego liczne listy, artykuły, polemiki, jak choćby dyskusja z Kantem o pochodzeniu człowieka

należą do jakże ważnych dla zrozumienia europejskiego oświecenia dokumentów. Warto byłoby zapewne podjąć szczegółowe badania nad rolą Forstera dla nauki polskiej. Mogłoby to przyczynić się do lepszego poznania jakże ważnej dla historii nauki grupy przyrodników gdańskich i królewieckich, uczonych polsko-niemieckiego pogranicza, tak często, niestety, nieobecnych w polskiej świadomości historycznej.

TADEUSZ VETULANI

Od kilku już lat tarpan stał się w Zachodniej Europie zwierzęciem bardzo modnym. Coraz liczniejsze są organizacje zajmujące się propagowaniem jego hodowli na terenie Francji, Holandii, Szwajcarii. Coraz częściej wypuszcza się polskie koniki na opuszczone tereny rolnicze. Popularność tarpana związana jest zresztą nie tylko z jego zastosowaniem w inżynierii ekologicznej pejzażu porolniczego. Zachodnioeuropejska nauka „ponownie odkryła" opracowaną na początku stulecia przez polskich przyrodników zasadę, iż obecność dużych zwierząt roślinożernych jest niezbędna aby zapobiec degeneracji roślinności. Reintrodukcja dużych roślinożerców, a także to, co czasem specjaliści ironicznie nazywają sztucznym tworzeniem naturalnego, stało się jednym z najważniejszych elementów polityki ekologicznej. Rekonstrukcja i badania nad tarpanem prowadzone przez profesora Vetulaniego już w początkowych latach Niepodległości były obok prac Paczoskiego na ukraińskim stepie w Askanii Nowej pierwszymi zakończonymi sukcesem tego typu doświadczeniami w historii nauki. Zainteresowanie konikami polskimi jest z pewnością także związane z poszukiwaniem przez przyrodników — europejskich korzeni tożsamości, ze zrozumieniem, że ostatnie pamiątki europejskiej przyrody są równie ważne jak tropikalny las, wreszcie z, niestety ciągle powolnym, odkrywaniem myśli przyrodniczej Środkowej i Wschodniej Europy. Powrót do natury zawdzięcza tarpan zarówno pracy profesora Vetulaniego, wybitnego przyrodnika związanego z krakowskim, wileńskim i poznańskim ośrodkami akademickimi jak i zaangażowaniu znacznej części społeczeństwa i administracji Drugiej Rzeczypospolitej. Historia rekonstrukcji konika polskiego obrazowo ukazuje ambicje, warunki pracy i patriotyzm polskich przyrodników. Bo przecież chodziło nie tylko o rekonstrukcję, jednego z ostatnich dużych ssaków Europy, ale także o stworzenie polskiej rasy koni, o pokazanie, że powstająca w tak ciężkich warunkach nauka jest w stanie wygrać konkurencję z Niemcami, którzy prowadzili prace nad regeneracją „staroger-

mańskich koników leśnych", że możliwe jest wreszcie przełamanie monopolu brytyjskiej zootechniki, której przedstawiciele uporczywie negowali wartość prac rekonstrukcyjnych jak i sam statut biologiczny tarpana uznając go za niewartego zainteresowania mieszańca. Vetulani i jego współpracownicy przekonani byli o swoistej misji przyrodniczej naszego kraju, który dzięki wielu szczęśliwym zbiegom okoliczności stał się ostatnią ostoją żubra i tarpana. Doskonale zdawali sobie sprawę, że polityka rolna władz sowieckich, a zwłaszcza kolektywizacja sprawiły, że Polska stała się ostatnią szansą uratowania konika. Celem prac profesora Vetulaniego było także stworzenie w Białowieży modelowego ośrodka badań przyrodniczych umożliwiającego polskim uczonym prowadzenie badań na światowym poziomie.

Punktem wyjścia dla badań było odszukanie małych, wykazujących prymitywne cechy dzikiego tarpana, koników chłopskich. Ostatnie znane tarpany leśne (Vetulani opisał podgatunek tarpana leśnego, różniący się od formy stepowej) żyły w Zwierzyńcu na Roztoczu, własności rodziny Zamoyskich. W dziewiętnastym wieku na polecenie Ordynata Zamoyskiego konie złapano i rozdano okolicznym chłopom. Był to zresztą ostatni znany w historii przypadek udomowienia w Europie dzikiego zwierzęcia. Chłopskie koniki nie miały możliwości krzyżowania się z innymi rasami, a sposób ich hodowli, tzn. w okresach nieużywania, wolny wypas na leśno-bagnistych terenach dodatkowo sprzyjał zachowaniu „dzikich", atawistycznych cech. Aby odszukać, zakupić i rozwinąć hodowlę konieczne było zgromadzenie znacznych funduszy. Vetulani zdołał zainteresować akcją restauracji tarpana administrację rolniczą, Polską Akademię Umiejętności, organizacje ochrony przyrody, władze lokalne Biłgoraja (właśnie na tym terenie zachowała się największa liczba koników), Ordynację Zamoyskich, licznych ziemian, Poznański Ogród Zoologiczny, rolnicze organizacje samorządowe. Dużą pomoc okazało wojsko, a zwłaszcza przedstawiciele Komisji Remontowych. Armia była zainteresowana możliwością użycia tarpana na terenach bagnistych gdzie koniki zdały egzamin w Pierwszej Wojnie Światowej. Prace profesora Vetulaniego spotkały się także z bardzo przychylnym przyjęciem i pomocą ze strony wielu zachodnioeuropejskich biologów, zwłaszcza z reprezentowanej przez profesora Antoniusa wiedeńskiej szkoły przyrodniczej i z paryskiego Muzeum Historii Naturalnej. Już w kilka lat po rozpoczęciu zabiegów selekcyjno-hodowlanych profesor Vetulani osiągnął wyznaczone przez siebie cele. Zdołał stworzyć stado tarpanów, wyselekcjonował zwierzęta z dzikimi cechami, takimi jak twarda, stojąca grzywa, silny instynkt stadny i bielenie sierści na zimę. Zwłaszcza ta ostatnia cecha dostarczała hodowcom wiele satysfakcji. Vetulani sądził, iż wyjaśnił w ten sposób zagadkę

dzikich, białych koni opisywanych w Historii Herodota.

W 1936 roku stado zostało umieszczone w rezerwacie w Białowieży (choć istniały także inne ośrodki badań konika polskiego) gdzie kontynuowano prace hodowlane i badawcze aż do wybuchu wojny. Zarówno Niemcy jak i Sowieci byli zainteresowani kradzieżą rezultatów polskich badań naukowych. W czasie wojny zaginęły książki hodowlane, w 1942 roku do Białowieży przybył znany niemiecki zoolog Lutz Hetz (przed wojną prowadził on nieudane doświadczenia rekonstrukcyjne nad tarpanem i turem) by kierować akcją rabunku polskich koników. Przeszło trzydzieści najwartościowszych okazów wywieziono do Rzeszy. Profesor Vetulani konsekwentnie odrzucał wszystkie propozycje kolaboracji i kontynuowania badań w okupowanej Polsce. W pierwszych latach powojennych bezskutecznie usiłował odzyskać zrabowane stado. W 1945 roku w Białowieży pozostało zaledwie 15 koników. Pomimo tego Vetulani kontynuował prace hodowlane, które przerwała dopiero jego śmierć w latach pięćdziesiątych. Tarpany przeniesiono z Białowieży do Popielna, gdzie pozostają aż po dzień dzisiejszy. Od wielu już lat tarpany są źródłem dewiz oraz pewnego rodzaju jakże pozytywną wizytówką naszego kraju. Niestety, bardzo często nawet w Polsce zapomina się o tym, że regeneracja konika jest jeszcze jednym, ciągle wykorzystywanym sukcesem międzywojennego dwudziestolecia.

Piotr DASZKIEWICZ

KONFERENCJE HISTORYKÓW W LUBLINIE

W dniach 27.06 — 29.06.1994 odbyła się w Lublinie konferencja autorów i redaktorów syntezy historii czterech krajów, Litwy, Białorusi, Ukrainy i Polski. (Białoruś: Zachar Szybieka, Aleh Trusau; Litwa: Antanas Kulakauskas, Juozas Tumelis; Ukraina: Jarosław Isajewycz, Natalia Jakowenko; Polska: Andrzej Kamiński, Jerzy Kłoczowski, Hanna Dylągowa, Jan Skarbek). Ambicją syntezy jest uwzględnienie czterech punktów widzenia. Autorów interesują przede wszystkim ludzie i społeczeństwa, a elementem, który zostanie podkreślony, jest długie trwanie historii i kultury tych krajów, niezależnie od zmieniających się okoliczności. Inicjator przedsięwzięcia prof. J. Kłoczowski chce, aby dzieło zweryfikowało różne stanowiska i mity narosłe w historiografii i dało wieloaspektowe spojrzenie na złożone dzieje tego regionu.

Synteza została pomyślana jako wydawnictwo pięcio- lub

sześciotomowe. W pierwszych czterech tomach zostanie ukazana historia Litwy, Białorusi, Ukrainy i Polski napisana przez autorów z tych krajów. Piąty tom będzie zawierał atlas. Na jednej mapie zostaną pokazane cztery narody i kształtowanie się ich problemów na przestrzeni dziejów. Mapy zostały już zaakceptowane przez zainteresowane strony. Należy podkreślić, że zgoda przedstawicieli wszystkich czterech krajów na wspólny atlas jest wydarzeniem bez precedensu w tego rodzaju przedsięwzięciach. Szósty — ostatni tom syntezy — znajduje się jeszcze w fazie projektu i został pomyślany jako wspólny dla wszystkich krajów wybór źródeł.

Całe dzieło zostanie wydane najpierw w językach litewskim, białoruskim, ukraińskim, polskim i angielskim, potem zaplanowane jest jego wydanie w językach francuskim i niemieckim. Wszyscy autorzy i redaktorzy dzieła zobowiązali się do oddania pierwszej redakcji swoich opracowań do końca 1994 roku.

●

W tym roku przypada 425 rocznica Unii Polski z Litwą (1569 r.), która miała wielkie znaczenie dla historii Europy. Do tego wydarzenia nawiązywała międzynarodowa konferencja „Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowowschodniej" — która odbyła się w Lublinie w dniach 30.06. — 01.07.1994 r. Uczestniczyli w niej naukowcy polscy, litewscy, białoruscy, ukraińscy i czescy. Ambicją sesji było dokonanie bilansu i znalezienie wątków w dziejach łączących narody, które niegdyś tworzyły jedną Rzeczypospolitą. Mimo wielu różnic w ocenie przeszłości, uczestnicy konferencji akceptowali owe różnice zdań i starali się podkreślić to, co w historii było pozytywne dla rozwoju wszystkich narodów. Przypomnienie wspólnej przeszłości ma być też czynnikiem zbliżającym te narody, ma dopomóc w kształtowaniu dobrosąsiedzkiej przyszłości.

Agnieszka WRÓBLEWSKA

STYPENDIUM IM. BENEDYKTA HEYDENKORNA

21 maja br. miała miejsce uroczysta inauguracja stypendium im. B. Heydenkorna — „The Benedykt Heydenkorn Visiting Fellowship". Stypendium to ufundowane przez Multicultural History Society of Ontario jest udzielane przyjeżdżającym do Toronto naukowcom prowadzącym prace badawcze.

W myśl orzeczenia Rady Dyrektorów M.H.S.O. stypendium im. B. Heydenkorna będzie stałym świadectwem Jego wkładu w prace i działalność tej instytucji począwszy od jej powstania.

Benedykt Heydenkorn stworzył w M.H.S.O. polski dział obejmujący archiwalne materiały organizacji polonijnych, prasy, publikacji okolicznościowych, ksiąg pamiątkowych, publikacji naukowych. W *Polyphony* półroczniku M.H.S.O. ukazały się jego liczne opracowania, numer specjalny pt. „Poles in Ontario", oddzielnie praca o zjednoczeniu zrzeszeń polskich w Kanadzie. Przygotował konferencję międzynarodową w 1980 r. „Polacy w Kanadzie i USA", w której wziął udział m.in. Czesław Miłosz.

KOMUNIKAT KOMISJI FUNDACJI STYPENDIALNEJ IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1995 r. upływa z dniem 15 grudnia 1994 r.

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w historii literatury polskiej i w krytyce literackiej. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zwłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu.

Adres Fundacji:
T.H.L.
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

NAGRODY POLCULU

Australijska Fundacja Polcul, od lat przyznająca nagrody Polakom „zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy i przyjaźni z jej sąsiadami', przyznała w zeszłym tygodniu tegoroczne wyróżnienia.

Otrzymali je: Kalina Antonowicz (za działalność społeczną na terenie Pomorza), Janusz Bogucki (za działalność na rzecz kultury polskiej), Krystyna Bojahr (za pracę oświatową na terenie Gdańska), Józef Bobrzykowski (za pracę społeczną i obywatelską na terenie Kaszubsko-Pomorskim), Maciej Dynkowski (za działalność obywatelską na terenie Sandomierza), Inna Fieduszczak (za pracę w lwowskim oddziale Stowarzyszenia „Memoriał"), Anna Griszina (za pracę w Sekcji Polskiej moskiewskiego oddziału Stowarzyszenia „Memoriał"), Krystyna Gutowska (za pracę społeczną w Fundacji „Edukacja dla Demokracji"), Teresa Izydorkiewicz-Ignatowicz (za pracę społeczną w Towarzystwie „Trzeźwość"), Krystyna Jarocka (za pracę społeczną w Fundacji „Emeryt"), Zenon Jóźwicki (za opiekę nad bezdomnymi na Dworcu Centralnym w Warszawie), ks. Władysław Kubiak (za pracę społeczną wśród głuchoniemych na terenie Zduńskiej Woli i okolic), Stanisław Kwiatkowski (za pracę społeczną w Towarzystwie „Trzeźwość"), Wanda Madejczyk (za pracę społeczną w Klubie Miłośników Sandomierza), Zofia Niczke (za pracę społeczną w Fundacji „Emeryt"), Jerzy Owsiak (za zorganizowanie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy), Marian Przedpełski (za działalność na rzecz kultury na terenie Płocka i Ciechanowa), Andrzej Przewoźnik (za prace badawcze na temat AK i Polskiego Państwa Podziemnego), Teresa Sieliwończyk (za pracę społeczną na terenie Białorusi), Antonina Smolarz-Bogucka (za działalność na rzecz kultury polskiej), Jerzy Szews (za pracę społeczną na terenie Pomorza), Halina Szwarc (za pracę społeczną na Uniwersytecie Trzeciego Wieku), Józef Tumelis (za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej) oraz Wojciech Załęcki (za pracę obywatelską na terenie Supraśla, woj. białostockie).

Notatki Redaktora

W *Kulturze* ustaliła się tradycja „Dzienników" — Gombrowicz, Stempowski i od lat Herling-Grudziński. Dzienniki te cieszyły się dużą autonomią reprezentując poglądy raczej autorów niż redakcji.

Inaczej jednak przedstawia się sprawa z „Dziennikiem pisanym nocą". Grudziński był współzałożycielem *Kultury* i bardzo bliskim współpracownikiem, co powodowało, że opinie polityczne w jego „Dzienniku" są odbierane jako wyraz poglądów redakcji. Tak jest rzeczywiście, ale nie zawsze.

Stanowisko redakcji precyzują niezbyt częste „Obserwatoria" oraz — od niedawna — „Notatki Redaktora". Piszę to obecnie dlatego, że mam zasadnicze zastrzeżenia do szeregu spraw poruszonych w „Dzienniku pisanym nocą", który znajduje się w bieżącym numerze *Kultury*.

Otóż całkowicie nie zgadzam się z oceną Grudzińskiego dotyczącą wypowiedzi Leszka Kołakowskiego o polskiej rzeczywistości. Ocenę Kołakowskiego uważam za słuszną. Mit „Solidarności" okazał się niestety mitem przelotnym, meteorem, który odegrał ogromną rolę nie tylko w Polsce ale naprawdę na świecie. Niestety prawie natychmiast został przez swych twórców rozmieniony na drobne. Nie sposób porównywać go z mitem AK i Powstania Warszawskiego czy z mitem wojska polskiego na Zachodzie. Były to mity, za które przelano morze krwi, świadczące o nieustannym dążeniu narodu do odzyskania niepodległości za *wszelką cenę*. To samo dotyczy mitu francuskiego Résistance czy „wojny ojczyźnianej" w Rosji (tego ostatniego mitu nie docenia się niestety ani w Polsce, ani w świecie zachodnim).

Co mnie ponadto razi w „Dzienniku" Herlinga to jego uwagi o ludziach, zaopatrywane często w niepotrzebnie brutalne przymiotniki na zasadzie czarne-białe, głoszone *ex cathedra*. Rzeczywistość jest bardziej złożona. Sam stosuję bardzo

ostre oceny, by przełamać powszechną znieczulicę, ale trzeba przedtem przebić się przez zwały plotek i pomówień tak charakterystycznych dla polskiego społeczeństwa. Nie można nie brać pod uwagę, że często ludzie uczciwie zmieniają poglądy i oceny. Któż z nas jest tu bez winy? Nie podoba mi się poza tym podkreślane z naciskiem potępienie Unii Pracy. Ja również w ostatnich wyborach udzieliłem Unii poparcia i zawiodłem się na jej polityce wahań i niezdecydowania. Niemniej jest to moim zdaniem jedyna partia reprezentująca uczciwe poglądy socjaldemokratyczne, która ciągle ma szanse stania się ośrodkiem dla umiarkowanej lewicy. Jej potępienie przez człowieka o dużym autorytecie może być wykorzystane w wyborach na prezydenta, które praktycznie już się rozpoczęły.

Niewątpliwie trzeba wziąć pod uwagę tak intensywnie — do tego przy słabym zdrowiu — wypełniony krótki pobyt Grudzińskiego w kraju przy jednoczesnym ogromnym sukcesie jako pisarza, co wysunęło go na czoło polskiej literatury i co jednocześnie dało mu duży autorytet moralny. To musiało się odbić zarówno w jego niektórych ocenach i sądach jak również na zbyt skrupulatnym odnotowywaniu wszystkich dowodów przyjaźni i popularności, jakby dla upewnienia się. Niepotrzebnie — pozycja Gustawa jest już ustalona.

●

Doskonała inicjatywa. Pani Ochojska z Fundacji „Equilibre" zorganizowała transport lekarstw, żywności etc. do Kazachstanu. Ta pomoc jest przeznaczona nie tylko dla Polaków, ale również dla samych Kazachów. Jest to posunięcie dalekowzroczne, które niewątpliwie przyczyni się do pogłębienia stosunków polsko-kazachstańskich. Myślę, że warto pomyśleć o podobnych transportach na Białoruś, gdzie sytuacja gospodarcza jest katastrofalna i nędza ludności się pogłębia. Tu jest sprawa niewątpliwie bardzo delikatna, by nie urazić ambicji narodowych Białorusinów i by nie ograniczyć się jedynie do tej części Białorusi, która przed wojną należała do państwa polskiego.

●

W tym roku została rozwinięta na dużą skalę akcja kolonii dla dzieci polskich z Litwy, Białorusi, Ukrainy i Kazachstanu. Jak również została zwiększona liczba stypendiów

na studia dla Polaków z tych terenów. Sądzę, że byłoby celowe zorganizowanie również wycieczek dla polskich rolników, by mogli się zapoznać z organizacją indywidualnych gospodarstw rolnych. Likwidacja kołchozów okazała się katastrofą, gdyż rolnicy nie mają pojęcia o gospodarce indywidualnej i nie posiadają odpowiedniego sprzętu rolniczego. Jeśli idzie o produkcję sprzętu rolniczego to pierwsze kroki podjęło na Litwie Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", ale na małą skalę, a podobne ośrodki należałoby zorganizować na Białorusi i Ukrainie. Też w tym wypadku produkcja ta powinna służyć nie tylko Polakom.

●

W kraju pogłębia się problem bezpieczeństwa. Mnożą się napady, wszelkiego rodzaju mafie, przejawiające coraz większą aktywność; są one bezkarne na skutek bierności policji. Jaskrawym przykładem jest strajk restauracji i kawiarni na Starym Mieście w Warszawie. Jest to przede wszystkim spowodowane kryzysem w samej policji, która w dużym stopniu jest skorumpowana, czemu z niezrozumiałych względów nie przeciwdziała Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Rewelacje o nadużyciach i korupcji policji w Poznaniu, ogłaszane miesiące temu przez tygodnik Jerzego Urbana *Nie* i *Gazetę Wyborczą*, zostały przez władze zlekceważone aż wreszcie ostatnio sankcje ograniczyły się tylko do przesunięć personalnych czy udzielenia dymisji, często „na własną prośbę", oskarżonym. Trzeba zacząć od zasadniczej reorganizacji samego ministerstwa, które jest głównie pochłonięte „lustracją" oraz nieudzielaniem informacji i dokumentów na żądanie sądów.

●

Ten rok obfitował w ogromną ilość rozmaitych rocznic i obchodów, organizowanych w sposób zupełnie nieodpowiedzialny. Tak było chociażby z obchodem rocznicy Powstania Warszawskiego, z tym kompromitującym widowiskiem zorganizowanym przez p. Cywińską, które pochłonęło ogromne pieniądze. Do tej pory nic nie zrobiono w sprawie skandalicznych niedociągnięć przy obchodach na Monte Cassino. W poprzednich „Notatkach" domagaliśmy się dymisji odpowiedzialnego za to szefa Urzędu d/s Kombatantów p. A. Dobrońskiego, i pokrycia długu i deficytu przedsiębiorstwa „Mazovia", oddania pod sąd prezesa „Mazovii" p. Sulimierskiego. Skoń-

czyło się jedynie na tym, że *Gazeta Wyborcza* zaczęła publikować scenariusz rozmaitych przygód p. Sulimierskiego na poziomie trzeciorzędnego romansu kryminalnego.

●

Nieprawdopodobny skandal. Pan Marian Zacharski został mianowany szefem wywiadu Urzędu Ochrony Państwa przez p. G. Czempińskiego, szefa tej instytucji. Nominacja ta została aprobowana przez ministra spraw wewnętrznych, p. Andrzeja Milczanowskiego oraz prezydenta Wałęsę. P. Zacharski został w 1981 r. aresztowany i skazany na dożywotnie więzienie w Los Angeles za wykradzenie i przekazanie Paktowi Warszawskiemu niezmiernie ważnych informacji o systemie obrony powietrznej NATO i Stanów Zjednoczonych. Zacharski spędził w więzieniu 4 lata i w 1985 r. został wymieniony za 25 szpiegów zachodnich. Po powrocie do Polski został z miejsca mianowany dyrektorem znanej firmy „Pewex".

Ostatnia nominacja wywołała jednak tak gwałtowne sprzeciwy — m.in. Zbigniewa Brzezińskiego — podkreślającego, że tego rodzaju nominacje utrudnią Polsce wejście do NATO i zaostrzą stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, że *na prośbę* prezydenta — nominacja ta została odwołana przez min. spraw wewnętrznych Andrzeja Milczanowskiego. Prezydent w swojej prośbie podkreślił, że docenia w pełni profesjonalizm Zacharskiego gdyż profesjonaliści i ludzie z doświadczeniem są Polsce potrzebni. Argumentując w ten sposób należałoby — jako niewątpliwego profesjonalistę — powołać na przykład na szefa policji gen. Ciastonia ostatnio — z braku dowodów — uniewinnionego z oskarżenia o zamordowanie ks. Popiełuszki. Tego rodzaju posunięcia podrywają autorytet Polski na świecie, która zaczyna być traktowana na poziomie jednej z republik południowoamerykańskich. Najgorsze, że sfery polityczne tego do tej pory nie rozumieją. Nominacji Zacharskiego bronił minister obrony narodowej, admirał Piotr Kołodziejczyk. Podobnego zdania jest również p. Krzysztof Kozłowski, były minister spraw wewnętrznych w rządzie Mazowieckiego, jak również rzecznik prasowy Sojuszu Lewicy Demokratycznej, p. Zbigniew Siemiątkowski. Afera p. Zacharskiego jest kolejnym dowodem nieudolności ministra Milczanowskiego. Ponieważ — jak wiadomo — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jest w specjalnej gestii prezydenta, jedynym logicznym posunięciem byłoby udzielenie

dymisji min. Milczanowskiemu. Gdyby nawet tak się stało byłoby to tylko posunięcie tymczasowe.

Jest już najwyższy czas, aby społeczeństwo zaczęło myśleć o odsunięciu od władzy rządzącej w ostatnich latach tzw. elity i o zasadniczej reformie życia politycznego w Polsce. Jest to tym pilniejsze, że grożą nam kolejne skandale na tle chociażby ratyfikowania przez Sejm konkordatu z Watykanem czy oświadczenia prezydenta, że nie podpisze uchwały Sejmu o reformie prawa do aborcji. Okazją do takiej radykalnej reformy będą zbliżające się wybory prezydenckie. Zresztą nie można wykluczać, że prezydent, walcząc wszelkimi środkami by utrzymać się przy władzy, doprowadzi do wcześniejszego rozwiązania parlamentu i wyborów do Sejmu. Trzeba więc zawczasu mobilizować niezależną opinię społeczną, i zdać sobie sprawę, że jest to ostatni moment żeby usunąć *wszystkich* ludzi skompromitowanych i nieudolnych i w sposób zasadniczy przebudować strukturę państwową.

REDAKTOR

Dwutygodnik polonijny

prasa polska

Adres redakcji:
Prasa Polska
3, rue Robert Houdin
75011 Paris, FRANCE
Tel. (33-1) 49.29.04.30
Fax (33-1) 49.29.97.60

Ukazuje się od marca 1994 ● Około 40 stron ● Format A4

Polska widziana poprzez najlepsze teksty prasy krajowej – od dzienników do kwartalników. Także międzynarodowy przegląd polonijny i forum polskie, w którym wypowiadają się autorytety naszego życia społecznego.

Celem pisma jest utrzymanie trwałych związków z krajem, zbliżenie środowisk polonijnych oraz wzmacnianie poczucia wspólnoty ziemi, kultury, języka.

Wystarczy wysłać swój adres, aby otrzymać najnowszy numer.
Serdecznie zapraszamy.

Koszt prenumeraty rocznej – 26 numerów (półrocznej – 13 numerów) wynosi: FF 320 (190), DM 95 (60), £ 38 (25), $USA 55 (35), $CAN 70(45), $AUS 80 (50)

Ci, co odeszli

Halina Wittlin (1900-1994)

4 sierpnia 1994 roku zmarła w Nowym Jorku dr Halina Wittlin, z domu Hendelsman. Pogrzeb jej odbył się 9 sierpnia w kościele St Paul the Apostle w Nowym Jorku. Urodzona 5 grudnia 1900 roku w Łodzi w rodzinie lekarza, Halina Wittlin chodziła do szkoły z Ireną Tuwim i Lidią Ciołkoszową. Studia polonistyczne ukończyła na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie również uzyskała doktorat. W 1924 r. wyszła za mąż za Józefa Wittlina. W 1940 r. wraz z kilkuletnią córką Elżbietą (obecnie Lipton) wyjechała z Polski do Paryża, gdzie wówczas przebywał jej mąż.

Przed wojną w Warszawie pracowała w Ministerstwie Oświaty, a w Nowym Jorku, dokąd Wittlinowie przybyli w 1941 roku, pracowała w tutejszym Liceum Francuskim oraz uczyła języka i literatury polskiej na New York University.

Dla wszystkich, którzy ją znali, Halina Wittlin była uosobieniem kultury, taktu i elegancji, była też przedstawicielką nie istniejącej już klasy przedwojennej inteligencji. Każde arcydzieło literatury światowej czytała w języku oryginału.

Posiadała nieprzebrany skarbiec wiadomości, anegdot i ciekawostek z przedwojennego i emigracyjnego życia literackiego, miała też duży dar opowiadania. Zagadnięta, czy spisuje swoje wspomnienia, odpowiedziała cytatem z Wyspiańskiego: Gust ten dobry miałam, żeby nie pisać.

Ale przede wszystkim była niezawodną i oddaną towarzyszką życia autora „Soli ziemi", „Hymnów", „Mojego Lwowa" i „Orfeusza w piekle XX wieku"; za jego życia pomimo wyczerpującej pracy zawodowej przepisywała jego rękopisy, po jego śmierci porządkowała archiwa i prowadziła pertraktacje z wydawcami.

Anna FRAJLICH

Książki

„Pisemnie z Litwy"

Tytuł tego omówienia nawiązuje do zgrzebnej nazwy pod jaką Jan Karłowicz (1836-1903) gromadził swe materiały gwarowe („ustnie z Litwy"), ale nie ma bynajmniej charakteru pejoratywnego, gdyż prezentowana tu praca* znanego polskiego językoznawcy (m.in. redaktora i współautora 2-tomowego dzieła „Języki modernistyczne", W-wa 1986) budzi respekt ścisłością metody, horyzontami badawczymi i ogromną bibliografią. Zgrzebna jest jedynie jej szata graficzna — rezultat szczupłości środków jakimi dysponowali wydawcy. Ten zbiór 13 artykułów (śmietanki całożyciowego zainteresowania autora tematyką słowiańsko-bałtycką) ma charakter utylitarny: jak czytamy w przedmowie, praca „jest przeznaczona dla studentów Uniwersytetu Polskiego w Wilnie z zamiarem przybliżenia im przeszłości językowej ziemi rodzinnej — Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przeszłość ta została utrwalona w nazwach rzek i jezior, miejsc niezamieszkałych i osiedli ludzkich, nazwiskach i mowie mieszkańców, dokumentach pisanych i utworach literackich, m.in. w 'Panu Tadeuszu' [...]". Nie wdając się w dyskusję na temat celowości (lub nie) instytucji Uniwersytetu Polskiego w Wilnie chcę zwrócić na tę książkę uwagę innych potencjalnych czytelników, gdyż jest to pierwsze polskie całościowe opracowanie sytuacji językowej WXL i lektura ta (powiedzmy od razu: niełatwa, gdyż nie jest to praca popularnonaukowa) daje dobre pojęcie zarówno o realiach lingwistycznych tego terenu, jak i o stopniu komplikacji tematu.

---

* Leszek Bednarczuk, *Języki Wielkiego Księstwa Litewskiego na tle porównawczym*, Wilno 1993, 164 str. + 6 map. Wydanie Stowarzyszenia Naukowców Polaków w Wilnie (Subačiaus 5, 2601 Vilnius, Lietuva) dotowane przez Wydz. Humanistyczny WSP w Krakowie (ul. Podchorążych 2/250, 30-084 Kraków, Polska).

Najlepsze pojęcie o tematyce książki daje jej pierwsza pozycja, zatytułowana „Stosunki etnolingwistyczne na obszarze Wk. Ks. Litewskiego". Autor precyzuje tu centrum swych zainteresowań (WXL w okresie pomiędzy Unią Lubelską [1569] a „najazdem moskiewskim" [1655]), czyli czas, w którym na obszarze tym współistniały następujące „etnolekty" (termin neutralny, unikający wartościowania jakie sugerują nazwy „język/dialekt/gwara"): litewski, białoruski, północno-wschodnia polszczyzna kresowa, mowa Tatarów litewskich i Karaimów trockich, litwacka forma jidysz, lokalna odmiana języka Cyganów oraz — rzecz niedawno odkryta — tzw. pogańskie gwary z Narewu. W tym ostatnim wypadku chodzi o odkryty przypadkiem w 1978 r. w starej książce do nabożeństwa słowniczek ok. 200 wyrazów bałtyckich (a więc nie słowiańskich, lecz pokrewnych litewskiemu i łotewskiemu) z przełomu XVI i XVII w. i reprezentujących zaginiony w międzyczasie etnolekt z okolic Puszczy Białowieskiej. Przypuszczalnie mówiła nim niewielka grupa pogan z terenu Inflant, szukająca tu schronienia przed przymusową chrystianizacją. Na obrzeżu tego i tak już gęstego melanżu lingwistycznego występował jeszcze niemiecki („Baltendeutsch") i rosyjski, którym mówili starowierzy w okolicach Pskowa, a wewnątrz — języki liturgiczne poszczególnych grup religijnych (łacina katolików, starocerkiewny prawosławnych i unitów, hebrajski Żydów i Karaimów, arabski Tatarów).

Ten stan językowy z przełomu XVI i XVII w. służy autorowi jako punkt odniesienia dla badań nad zmianami mapy lingwistycznej zarówno w okresach wcześniejszych — aż po (hipotetyczny) stan językowej wspólnoty Bałtów i Słowian sprzed 1500 przed Chr. — jak i późniejszych, aż po wiek XX. Do tych „aktualniejszych" pozycji zaliczyć można np. szkic „O języku polskim nad Berezyną", poświęcony powieści Floriana Czernyszewicza „Nadberezyńcy" (1-sze wyd. Buenos Aires, 1942), czy też „O języku flisaków wileńskich", analizujący od strony językowej XIX-wieczny tekst Konstantego Tyszkiewicza pt. „Wilia i jej brzegi". Tutaj też wymienić należy kilka krótszych pozycji poświęconych wzajemnym zapożyczeniom wyrazów, używanych do dziś. Parę przykładów z tej dziedziny: mało kto wie, że polskie „sterta" i „gryka" są pochodzenia litewskiego, podczas gdy na pozór pralitewskie imię „Aldona" jest w istocie grecką Eudokią i dostało się na północ poprzez ruską formę zdrobniałą „Ałdonia"; pośrednictwu ruskiemu zawdzięcza też swą formę nazwa Polski w litewskim (*Lenkas*, z dawnego *Lęchů*,

później *Ljach(ů)*) i nazwa Litwy w polskim (staroruskie *Lituva*); litewska nazwa Pogoni — herbu państwa — *vytis* nie oznacza bynajmniej „witezia" czyli rycerza, lecz to samo co polskie „wici" — wezwanie do pospolitego ruszenia; do pożyczek językowych zaliczyć też należy spolszczone formy nazwisk litewskich, np. „Giedroyc" z litewskiego „Gedraitis" zaświadczone już w XVI-wiecznym epitafium bł. Michała Giedroycia (1425-85) w kościele św. Marka w Krakowie.

Takich ciekawostek jest w tej książce mnóstwo, *gros* uwagi jednak poświęca Bednarczuk całościowej historii lingwistycznej omawianego obszaru (włącznie z wyraźnymi śladami dawnych wpływów ugrofińskich), a szczególnie wzajemnym stosunkom pomiędzy trzema najważniejszymi jego „etnolektami", tzn. litewskim, białoruskim i — historycznie najpóźniejszym — polskim. Porównując stan dawny, zachowany częściowo w nazwach geograficznych, z danymi późniejszymi autor wyróżnia trzy kolejne rubieże stale cofającego się zasięgu litewszczyzny: (1) górne Podnieprze (Mohilewszczyzna) do ok. 500 po Chr., kiedy to zaczął się napór wschodnich Słowian (późniejszych „Białorusinów"); (2) obszar na zachód od linii przebiegającej od Brasławia poprzez jez. Narocz i dalej wzdłuż Wilii do Niemna (XIV w.); (3) stan prawie-zaniku jęz. litewskiego w okresie XVI-XIX w., z wyjątkiem wysp dialektów w trudno dostępnych zakolach Wilii, Niemna i Berezyny. Głównymi „przeciwnikami" litewszczyzny były dwa języki słowiańskie: (biało)„ruski", będący do XVII w. oficjalnym językiem kancelaryjnym WXL, i — szczególnie w XVIII i XIX w., ze względów kulturalnych i politycznych — polski. Ująłem słówko „biało-" w nawias, gdyż i tu — jak ze wszystkim na tym obszarze — sprawa jest skomplikowana. Dobre pojęcie daje o tym odrębny szkic pt. „Wokół etnogenezy Białorusinów". Właściwa „Ruś Biała" był to tylko obszar dawnych województw: witebskiego, połockiego i smoleńskiego, natomiast obszar wokół Nowogródka, Grodna i Mińska nazywany był „Rusią Czarną"; z tym podziałem wiązały się też różnice dialektalne. Stopniowo nazwa „Białoruś" rozszerzyła się na terytorium składające się z trzech obszarów: Pojezierza, Podlasia i Podnieprza. Jedynym czynnikiem wiążącym ten konglomerat w całość był czynnik polityczny, czyli fakt przynależności tej „Rusi" do Wielkiego Księstwa, co znalazło nawet odbicie w języku potocznym, gdyż dzisiejsza Białoruś długo nazywana była po prostu „Rusią Litewską".

Ten przydługi wywód jest tylko małą próbką płynności i

„żmutowatości" zagadnień językowych i narodowościowych WXL z jakimi konfrontuje czytelnika książka Bednarczuka, napisana bardzo jasno i precyzyjnie, ale przez to właśnie trudna w lekturze. Trud ten jednak opłaca się: po przebrnięciu jej (z ołówkiem w ręku!) ma się w umyśle nie tyle może „pełny obraz spraw" tego fascynującego obszaru, ile raczej świadomość przyczyn tej fascynacji, mianowicie niesłychanego przemieszania etnologii i historii, archaizmów i innowacji, chaosu i „porządku rzeczy". Autor-lingwista, posługujący się w zależności od potrzeb metodą komparatystyczną, typologiczną i „arealną", przypomina chwilami krystalografa usiłującego wyjaśnić jak śnieg zamienia się w lawinę.

A inna sprawa, że namawiałbym prof. Bednarczuka do napisania osobnej książki, w której tenże materiał zostałby przedstawiony z mniejszą troską o rygor naukowy, a z większą o „zwykłego czytelnika". Wówczas nie tylko rozsiane hojnie lecz *en passant* perełki językowe (np. termin „babczur", czyli kobieciarz w polszczyźnie nadberezyńskiej) zalśniłyby pełniejszym blaskiem, lecz ponadto znalazłoby się też może miejsce na refleksje bardziej przyziemne, np. że etymologia imienia litewskiego księcia Troydena (zięcia Konrada Mazowieckiego) zaproponowana przez litewskiego językoznawcę Bugę i z szacunkiem przytoczona przez autora na str. 20, a wywodząca to imię od czasownika *triesti* „mieć rozwolnienie" robi wrażenie, hm, mało książęce.

M. BROŃSKI

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1. 06. 94
Przedstawiciele najwyższych władz państwowych otrzymali duże podwyżki pensji, a mianowicie prezydent 32 mln (poprzednio 20 mln), premier 30 mln (poprzednio 20 mln), minister 25 mln, wicepremierzy i ministrowie stanu 26 mln (poprzednio 17 mln), wojewodowie i wiceministrowie 22 mln (poprzednio 14 mln). Wyższe pensje dostaną też posłowie. Zawodowi parlamentarzyści będą otrzymywali 16 mln (poprzednio 11 mln). Na wrzesień planowana jest następna podwyżka ryczałtów. Żaden z członków rządu, który jest jednocześnie posłem, nie zrezygnował z pobierania diet poselskich (włącznie z premierem Pawlakiem). Członkom najwyższych władz przysługują różne przywileje: prezydent ochronę i samochód służbowy będzie miał dożywotnio, premierowi samochód przysługuje przez 6 miesięcy od zakończenia urzędowania a ochrona przez miesiąc. Parlamentarzyści korzystają darmowo z publicznych środków transportu oraz nie płacą za hotel poselski.

6. 06. 94.
Rada Najwyższa Republiki Kazachstańskiej zdecydowała przeniesienie stolicy Kazachstanu z Ałma-Aty do Akmoły (dawny Celinograd).

29. 06. 94.
Nowy ambasador Litwy w Polsce, Antanas Valionis, złożył w Belwederze listy uwierzytelniające.

30. 06. 94.
Wojciech Natanson, eseista, krytyk i tłumacz, obchodzi 90-lecie urodzin i 60-lecie pracy twórczej.

1. 07. 94.
Przemilczana impreza. W Hajnówce miał miejsce Międzynarodowy Festiwal Muzyki Cerkiewnej. Wzięło w nim udział 38 zespołów z 12 krajów, na które złożyło się 1130 wykonawców — chórzystów i dyrygentów. O tej niezmiernie ciekawej imprezie napiszemy obszernie w najbliższym czasie.

7. 07. 94.
Pierwszy niemiecki Instytut Historyczny w krajach postkomunistycznych będzie otwarty w Warszawie. Do zadań instytutu należą: badanie stosunków polsko-niemieckich, organizowanie konferencji i kolokwiów naukowych, przyznawanie stypendiów na kształcenie i prowadzenie badań.

10. 07. 94.
***Tygodnik Powszechny* podaje, że Caritas-Polska zdecydowała się przeznaczyć 3 mld złotych na pomoc w odbudowie zniszczonego miasta Gornyj Vakuf w Bośni. Cel jest niewątpliwie bardzo szlachetny, ale dla**

Polski dosyć odległy, tym bardziej że sprawy Bośni są w centrum zainteresowania świata zachodniego. Czy nie lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze na odbudowę zabytków związanych z Polską w starym Wilnie, gdzie w swoim czasie bardzo dużo zrobili polscy konserwatorzy, a na kontynuowanie ich prac od dawna nie ma funduszy.

11. 07. 94.
W Rybakach nad Narwią odbyło się IV Międzynarodowe Sympozjum „Muzyka ludowa Europy Środkowo-Wschodniej", zorganizowane przez Fundację „Muzyka Kresów". Sympozjum trwało do 24-go lipca.

14. 07. 94.
W galerii Kordegarda w Warszawie została otwarta wystawa kapistów. Wystawiono prace Jana Cybisa, Artura Nacht-Samoborskiego, Zygmunta Waliszewskiego. (A gdzie Józef Czapski? Red.). ■ W Lublinie, podpisany został list intencyjny między Polską a Ukrainą, dotyczący wymiany barterowej polskiego węgla kamiennego w zamian za dostawy ukraińskiej rudy żelaza i innych wyrobów hutniczych. Począwszy od trzeciego kwartału br. Polska eksportować będzie rocznie na Ukrainę od 1 do 4,5 mln ton węgla, otrzymując w zamian rudy żelaza, przepracowane oleje napędowe, łożyska toczne, półprodukty hutnicze, złomy metali oraz inne towary, proporcjonalnie do wartości eksportu. ■ Przyznano Nagrody Polsko-Niemieckie za rok 1994. Ich laureatami zostali: publicysta prof. Stanisław Stomma i niemiecki wydawca Marion hr. Doenhoff. Nagroda przyznawana jest za szczególne zasługi dla rozwoju stosunków polsko-niemieckich, a ustanowiona została przez rządy obu państw w 1991 r. Pierwszymi jej laureatami zostali Tadeusz Mazowiecki i (pośmiertnie) Willy Brandt.

15. 07. 94.
Pani Izabella Cywińska, założycielka Fundacji Kultury, zrezygnowała z członkostwa w Fundacji. Poprzednio, w styczniu br., zrezygnowała z prezesury zarządu. Powodem jest odpowiedzialność za straty finansowe. Kapitał Fundacji wynosił 135 mld zł. W nieudanych inwestycjach stracono 52 mld. W chwili obecnej pozostało tylko 66 mld w papierach wartościowych i w banku.

20. 07. 94.
Litwa, Łotwa i Estonia w ramach trójstronnego sojuszu wojskowego zaplanowały utworzenie 650-osobowego batalionu bałtyckiego, który ma być przekazany do dyspozycji sił pokojowych ONZ-tu. 32-osobowa grupa litewskich żołnierzy wchodzi w skład duńskiego batalionu sił pokojowych ONZ-tu i od połowy sierpnia bierze udział w misji pokojowej w Chorwacji. Parlament litewski zabrania udziału litewskich oddziałów w operacjach i wspólnych ćwiczeniach przeprowadzanych z udziałem państw WNP (lub na ich terytorium) oraz na terenie krajów bałtyckich.

28. 07. 94.
W ramach obchodów 50-ej rocznicy powstania warszawskiego została sprowadzona urna z prochami gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Jest ona umieszczona na Powązkach w kwaterze komendantów głównych Armii

Krajowej, gdzie znajdują się również: symboliczny grób gen. Grota-Roweckiego, gen. Okulickiego, ps. Niedźwiadek, który zginął w sowieckim więzieniu, oraz gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, pierwszego konspiracyjnego dowódcy — najpierw Służby Zwycięstwu Polski, a następnie Obszaru Lwowskiego Związku Walki Zbrojnej.

10. 08. 94.
W dniach 19-21 września br. ma odbyć się w Gdańsku XV Zjazd Historyków Polskich. Walne zebranie delegatów odbędzie się 22 września.

ZACHÓD — EMIGRACJA

13. 06. 94
Zmarł w Waszyngtonie w wieku 70 lat Stasys Lozoraitis. Po ostatniej wojnie był szefem Misji Litewskiej przy Watykanie, a później także w Waszyngtonie. Po uzyskaniu niepodległości przez Litwę został mianowany w sierpniu 1991 r. ambasadorem w Waszyngtonie, łącząc to nadal z funkcją *chargé d'affaires* w Watykanie. Od grudnia 1993 był ambasadorem Litwy w Rzymie przy Republice Włoskiej. Kandydował w wyborach na prezydenta Litwy i mimo zaledwie kilkutygodniowej kampanii otrzymał około 40 % głosów. Uniwersytet w Kownie przyznał mu tytuł doktora *honoris causa*. Był on wielkim przyjacielem Polski, jego matka była z domu Mackiewiczówna. Utrzymywał bliski kontakt z *Kulturą*.

27. 06. 94.
Michał Giedroyc z Oxfordu, historyk i b. doradca do spraw przemysłowo-ekonomicznych w krajach rozwijających się, odbył z ramienia brytyjskiego MSZ podróż do Białorusi w roli oficjalnego obserwatora pierwszej rundy wyborów prezydenckich.

1. 07. 94.
Zbigniew Herbert otrzymał za „Martwą naturę z wędzidłem" nagrodę niemieckiego radia Süwestfunk, przyznawaną przez 29 krytyków literackich z Niemiec, Szwajcarii i Austrii. ■ W ostatnim biuletynie (nr 5) *Aide à l'Eglise en Détresse* są ciekawe informacje dotyczące pomocy krajom wschodnim w ubiegłym roku. A więc Białoruś otrzymała 687.050 dolarów, Estonia 31.036 dol., Łotwa 106.785 dol., Litwa 2.002.744 dol., Polska 6.842.820 dol., Rosja 2.131.659 dol., Słowacja 2.316.980 dol., Ukraina 2.785.397 dol.

12. 07. 94.
Zmarła w Paryżu w wieku 95 lat Irena Krzywicka, znana pisarka. Po wojnie była przez krótki czas *attaché* kulturalnym ambasady w Paryżu, a później w Bernie. Od 1965 r. zamieszkała we Francji.

15. 07. 94.
Zmarł w Sztokholmie w wieku 87 lat Norbert Żaba, nasz wieloletni przyjaciel i przedstawiciel Instytutu Literackiego w Szwecji. Wspomnienie o nim zostanie zamieszczone w następnym numerze *Kultury*.

19. 07. 94.
W 5-tą rocznicę śmierci Prezydenta RP na Uchodźstwie, Kazimierza Sabbata, miało miejsce poświęcenie nagrobka na cmentarzu w Gunnersbury. W 1997 r. upłynie 50 lat od śmierci prezydenta Raczkiewicza, który został pochowany na cmentarzu w Newark. Są tam również pochowani dwaj następni prezydenci: August Zaleski i Stanisław Ostrowski. Należy mieć nadzieję, że ta rocznica będzie odpowiednio uczczona przez polski Londyn.

4. 08. 94.
Zmarł we Francji w wieku 82 lat Jean Laloy, b. ambasador i wybitny znawca Rosji. Był bardzo zaprzyjaźniony z Józefem Czapskim i z redakcją *Kultury*, której wielokrotnie pomagał.

5. 08. 94
Kurt Waldheim został kawalerem papieskiego orderu „Ordine Piano ze Wstęgą" za „szczególnie wysokie zasługi dla dobra ludzkości" w latach 1972–1980, kiedy był sekretarzem generalnym ONZ. Odznaczenie wywołało duże poruszenie i protesty, gdyż Kurt Waldheim podczas ostatniej wojny był oficerem Wehrmachtu na Bałkanach i był dobrze poinformowany o zbrodniach hitlerowskich. ■ Ks. Józef Warszawski, jezuita, kapelan zgrupowania „Radosław" (ojciec Paweł), a ostatnio publicysta i redaktor sekcji polskiej Radia Watykańskiego, powrócił do Polski. ■ Marek Baterowicz, publicysta i literat przebywający w Australii, odmówił przyjęcia przyznanego mu przez prezydenta RP odznaczenia na znak protestu przeciwko polityce rządów posolidarnościowych w Polsce.

8. 08. 1994
Zmarł w Paryżu w wieku 80 lat Maciej Gierszewski, inżynier budownictwa lądowego, przyjaciel i opiekun młodzieży.

19. 08. 1994
Zmarł w Nowym Jorku w wieku 84 lat Wojciech Wasiutyński, wybitny publicysta, działacz Obozu Narodowego.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

N.T., Szwecja — **Wybraliśmy do druku wiersz *Modlitwa o wschodzie słońca*.**

L.S., Niemcy — **Wszystkie trzy wiersze przeznaczyliśmy do druku.**

G.W., Dania — **Pana wiersze są interesujące, ale niestety już drukowane. Ponieważ unikamy przedruków, proszę nam przysłać do wyboru kilka nowych wierszy.**

J.K., Polska — **Wybraliśmy do druku wiersze *Miasto otwarte* i *Kraków, mgła*.**

P.P., Niemcy — ***Oda*** **jest ładnym wierszem. Odłożyliśmy ją do druku.**

S.S., Polska; D.L., Polska; S.A.F., Polska; E.M., Polska; P.J. Polska; R.R. Polska; D.B., Polska — **Z wierszy nie skorzystamy.**

Z.W.F., Polska — ***Ciotkę Manię w drodze do Ameryki*** **albo trzeba rozbudować w opowiadanie, albo napisać o niej wiersz. Pan wybrał brulionową notatkę.**

I.F.-G., Kanada — **Historia „prawdziwa" (co nie ma znaczenia) opowiedziana w *Zdradzie*** **jest niewątpliwie dramatyczna, niestety opowiedziała ją Pani bardzo kiepsko, bez pisarskiego zacięcia.**

R.D., Polska — **Pana króciutkie opowiadanka wydają nam się zupełnie bez sensu.**

E.K., Francja — **Kończy Pan swoje niepojęte dla nas opowiadanie *Życie kota*** **pogardliwym okrzykiem pod adresem „speców od krytyki". Więc po co Panu ich ocena?**

J.G., Polska — **Ma Pan błędne wyobrażenie o naszym „rzutkim" wydawnictwie. Od kilku lat, w nowych warunkach, wydajemy książki bardzo rzadko. Lepiej więc proszę ze swoimi *Majaczeniami* poczekać do dość odległej daty wydania, obiecanej Panu przez PIW.**

J.T., Radom — **Artykułu Pana nie zamieścimy.**

U.M.B., Wrocław — **Pani eseju „Pornosakra" nie zamieścimy.**

E.G., Gliwice — **Pomysł przewodnika po Krakowie dla młodzieży jest bardzo interesujący, ale niedopracowany. Nie zamieścimy.**

OŚWIADCZENIE

Pragnę przeprosić Czytelników mojego szkicu „Ruski miesiąc" (*Kultura* nr 7-8) za błędy, które zakradły się do tekstu mimo sumiennej korekty. Biały Dom w Moskwie lśni, jakby nie było sławetnej pierestriełki — nie zaś „pierestrojki". Kirgiz, który rozmawiał na targu z moim włoskim kolegą, miał na głowie kapelusz nie „stosowny", lecz jakby stosowany, tj. przypominający nakrycia głowy jakie noszą w stosownych chwilach niektórzy dyplomaci.

Jerzy POMIANOWSKI

MARC S. FRANCISZKOWSKI

LETTRES SLAVES

LIBRAIRIE — EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS

Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

●

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

●

Na życzenie wysyłamy katalogi

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e^ trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1994		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 15,00	$A. 90,00	$A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 13,00	$can. 75,00	$can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	$US 11,00	$US 60,00	$US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76 Cena F. 20,00

•

TOM 486 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: Tadeusz Wyrwa: *Powstańcza „Burza" i jej skutki;* Hanna Świderska: *Angielskie usiłowania „zjednoczenia wszystkich Polaków" na tle Powstania Warszawskiego;* Andrzej Kobos: *Kanały w Powstaniu Warszawskim;* Jan Rossman: *W kanałach;* Maria Podhorska: *Co wiesz o Powstaniu Warszawskim?;* Stanisław Likiernik: *Powstanie Warszawskie. Kedyw „Kolegium A" na Okręg Warszawski — Grupa A: Stanisława Sosabowskiego;* Gen. Kazimierz Sosnkowski: *Do żołnierzy Armii Krajowej — Rozkaz nr 19;* Gen. Ludomir Rayski: *Raport o sytuacji i pomocy dla powstania w Warszawie, przedstawiony gen. Andersowi w obecności gen. Szyszko-Bohusza i płk. Wiśniowskiego w dniu 4 września 1944 r. o godz. 15.00;* Władysław Bartoszewski: *Słowo powstańczej Warszawy: organizacja i znaczenie środków masowego przekazu;* Jan Wojtowicz: *Relacja Jana Wojtowicza, pseudonim „Wojtek" spisana przez Henryka Kozłowskiego 11.11.1985 r. w Ottawie; Związek Sowiecki a Powstanie;* Zbigniew Jasiński: *Pieśń o Powstaniu;* Jerzy Giedroyc: *Ze wspomnień nienapisanych;* Andrzej Friszke: *Polscy historycy o Powstaniu Warszawskim*

Str. 240. Cena F. 90,00.

I.N. 93400 St-Ouen – 3115-1994

Cena 55 F